



KLASYK AMERYKAŃSKIEJ POWIEŚCI KRYMINALNEJ

MacDONALD

TRAVIS MCGEE
**Purpurowe miejsce
zgonu**

JOHN D.
MacDONALD

TRAVIS MCGEE
**Purpurowe miejsce
zgonu**

Z angielskiego przełożył
GRZEGORZ KOŁODZIEJCZYK



Wydanie elektroniczne

O książce

Trzecia powieść z prywatnym detektywem Travisem McGee, bohaterem słynnej serii kryminałów klasyka gatunku, amerykańskiego pisarza Johna D. MacDonalda.

Atrakcyjna blondynka, Mona Yeoman, prosi Trávisa, by pomógł jej odzyskać należny spadek po ojcu. Pokażny majątek Cubitta Foxa rzekomo przywłaszczył sobie jego wspólnik, zarazem mąż Mony, Jasper Yeoman. McGee waha się przed przyjęciem zlecenia, tymczasem sprawa znajduje nieoczekiwany finał: na oczach detektywa niedoszła klientka ginie od kuli z karabinu. Ciało zamordowanej tajemniczo znika. Oprócz zabójcy jedynie Travis wie, iż faktycznie doszło do zbrodni. Niestety, policja nie daje wiary jego wyjaśnieniom, twierdząc, że Mona uciekła z kochankiem, wykładowcą na miejscowym uniwersytecie. Tego dnia oboje widziano wsiadających razem do samolotu. Zagadka Mony nie daje McGee spokoju. Jeśli wycofa się i wyjedzie z Nevady, nigdy nie pozna prawdy. Poszlaki wskazują na męża kobiety jako zleceniodawcę zabójstwa, lecz Travis nie wierzy w oczywiste rozwiązania; instynktownie czuje, że Jasper Yeoman jest niewinny. Kolejne starannie zaplanowane morderstwa potwierdzają, że się nie myli...

JOHN D. MacDONALD

(1916-1986)

Jeden z najwybitniejszych i zarazem najpłodniejszych twórców amerykańskiego kryminału, z dorobkiem literackim obejmującym kilka zbiorów opowiadań oraz prawie siedemdziesiąt powieści. Do inspiracji jego twórczością przyznają się tak znani autorzy, jak Stephen King, Dean Koontz, Carl Hiaasen, Kurt Vonnegut Jr. i Lee Child. King nazwał go „jednym z najważniejszych pisarzy amerykańskich XX wieku”; Vonnegut napisał, iż „za jakiś tysiąc lat na nowo odkryta spuścizna literacka MacDonalda okaże się znaleziskiem na miarę skarbów z grobowca Tutenchamona”. W wywiadzie prasowym Koontz stwierdził, iż wszystko, co napisał MacDonald, „czytał cztery czy pięć razy”. W 1980 pisarz otrzymał najbardziej prestiżową nagrodę literacką w USA – National Book Award. Najważniejsze w jego dorobku pozycje stanowią takie tytuły, jak *The Executioners*, *The Dead Low Tide*, *The End of Night*, *A Bullet for Cinderella* i *Condominium*. Światową sławę przyniosła twórcy seria 21 powieści z prywatnym detektywem Travisem McGee. Filmowcy niejednokrotnie sięgali po powieści MacDonalda. *The Executioners* była dwukrotnie ekranizowana jako *Przylądek strachu* – najpierw z Gregorym Peckiem i Robertem Mitchumem, w latach 90-tych z Nickiem Nolte’em i Robertem de Niro.

Powieści z Travisem McGee

NIEBIESKIE POŻEGNANIE

KOSZMAR NA RÓŻOWO

PURPUROWE MIEJSCE ZGONU

SZYBKI CZERWONY LIS

ŚMIERTELNY BLASK ŻŁOTA

POMARAŃCZOWY CAŁUN

Tytuł oryginału:
A PURPLE PLACE FOR DYING

Copyright © John D. MacDonald Publishing Inc. 1964
Copyright renewed © Maynard MacDonald 1992
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2014

Polish translation copyright © Grzegorz Kołodziejczyk 2014

Redakcja: Beata Kaczmarczyk
Ilustracja na okładce: MaxFX/Shutterstock
Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7985-007-5

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Skład wersji elektronicznej:

Virtualo Sp. z o.o.

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

1

Zbyt szybko wzięła zakręt, a szosa bez dwóch zdań nie była pierwszej jakości. Samochód wjechał na zwirowe pobocze, z lewej strony mieliśmy przepaść jak wszyscy diabli, a dalej, w miejscu, w którym powinna się ciągnąć droga, wyrastało wielkie usypisko kamieni. Mocno wdepnęła hamulec i samochodem ostro zarzuciło w bok. Skuliłem się, pewny, że białe alpine podskoczy i przekoziółkuje. Jednak autko sunęło dalej i zatrzymało się kilkanaście centymetrów od skalnej ściany, podczas gdy tył dzielił od przepaści niecały metr. Przyduszony silnik zgasł.

– A to się porobiło! – rzuciła Mona Yeoman.

Samochód stygł, wydając ciche trzaski. Jakieś ptaszysko zaśmiało się z nas w głos, po pękniętym kamieniu śmignęła jaszczurka.

– Czyżby koniec drogi?

– Ojej, nic podobnego. Dalej możemy pójść pieszo. Zostało jakieś osiemset metrów, tak myślę. Od wieków tu nie zaglądałam.

– A mój bagaż?

– No cóż, nie odniosłam wrażenia, że jest bardzo ciężki. Weźmie go pan ze sobą, panie McGee. Może potem uda się panu zrzucić trochę tych kamieni z drogi, żeby jeep zdołał tędy przejechać. Albo przyślę paru ludzi, którzy się tym zajmą.

– Jeśli mamy nie nagłaśniać tej sprawy, to może spróbuję poradzić sobie sam.

– Co racja, to racja.

– Pod warunkiem że zgodzę się pani pomóc, pani Yeoman.

Zmierzyła mnie spojrzeniem. Jej oczy miały piękny niebieski odcień jak rudzika i mniej więcej tyle samo wyrazu.

– Dotarł pan już tak daleko, to może jednak pan się zdecyduje?

Wyjąłem walizkę z samochodziku i przedostaliśmy się przez osuwisko. Było świeże, świadczyły o tym krawędzie kamieni. Ucieszyłem się, kiedy wysiadłem z auta. Szosa biegła stromo pod górę, a wiraze prezentowały się nader interesująco. Spotkałem się z panią Yeoman w południe na lotnisku leżącym osiemdziesiąt kilometrów od tego miejsca, dość daleko od jej domu. Oznajmiła, że ma chatę w górach, w której mógłbym się zatrzymać, bardzo na uboczu, i w której możemy wszystko omówić. Od pierwszej chwili usiłowałem ją rozgryźć.

Wydawało się, że kobieta nie pasuje ani do surowego krajobrazu, ani do ubrań, które na siebie włożyła. Była postawną blondynką o dojrzałym ciele, wiek około trzydziestki. Dobrze nad sobą panowała i trzymała się w ryzach, okraszając swoje zachowanie szczyptą niezachwianej arogancji. Znacznie bardziej pasowałaby do Piątej Alei czy Pięćdziesiątej Którejś-tam Ulicy. W niedzielne popołudnie przechadzałyby się wśród innych dam wystrojonych zgodnie z najnowszymi trendami mody, w olśniewającym kapeluszu na głowie, prowadząc na smyczy małego niebieskiego pieska o kędzierzawej sierści.

Tymczasem kroczyła kamienną drogą w piętnastocentymetrowych szpilkach, ubrana w spodnie z prążkowanej tkaniny, tweedową kurtkę jeździecką i piaskowy kowbojski kapelusz. Znajdowaliśmy się wysoko, lecz nie było wiatru, a upał mocno utrudniał wspinaczkę. Stałem, postawiłem walizkę na ziemi i ściągnąłem marynarkę.

– Słusznie – orzekła moja towarzyszka, po czym zdjęła kurtkę i zarzuciła ją sobie na ramię. Ruszyła w dalszą drogę z taką miną, jakby była przeświadczona o tym, że reszta świata tylko czeka, by podążyć za nią gęsiego. Miała wąską talię i trzymała się prosto. Spodnie, odrobinę tylko ciemniejsze od kapelusza, przylegały do jej nóg niemal jak skóra. Kobiety oceniam jak łódki – po wyglądzie rufy. Zadek pani Yeoman był mocny, kształtny, bujny i nieprzystępny. Doszedłem do wniosku, że gdyby ta damulka zdecydowała się spojrzeć na kogoś łaskawym okiem, byłoby to wydarzenie wiekopomne, wymagające uczczenia omszałą butelką wina, kadzidłem oraz jedwabną pościelą. Jej prezencja zaś niemal dorównywała cenie, którą za siebie wyznaczyła.

Skupiała się na jednej czynności naraz. Teraz maszerujemy, rozmawiamy później.

Droga urywała się przed górską chatą, która stała na kawałku równego terenu tworzącego rodzaj skalnej półki na trzech czwartych wysokości góry. Domek ze srebrnoszarego drewna był stary, ale zbudowany porządnie na planie kwadratu o boku sześciu metrów, ze spadzistym dachem. Obok stała otwarta drewniana stodoła, widać w niej było sągi drewna i stareńkiego je-epa wciąż pomalowanego w wojskowe barwy. Za stodołą, obok skalistej ściany sterczała niewielka budka. Wychodek na skraju przepaści.

Wszedłem za właścicielką na ganek, a ona wysupłała klucz z obcisłych spodni i otworzyła drzwi.

– Oto sypialnia i jednocześnie salonik. Kominek wspaniale ogrzewa ten pokój. Kuchnia jest z tyłu, znajdzie pan tam piec na drewno i przyzwoity zapas podstawowych wiktuałów. Wyżej na zboczu mamy źródło, to wielka rzadkość w tej okolicy. Rury doprowadzają wodę do kuchni. Jest zimna, lecz wyśmienita. Pewnie zauważył pan toaletę na zewnątrz. Akumulator w jeepie zapewne siadł, ale silnik powinien zaskoczyć, gdy ruszy pan w dół zbocza. Proszę pojechać do stacji benzynowej, tam zobaczy pan, czego wóz potrzebuje, i doliczy sumę do rachunku. W szafie jest trochę grubej mocnej odzieży. Wątpię, czy znajdzie pan coś wystarczająco dużego na swój rozmiar, panie McGee, ale chyba pan sobie poradzi.

– Pani Yeoman...

– Prześcieradeł tu nie ma, za to koców nie brakuje... Tak?

– Nie zamierzam kupić od pani tego domku ani go wynająć. Może nawet tutaj nie przenocuję. Przejdźmy więc do rzeczy, zgoda?

Spojrzała na mnie z dezaprobatą.

– Ależ ktoś musi mi pomóc – oświadczyła. – Dlaczego pokonał pan taki szmat drogi, skoro...

– Jak każda szanująca się *call girl*, zastrzegam sobie prawo wyboru. Pewnego razu jedna dama założyła z góry, że chętnie zgodzę się dla niej kogoś zabić. To zaś nie leży w zakresie moich obowiązków zawodowych.

– Nie mam na myśli nic podobnego! Fran Weaver to jedna z moich najstarszych przyjaciółek, powiedziała, że jeśli w ogóle ktoś może...

– Wiem, wiem, napisała mi o tym. Odezwałem się i dostałem od pani forszę na bilet lotniczy. Pani zaryzykowała pieniądze, ja swój czas. A teraz zobaczymy, czy zdołamy się spotkać w pół drogi. – Położyłem walizkę na łóżku, otworzyłem i wyjąłem butelkę.

– Bourbon bez lodu?

– Poproszę. Z wodą, pół na pół. Woda jest wystarczająco chłodna.

Z kranu popłynęła woda z rdzą, lecz po chwili się przeczyszczyła; była tak zimna, aż zgrabiwały mi palce. Nalałem trunku do dwóch szklanek od różnych kompletów. Gospodyni usadowiła się na skórzanej poduszce na podwyższeniu. W chacie było chłodniej niż na zewnątrz. Okryła się kurtką i odłożyła kapelusz.

Usiadłem nieopodal na plecionym krześle. Uniosła szklankę i powiedziała:

– Za porozumienie.

– Dobrze. – Wypiliśmy. – Przyjąłem pani zgłoszenie w ciemno, bo jestem prawie spłukany, pani Yeoman.

To ją zaniepokoiło.

– Te słowa nie napawają mnie otuchą.

– Sądzi pani, że mam kłopoty, bo źle mi idzie w pracy? Radzę sobie doskonale.

– Nie rozumiem.

– Pracuję, kiedy mam pustki w kieszeniach. Poza tym rozkoszuję się emeryturą. Dozuję ją sobie w ratach, póki jestem jeszcze dość młody, żeby sprawiała mi przyjemność. Mam opinię plażowego bumelanta, mieszkam na łodzi. Żyję tak, jak mi się podoba, ale czasem muszę popracować. Raczej niechętnie. Teraz rozumie pani uwarunkowania?

– Chyba tak... Fran wspomniała...

– Coś pani odebrano, coś, co do pani należało, a pani spróbowała wszelkich sposobów, żeby to odzyskać. Nie wyszło. Podejmę jeszcze jedną próbę, zakładając, że dojdziemy do porozumienia. Jeśli mi się uda, zatrzymam dla siebie połowę wartości.

– Ale ja nie mogę na to przystać.

– Wobec tego zbierajmy się.

– Nie, chwileczkę. Proszę mnie wysłuchać. Moim ojcem był Cubitt Fox. Wiem, że to nazwisko nic panu nie mówi. Jednak w tych stronach wciąż się je pamięta. Byłam jego jedynym dzieckiem, mama umarła dwa lata po moich narodzinach. Próbował mnie wychować tak, jakbym była chłopcem. Zmarł dwadzieścia lat temu, gdy miałam dwanaście lat, a on czterdzieści cztery. Jego najbliższym i najukochańszym przyjacielem był Jasper Yeoman, młodszy od niego o sześć lat. Tatuś wyznaczył Jassa na wykonawcę testamentu, a on zajął się wszystkim i był przy tym serdeczny i wspania-

łomyślny. Chodziłam do dobrych szkół na wschodnim wybrzeżu, panie McGee. Skończyłam Vassar i dostałam pracę w nowojorskim czasopiśmie. Otrzymywałam wysokie kieszonkowe. Zakochałam się w żonatym mężczyźnie, uciekliśmy razem. To była straszna, koszmarna pomyłka. W Paryżu mu się odwidziało i w te pędy wrócił do żony. Zostałam tam prawie rok. Za dużo piłam i popełniłam wiele głupstw. Potem zachorowałam, Jass przyjechał. Zabrał mnie do Szwajcarii i był przy mnie tak długo, aż wyzdrowiałam. Potrzebowałam emocjonalnej stabilizacji, poczucia bezpieczeństwa i czułości. Pobraliśmy się na pokładzie statku w drodze powrotnej do Stanów, przed dziewięcioma laty. Teraz mój mąż ma lat pięćdziesiąt osiem. Do pewnego czasu był to wygodny układ... Jednak rok temu wszystko się odmieniło. Jass jest bogaty i ma twarde zasady. To jego pierwsze małżeństwo. Niestety, nie możemy mieć dzieci, z mojej winy. Rok temu ponownie się zakochałam. Miałam nadzieję, że Jass okaże rozsądek... Ale go nie okazał. Postanowiłam od niego odejść. Myślałam, że wezmę pieniądze po ojcu i będę wolna. Wciąż dostawałam kieszonkowe i sądziłam, że pochodzi z odsetek od funduszu powierniczego, który dla mnie ustanowił. Wiem, że było ich kilka, dostawałam tysiąc pięćset dolarów miesięcznie od dnia dwudziestych pierwszych urodzin. I dokładnie tyle wydawałam, szło mi to cholernie dobrze. Jass był wykonawcą testamentu, jak już panu wspomniałam. Poprosiłam o rozliczenie, ale mnie wyśmiał. Oznajmił, że majątek ojca wyczerpał się przed laty, a on wypłacał mi pieniądze z własnej kieszeni. Zażądałam, żeby pokazał mi księgi. Odrzekł, że nic bym z nich nie zrozumiała. Dodał, że tatuś poczynił głupie inwestycje i pieniądze skończyły się w tym czasie, gdy braliśmy ślub. Nie wierzę w to, panie McGee. Mój ojciec miał powodzenie w interesach! Kiedy umierał, gazety podawały, że wartość jego majątku wynosi ponad dwa miliony dolarów. Taka suma nie mogła się, ot tak, rozpuścić. Myślę, że mój mąż... w jakiś sposób zagarnął te wszystkie pieniądze.

– Pani Yeoman, a ja myślę, że potrzebny jest pani prawnik albo księgowy. Ze mnie nie będzie pani miała żadnego pożytku.

– Powiem panu, jak sprawy stoją. Znajdujemy się w okręgu Esmerelda, dwanaście kilometrów stąd w dolinie leży miasto Esmerelda. Jest w nim bank i spółka powiernicza Esmerelda. Mój mąż trzyma w kieszeni okręg, miasto, bank i masę innych rzeczy. Jeździ na polowania z tymi, którzy trzęsą całym stanem, grywa z nimi w pokera. A mnie traktuje jak nieletnią na-

rzeczoną, która wpadła w dziecinną histerię. Mam być grzeczna, i po jakimś czasie głupstwa wywietrzeją mi z głowy.

– Rozmawiała pani z prawnikiem?

– Nie znalazłam w Esmereldzie żadnego, który zgodziłby się zająć tą sprawą. Wyszperałam jednego młodego w Belasco, w sąsiednim okręgu. Sondował rzecz przez miesiąc. Nie jestem w stanie powtórzyć wszystkiego, co mówił, ale chyba zapamiętałam to, co ważne. Mój mąż musiał zdać sprawę ze swojej kurateli przed sądem spadkowym i złożyć w nim odpowiednie raporty, zapewne dlatego, że byłam nieletnia. Napisał trzy: pierwszy pięć lat po śmierci tatusia, drugi dziesięć i trzeci piętnaście lat po fakcie. Ostatni, końcowy, wpłynął przed pięcioma laty i znalazła się w nim informacja, że fundusz majątkowy uległ wyczerpaniu. Sędzia, który go przyjmował, nie żyje. Cztery lata temu zbudowano nowy gmach sądu. Akta trafiły do archiwum i nawet nie zostały skatalogowane, więc nie sposób stwierdzić, czy w ogóle tam są. Adwokat, z którego usług korzystał Jass, nie żyje i nikt nie wie, co stało się z jego wnioskami i raportami. Mój prawnik powiedział, że trzeba by zacząć od drugiego końca. Musiałby zdobyć kopię kwestionariusza podatkowego złożonego do federalnej izby skarbowej dwadzieścia lat temu, ustalić listę aktywów, a następnie prześledzić w publicznych archiwach sprzedaży, co się z nimi działo i czy nie doszło do jakiegoś przekrętu. Jeśli tak, mogłabym wytoczyć sprawę mojemu mężowi. Tyle tylko, że gdybyśmy nawet znaleźli jakiś punkt zaczepienia, Jass byłby w stanie blokować sprawę przez trzy lub cztery lata, zanim w ogóle trafiłaby do sądu. Tymczasem mąż wstrzymał mi kieszonkowe do czasu, gdy jak to ujął, się opamiętam. Poklepuje mnie po głowie i każe zapomnieć o bzdurach.

– Może majątek nie był aż tak znaczny, jak się pani wydawało.

– Och, daj pan spokój! Tatuś uwielbiał nieruchomości ziemskie i pokładał wiarę w przyszłość tych terenów. Pokazałam adwokatowi i panu także mogę pokazać jedną z wielu działek, które do niego należały. Teraz stoją na niej zakład Chem-Del, dwa duże centra handlowe i około czterystu domków szeregowych. Adwokat sprawdził to w urzędzie okręgowym i okazało się, że działka nie została sprzedana po to, by z uzyskanej kwoty spłacić podatek spadkowy. Z aktu notarialnego wynika, że zbyto ją trzy lata po śmierci mojego ojca na rzecz firmy o nazwie Apex Development Corporation. Zapisy w archiwum stanowym wskazują, że Apex przetrwał cztery lata i upadł, nie pozostały po nim żadne aktywa. Tatuś był także właścicielem

posiadłości, w której teraz jesteśmy. Ma cztery tysiące hektarów, Jass wiedział, że ją uwielbiam. Podarował mi prawo własności jej części, razem trzysta pięćdziesiąt hektarów, to był mój prezent urodzinowy jakieś siedem lat temu. Powiedział, że odkupił ziemię od ówczesnych właścicieli. Cztery miesiące temu zastanawiałam się, czy by jej nie sprzedać, ale na akcie notarialnym figuruje także nazwisko Jassa, więc nie mogę.

– Czego właściwie pani ode mnie oczekuje?

– Mój mąż mnie okradł, musi być jakiś sposób, żeby odzyskać ten majątek... Niech Jass wreszcie potraktuje mnie poważnie. Bo jestem poważna, do jasnej cholery. Chcę swoich pieniędzy, chcę rozwodu i chcę wyjść za Johna Webba.

– Pieniądze są konieczne, jak się domyślam.

– John nie ma forsy, jeśli o to panu chodzi. Jest wykładowcą na Uniwersytecie State Western. Uczelnia podlega władzom stanowym, Jass ma w ich szeregach bliskich znajomych. Mówi, że w dniu, w którym od niego odejdę, John Webb wyleci na zbity pysk i będzie miał marne szanse, by dostać pracę gdzie indziej. Zostałam sprowadzona do roli więźnia, panie McGee.

– Mądra kobieta potrafi sprawić, że mężczyzna pozbędzie się jej z ulgą.

– Od miesiący zachowuję się jak prawdziwa megiera. Jass tylko się ze mnie śmieje, mówi, że mi to przejdzie. Zawsze był... bardzo namiętny, a ja nie pozwalałam mu się dotknąć, ale nie robi to na nim wrażenia, wydaje mi się, że ma kogoś na boku. Jest absolutnie pewny, że mój atak histerii minie i znów będę małą słodką dziewczynką, z którą się ożenił. Musiałam sprzedać biżuterię, żeby zapłacić honorarium prawnikowi, i zrobiłam to samo, żeby zapłacić za pański bilet lotniczy. Jass mówi, że wszystko wróci na dawne tory, gdy tylko dowiodę mu, że znów chcę być jego żoną. Opowiedziałam o swoich kłopotach Fran, kiedy mnie odwiedziła. A pan był jedyną opcją, którą mogła mi zasugerować.

– Nie widzę żadnej możliwości działania w tej sytuacji.

– Panie McGee, chcę przedstawić rzecz realistycznie. Pragnę go przekonać, by pozwolił mi odejść, i chcę dostać na odchodnym pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Jeśli zdoła pan jakoś wyrwać mnie z jego kleszczy i zdobyć sto tysięcy, otrzyma pan połowę sumy. Jeśli wydusi pan więcej, zapłacę panu dziesięć procent każdej kwoty powyżej stu tysięcy. W przeciwnym wypadku nie pozostanie mi nic innego, jak czekać beczynn timer, aż mój mąż umrze. A jest z niego wyjątkowo zdrowy okaz.

– Albo może pani najzwyczajniej w świecie czmychnąć z tym Webbem. Skrzywiła się.

– Zagroziłam tym mężowi, a on odparł, że nigdy w życiu nie da rozwodu uciekinierce. Zapowiedział, że wysłałby za mną pościg i sprowadził z powrotem, a jego ludzie spraliby Johna za wykradzenie czyjejś małżonki. John nie jest silny fizycznie, więc to nie wchodzi w rachubę. Mój mąż musi pozwolić mi odejść.

Wstała i zaczęła się przechadzać niespokojnie. Miała w sobie mnóstwo witalności, poloru i energii do działania. Nie wyglądała na taką, którą można upokorzyć i poskromić.

– Dlaczego mąż miałby przywłaszczyć sobie pani majątek?

– Chyba udało mi się rozwiązać tę zagadkę, doszły do mnie pewne plotki. To się zaczęło, kiedy miałam piętnaście lat. W tym mniej więcej okresie przydarzyło mu się parę wyjątkowo kiepskich sezonów. W interesach zawsze był bardzo odważny, domyślałam się, że przeholował. Rozproszył fundusze, chwycił zbyt wiele srok za ogon, więc kiedy koniunktura się pogorszyła, stracił pole manewru. Musiał sięgnąć po moje pieniądze, żeby się ratować. Może myślał, że zdoła mi je zwrócić, ale musiał brać coraz więcej i więcej i kręcić na wszystkie strony, zanim zdołał wyjść na prostą i stanąć na własnych nogach. Wtedy, jak się domyślałam, łatwiej było sfałszować dokumenty i zamknąć fundusz, niż zwrócić mi forszę. A najlepszą przykrywką dla wszystkich machinacji był ślub ze mną. Kiedy nawinęła się okazja, bez wahania się jej uchwycił. Nie sądzę, by Jass chciał się kiedykolwiek ożenić, nie jest tego typu facetem. Wykorzystał małżeństwo, żeby się zabezpieczyć przed moimi roszczeniami. Byłam w koszmarnym stanie ducha i rzuciłam mu się w ramiona. Przez te lata, kiedy... jakoś to szło, nigdy w gruncie rzeczy nie cieszyłam się pozycją jego żony. W najmniejszym stopniu nie zmienił swojego sposobu bycia. Nawet nie traktował mnie poważnie.

– Mimo to nie wiem, od której strony mógłbym ugryźć tę sprawę.

– Panie McGee, mój mąż nie zrobił tych przekrętów w całkowitej próżni. On także ma wrogów, ktoś musi wiedzieć o nim wystarczająco dużo, żeby... Żeby go przycisnąć. Chce sprawić na mnie wrażenie, że wcale się tym nie przejmuje, ale mu nie wierzę. Jestem prawie pewna, że mnie śledzono, myślę, że moje wysiłki wzbudziły w nim pewien niepokój. Zapewne nie wyglądałoby dobrze, gdyby gazety podchwyciły taki oto wątek: żona Jassa Yeomana żąda wyjaśnienia, co stało się z majątkiem jej ojca. Pewnie

martwi się także tym, że mogłam odłożyć część pieniędzy z pensji, którą mi wypłacał.

– Dlaczego pani tak uważa?

– Przez pięć lat zatrudniałam miłą meksykańską pokojówkę. Pół roku temu odeszła i wzięła ślub. Odwiedziło ją dwóch typów i przez kilka godzin wypytywało o moje sprawy finansowe: ile wydawałam i na co. Podawali się za kogoś w rodzaju księgowych. Zamartwiała się tym parę dni, a później przyszła i złożyła mi relację. To było dwa miesiące temu. Nasz układ z Dolores był wyjątkowy... Zwierzałyśmy się sobie ze wszystkiego, była mi bardzo droga.

– Sądzi pani, że skoro mąż się niepokoi, można wyrzucić na niego presję.

– Gdybym wiedziała, co począc, sama bym to zrobiła, panie McGee. Myślałam nawet o tym, by go zaszantażować. Wynajęłam kogoś, żeby wywiadał się o jego innych kobietach. Pewnie okazał się offermą, bo policja wtrąciła go na trzy dni do aresztu za drobne przewinienia w rodzaju plucia na chodnik. Potem dał za wygraną.

– Nie wiem, po prostu nie wiem – odparłem.

Gospodyni kazała mi iść za sobą. Wyszliśmy z chaty i zbliżyliśmy się do krawędzi zbocza. Pofałdowane wzgórza pokryte były czerwienią i brązem, tylko gdzieniegdzie pozostały plamy zieleni. Nieopodal sterczała kępa sosen poskręcanych przez wiatr. Mona Yeoman wskazała w kierunku zachodnim. Pasma wzgórz, na którym się znajdowaliśmy, opadało kaskadowo i przechodziło w płaski teren. Za półpustynną równiną widać było miasto Esmerelda zniekształcone przez fale gorącego powietrza i mgiełkę. Pośród niewyraźnej plątaniny kształtów sterczały jasne bryły. Z północnego wschodu, jakieś sześć kilometrów od miejsca, w którym staliśmy, i przynajmniej dziewięćset metrów niżej, dochodziła do niego na ukos droga stanowa numer osiemdziesiąt siedem. Widziałem dwie duże srebrne ciężarówki pełzające wśród zwinniejszych żuczków prywatnych osobówek.

Mona Yeoman stała z gołą głową tuż obok mnie.

– Mam trzydzieści dwa lata, panie McGee.

Zmarnowałam wiele czasu, wiele lat. Na swój sposób jestem mu wdzięczna, ale chcę się wyrwać. Jestem uwięzioną księżniczką, a tam stoi zamek. Królem jest Jass. Mam pewną swobodę poruszania się, pod warunkiem że na noc wracam karetą do zamku. Zdaję sobie sprawę, jak łzawo to brzmi. Kiedy jednak człowiek jest zakochany, przychodzą mu do głowy ro-

mantyczne skojarzenia. A ja nie jestem jeszcze tak stara, by koić się płaczem do snu. Ktoś musi mi pomóc.

Stała po mojej prawej stronie, zwrócona do mnie twarzą. Słońce upalnego dnia zraszało potem jej czoło i górną wargę. Oczekiwała mojej odpowiedzi. A ja milczałem i marszczyłem brwi, szukając słów, by oznajmić jej, że takimi sprawami się nie zajmuję.

Nagle runęła przed siebie, jej ramię potraściło mnie i pchnęło w tył. Upadła z przechyloną głową na spieczoną ziemię i kamienie. Już leżąc, przesuwała się po gruncie co najmniej piętnaście centymetrów, nie uniósłszy rąk w celu złagodzenia upadku. Dźwięk, który go poprzedził, był dziwnie paskudny. Tępy odgłos uderzenia podobny do tego, który towarzyszy wbijaniu toporka w miękkie zbutwiały pień. Leżała bez drgnienia i w całkowitej ciszy, bezwładnie i płasko. Wtedy usłyszałem dalekie warknięcie ciężkiego karabinu, które odbiło się echem od skalistych wzgórz. Dzień był bezwietrzny. Od chaty dzieliła mnie zbyt duża odległość. Rzuciłem się ku sosnom, które rosły piętnaście metrów dalej. Obiegnąłem je, ślizgając się, upadłem i chwyciłem się powykrzywianego korzenia. Moje nogi zawisły nad skrajem urwiska. Poruszony kamień potoczył się i odbił raz, a potem drugi – po upływie wielu sekund. Przełknąłem kulę, która wezbrała mi w gardle na wyraziste wspomnienie mokrego otworu, który pojawił się na kręgosłupie Mony Yeoman pod jej jedwabną bluzką, dokładnie pośrodku pleców, jakieś pięć centymetrów pod miejscem, w którym szyja łączyła się z jej kształtnymi ramionami. Broń wielkokalibrowa, potężne uderzenie. Energia to pochodna masy i prędkości. Ta druga musiała być duża, gdyż odgłos pojawił się ze sporym opóźnieniem. Sekunda? Mniej. Pięćset metrów? Podciągnąłem się i wyjrzałem zza pnia drzewa. Labirynt wzgórz, tysiąc kryjówek, w których można się przyczaić.

Musiałem wziąć się w garść i na trzeźwo ocenić możliwości strzelca w tej sytuacji. Jeśli nie był kretynem, mierzył w tułów. Pocisk tak dużych rozmiarów załatwiłby sprawę, nawet gdyby trafił w bark lub biodro. Gdyby dostała w udo lub w ramię, też miałbym nikłe szanse sprowadzenia pomocy na czas. Ale kula rozplątała wielką centralną wiązkę przewodów, przez które biegły wszystkie informacje. Nagłe potężne uderzenie spowodowało skok ciśnienia płynu mózgowo-rdzeniowego, mózg w ułamku sekundy spowiła ciemność.

Mona zginęła, nie wiedząc, że umiera.

Zniżyłem wzrok i spojrzałem na nią. Czubek jej głowy skierowany był w moją stronę. Widziałem kiedyś klacz, która przeskoczyła płot i zginęła od zderzenia z pick-upem. Narożnik przedniej szyby uderzył ją za uchem, szyja pękła. Zwierzę runęło na ziemię bezwładnie, jakby w jego ciele nie było ani jednej kości.

Patrzyłem na pofałdowane zbocze sąsiedniej góry, niczego nie widziałem i niczego nie słyszałem. W ciszy zdawało mi się, że gdzieś w oddali ktoś uruchomił silnik samochodu.

Dziś wieczór księżniczka nie wróci karocą do zamku.

Zmęczony się czekaniem, pozbierałem się i ruszyłem biegiem ku chacie w sposób, którego nauczył mnie kiedyś wujek. Wpadłem do chłodnego wnętrza i rozluźniłem swoje cenne ciało. Na kominku stała pusta szklanka, na krawędzi pozostała różowa szminka. Skórzana poducha wciąż nosiła na sobie odcisk krągłej pupy Mony Yeoman. Zobaczyłem sfatygowaną lornetkę wiszącą na gwoździu. Sprzęt marynarski o ośmiokrotnym powiększeniu. Lewa soczewka przesunięta, prawa dobra. Zobaczyłem muchy o jasnozielonych odwłokach uganiające się wokół jej jedwabnej koszuli.

Skórzana torebka wisiała na krzeselku obok kurtki i kapelusza. Znalazłem w niej osiemdziesiąt dziewięć dolarów. Wziąłem osiemdziesiąt. Schowałem swoją butelkę do walizki i podszedłem do drzwi. Zacerpnałem trzy głębokie oddechy, po czym puściłem się biegiem ku drodze. Pędziłem, aż znalazłem się za pierwszym zakrętem. Drżały mi palce, kiedy zapalałem papierosa. A potem kołyszącym się krokiem ruszyłem drogą w dół.

2

Kiedy przedarłem się przez rumowisko, opadła mnie nedorzeczna chęć, by przerzucić kamienie i poszukać pod nimi małego białego autka. Przykucnąłem. Żwir jest zbyt sypki, by zachowały się w nim odciski butów, tam zaś, gdzie go nie było, uniemożliwiała to spieczona i twarda jak kamień ziemia. Widziałem jednak, w którym miejscu wycofano samochód i odjechało. Pamiętałem, że Mona zostawiła kluczyki w stacyjce, nie było powodu, by tego nie robić. Trzy czy cztery kilometry dalej znajdowała się stara brama, którą otworzyłem, a potem zamknąłem, gdy przez nią wjechała.

Pomyślałem, że odgłos zapalania silnika, który usłyszałem, mógł pochodzić od jej samochodu. Przyszła mi jednak do głowy inna myśl. Postawiłem walizkę na szosie i wspiąłem się na wierzchołek osuwiska. Znalezienie tego miejsca zajęło mi jakieś pięć minut: poczerniała skała i słaba woń materiału wybuchowego. Wystarczyło, że ktoś wsunął do szczeliny kilka lasek dynamitu, a na drogę zwały się parę ton kamieni. W jakim celu? Żeby Mona zostawiła wóz i poszła pieszo? Po co? Żeby ktoś mógł zabrać jej samochód? Do czego był potrzebny?

Nie znałem odpowiedzi na te pytania, wziąłem więc walizkę i schodziłem dalej. Przyszło mi na myśl, że zabicie kobiety, która całą sobą prowokuje, to akt osobliwie bezlitosny. Takich się nie zabija. Nikt nie powinien pozbawiać życia słodkiego ciała, niweczyć tego wewnętrznego żaru, uciśzać śpiewnego głosu.

Jednak Mona Yeoman była martwa i taka pozostanie na wieki. Zająłem się więc odtwarzaniem przebiegu wypadków i weryfikowaniem hipotez. Wyszedłszy przez starą zniszczoną bramę, znalazłem się na wąskiej betonowej podziurawionej szosie. Droga z pewnością nie prowadziła do żadnego ważnego celu, a mnie się wcale nie spieszyło, żeby to sprawdzać. Ruszyłem

w przeciwną stronę trasą, którą przybyliśmy. Szacowałem, że mogła mieć ze trzy kilometry, może więcej. Liczyłem na podwózkę. Jednak cztery samochody, które mnie minęły, przejechały szybko. Nie zdążyłem nawet dobrze przyjrzeć się kierowcom.

W końcu dotarłem do skrzyżowania, które pamiętałem jak przez mgłę. Stała tam zakurzona stacja benzynowa z jadłodajnią, o której ścianę opierały się fragmenty karoserii popsutego wozu. W cieniu przed budynkiem jakiś mężczyzna siedział przechylony w fotelu. Nie chciałem zakłócać mu sjesty.

Wszedłem do jadłodajni. Przy stoliku siedziała przysadzista młoda dziewczyna w poplamionym zielonym swetrze i czytała kolorowe czasopiśmo. Wstała powoli, kiedy zaskrzypiały siatkowe drzwi. Miała ogromne piersi i przypominała z wyglądu komika Buddy'ego Hacketta.

– Chciałbym zatelefonować.

Nie odpowiedziała, tylko klapnęła z powrotem na krzeselko.

– Jak się nazywa ten lokal? Żebym wiedział, jakie podać namiary.

– Stacja Garry'ego w Cotton Corners.

Wyjąłem miedziaka i zajrzałem do książki telefonicznej, po czym wykreśliłem policyjny numer alarmowy.

– Biuro szeryfa, mówi jego zastępca London.

– Jestem na stacji Garry'ego w Cotton Corners. Chcę złożyć zawiadomienie o postrzale i kradzieży pojazdu.

– To się zdarzyło w miejscu, w którym pan przebywa?

– Nie, ale mogę pana tam doprowadzić.

– Jak się pan nazywa?

– McGee, Travis McGee. – Miałem świadomość, że siedząca za mną dziewczyna słucha z napiętą uwagą.

– Mogę wysłać radiowóz, dojedzie w ciągu dziesięciu minut. Proszę czekać. Może pan opisać skradziony pojazd?

– Białe alpine sunbeam, numery miejscowe.

– Zna je pan?

– Nie.

– Kto to zrobił?

– Nie mam pojęcia.

– Gdzie to się stało?

– Na wzgórzach jakieś osiem, dziesięć kilometrów stąd. Przyszedłem pieszo, więc od zdarzenia upłynęła godzina, a właściwie bliżej dwóch go-

dzin.

– Kto został ranny?

– Kobieta, pani Jasperowa Yeoman. Nie żyje.

– Pani Yeoman! Boże Wszchemogący! Proszę tam czekać.

Odłożyłem słuchawkę. Przysadzista dziewczyna spojrzała na mnie z uwielbieniem.

– O rany! – odezwała się. – Coś takiego! Do licha!

– Może mi pani podać colę?

– Jasne, już się robi. Co się właściwie stało? Kto ją zastrzelił?

– Wie pani, kim ona jest?

– A kto nie wie? Nieraz kupowała tu paliwo. Jej stary miał połowę okręgu Esmerelda. A ona była zarozumiałą zdzirą. Kto to zrobił?

– Lepiej, żeby to policja zadawała te pytania.

– Widział pan, jak to się stało?

– Proszę nie przesadzić z lodem.

Postawiła przede mną szklankę i wybiegła truchtem. Słyszałem, jak trajkocze do mężczyzny, który spał na fotelu, kiedy zjawiłem się na stacji. Po chwili weszli oboje. Był młodszy, niż mi się zdawało. Jego skóra miała odcień jasnego brązu, podobny do barwy jaszczurek skalnych. Spojrzał na mnie, jakbym przed chwilą opowiedział mu świński dowcip.

– Ta zdzira na pewno wykitowała?

Boże drogi, jaką radochę im sprawia, kiedy dowiadują się, że śmierć zwala z nóg także wielkich tego świata. Że padają jej łupem również ci, którzy śpią na forsie. Patrzyli na mnie tak, jakbym obojgu przyniósł wór słodczy. Potwierdziłem, że kobieta naprawdę zginęła.

– Pan nie jest stąd – rzekł mężczyzna i nie zabrzmiało to jak pytanie. – Była córeczką starego Cube’a Foxa. Mój ojczulek kiedyś u niego pracował. Cube ożenił się dopiero po trzydziestce. Była jego jedynym dzieckiem z prawego łoża, ale w tej części stanu na bank lata ze czterdziestu dorosłych, którzy mają niebieskie gały Cube’a, a resztę meksykańską. Cube miał kręcka na punkcie meksykańskich lasek, dobrze gadał w ich języku. On i Jass Yeoman trzymali się razem. Tatko mówił, że kiedy Jass chajtnął się z córką Cube’a, ten musiał się przewracać w grobie i kląć tak, że więdła trawa na jego mogile. Wie pan, kto ją zabił?

– Jestem obcy w tych stronach.

Pod stację zajechał samochód. Ktoś dotknął jakiejś gałki, syrena jęknęła niskim tonem i zamilkła.

Wyszliśmy na zewnątrz. Z bladoszarego radiowozu z zatartym znakiem szeryfa na drzwiach wysiadło dwóch mężczyzn w wyblakłych mundurach koloru khaki. Mieli na głowach szerokie kapelusze jak gliniarze w telewizji oraz pasy z pistoletami, na piersiach nosili srebrne odznaki. Nic już nie wygląda jak autentyk. W osiedlach emerytów stare pierniki z Upper Berth w Ohio stroją się w portki szeryfów i mrużą oczy, żeby pojawiły się wokół nich zmarszczki jak u spalonych słońcem kowbojów.

– Hej, Arnie – odezwał się roślejszy z policjantów.

– Cześć, Homer. Cześć, Dave.

Homer wetknął kciuki za pas i wskazał mnie skinieniem głowy.

– Słyszeliście, co ten gość mówił przez telefon? Ty i siora?

– Jasna sprawa, i jeśli to nie jest naj...

– Arnie, ty albo twoja siora lubicie wisieć na telefonie i grać w loterie telewizyjne. A my wpadniemy tu któregoś dnia i jak nic okaże się, że posiadacie nielegalny odbiornik. I nigdy nawet nie słyszeliście o oficjalnej zgodzie na używanie szyldu. W urzędzie okręgowym dowiedzą się, że macie brudny ruszt i niedomyte szklanki. A ten cały złom, który tu leży, też wygląda mi na wart zainteresowania.

– Homer, jeśli chcesz, żebyśmy trzymali buzie na kłódki, wystarczy powiedzieć.

– Arnie, jeśli ty albo siostra pobiegniecie na wzgórze i szepniecie słówko o tej sprawie choćby pieskowi preriowemu, będziesz zasuwał przy budowie dróg, a twoja siostra w pralni, tak mi dopomóż, wiesz kto. – Odwrócił się do nich plecami. – McGee?

– Zgadza się.

– Nazywam się Hardy, a to jest Dave Carlyle. Poczekamy na szeryfa, niedługo się tu zjawi. To on będzie zadawał pytania. A teraz obie ręce na kark.

Zrobiłem, co mi kazał. Przeszukanie było szybkie i profesjonalne. Pasek, brzuch, krocze, pachy, kieszenie i kostki.

– Ma pan coś przy sobie?

– Walizka jest w jadłodajni.

– Przynieś ją, Dave.

Niższy i starszy wiekiem zastępca szeryfa wykonał polecenie. Postawił walizkę na masce radiowozu, otworzył, pomacał i zamknął.

– Teraz sprawdzenie tożsamości – oznajmił Homer Hardy. – Proszę mi nie dawać portfela, tylko prawo jazdy, jeśli pan je ma.

Położył dokument na masce, spisał informacje do notesu i oddał.

– Dziękuję, panie McGee.

– Bardzo proszę.

– Szeryf nadciąga – rzucił Dave Carlyle. W polu widzenia pojawił się zakurzony, nowy duży samochód typu kombi. Kiedy wjechał na stację benzynową, raptownie zahamował i zatrzymał się w obłoku kurzu.

Homer zwrócił się do rodzeństwa:

– Wejdźcie do środka.

Oddalili się niechętnie. Szeryf wysiadł z samochodu. Był młodszy od swoich zastępców. Potężna klatka piersiowa, kanciasta szczeka i byczy kark nadawały mu wygląd byłego zawodnika sportów walki. Na głowie miał wyblakłą czapkę drużyny baseballowej White Sox, sportową koszulę w granatowo-białą kratkę wypuścił na szare spodnie. Domyśliłem się, że rośnie mu brzuszek i maskuje go koszulą.

– A więc? – zagadnął Homera.

– To Travis D. McGee z Fort Lauderdale na Florydzie. Jest czysty, w walizce ma ubrania, przybory toaletowe i otwartą butelkę bourbona. Nie sprzeciwiał się przeszukaniu. Kazałem siedzieć cicho Arniemu i jego siostrze, nie puszczają z ust. McGee o nic nie pytaliśmy, więc wiesz dokładnie tyle samo co my.

– On pojedzie ze mną, a wy za nami – oznajmił szeryf. Dave włożył moją walizkę do kombi. Wsiadłem z szeryfem, powiedział, że nazywa się Buckelberry. Nie uśmiechnął się. Być może dorobił się takiego karku i barów, pokazując nowo poznanym ludziom, że nie należy stroić sobie żartów z jego nazwiska.

– Dokąd jedziemy?

– Proszę tu skręcić, jakieś pięć kilometrów stąd jest brama...

– Do starej górskiej chaty, co? Znam to miejsce. – Ruszył szybko. – Kto ją zastrzelił?

– Nie wiem, to był snajper. Strzelał z ciężkiego karabinu o dużym zasięgu. Dostała w górną część kręgosłupa, strzał padł z tyłu i zabił ją momentalnie. Zostawiłem ją tak, jak upadła. Nikogo nie udało mi się wypatrzeć, ni jak nie mogłem jej pomóc. A poza tym nie chciałem dawać szaleńcowi szansy, żeby mnie ukatrupił. Facet wciąż mógł się tam czaić.

– Kiedy to się stało?

– Spojrzałem na zegarek jakieś dziesięć minut po fakcie. Z moich wyliczeń wynika, że strzał padł o czternastej dwadzieścia pięć. Schowałem się i czekałem około pół godziny. Potem zszedłem drogą do miejsca, w którym zostawiliśmy samochód.

– Droga dochodzi do samej chaty.

– Nie wtedy, kiedy leży na niej osuwisko kamieni. Musieliśmy zostawić wóz osiemset metrów przed chatą i dojść pieszo. Gdy tam wróciłem, samochodu nie było. Pamiętam, że pani Yeoman zostawiła kluczyk w stacyjce. Przeszedłem całą drogę, nie złapałem okazji. Dotarłem aż do Cotton Corners. Nie mogłem skontaktować się wcześniej.

– Czy to mogła być zabłąkana kula?

– To możliwe. Chyba.

– Słyszał pan strzał?

– Owszem. Pocisk trafił ją bardzo szybko i bardzo mocno, usłyszałem go, kiedy już leżała na ziemi.

Przypuszczam, że odgłos dotarł do mnie po upływie niespełna sekundy.

Dojechaliśmy do bramy, drugi samochód zatrzymał się za nami. Dave pospieszył otworzyć bramę i po chwili ruszyliśmy żwirową drogą.

– A pan skąd się tutaj wziął, panie McGee?

– Poznaliśmy się dzięki wspólnej znajomej, Fran Weaver. Nazywa się Hyde'owa Weaver, jest wdową i starą przyjaciółką Mony Yeoman. Jakiś czas temu odwiedziła Monę. Szukałem zacisznego lokum, w którym mógłbym dokończyć swój projekt. Chciałem też, żeby nie było drogie. Fran zasugerowała chatę Mony Yeoman, skontaktowałem się z nią, a ona zgodziła się wynająć mi domek. Przyleciałem dzisiaj w południe, spotkaliśmy się w Carson i przywiozła mnie do chaty, żeby mi wszystko pokazać. Warunki obojgu nam odpowiadały, miałem mieć do dyspozycji jeepa. Za pomocą łomu usunąłbym kamienie z drogi, trochę bym się napocił, to wszystko. Po-deszliśmy do krawędzi skały obok szopy, żeby obejrzeć widok. Nagle jak grom z jasnego nieba padł strzał i było po niej.

– Dlaczego w Carson, a nie w Esmereldzie?

– Nie mam pojęcia, ona to zaproponowała. Może chciała tam przy okazji coś załatwić.

Dotarliśmy do osuwiska. Szeryf zjechał tak daleko na prawą stronę drogi, jak było to możliwe; drugi samochód zatrzymał się obok.

– Wezwać karetkę? – spytał przez otwarte okno Dave.

– Najpierw się rozejrzyjmy. Jaki projekt chciał pan dokończyć, panie McGee?

– Podręcznik pływania jachtami turystycznymi.

– Pisze go pan? Diabelnie sucha okolica jak na pisanie o wodzie.

– Gdybyśmy doszli z Moną do porozumienia, kazałbym przysłać tu moje graty. Wszystkie są w pudłach. – Westchnąłem. – To byłoby ciche, przyjemne miejsce do pracy.

Wspięliśmy się po kamieniach i ruszyliśmy drogą pod górę. Ja i Buckelberry szliśmy na czele. Wędrówki tym szlakiem powoli zaczynały mnie nudzić. Dochodziła siedemnasta. W ogóle zaczynały mi się nudzić piesze wycieczki. Kiedy minęliśmy kolejny zakręt, dostrzegłem dach chaty. Pokonaliśmy ostatnie sześć metrów, a ja powiedziałem:

– Leży tam...

Zatrzymałem się i gapiłem na kompletnie pusty kawałek spalonej słońcem ziemi i skały. Trójka policjantów gapiła się na mnie. Ułożyłem wargi w głupi przeprasający uśmiech.

– Ciało leżało w tamtym miejscu, przysięgam. Wzruszyli ramionami, podeszliśmy bliżej.

Uświadomiłem sobie, że powinny zostać ślady krwi. Pocisk przeszedł przez jej tułów i z pewnością zrobił sporą wyrwę z przodu. Wiedziałem dokładnie, w którym miejscu upadła. Przykucnąłem na piętach. Podłoże wyglądało tak, jakby ktoś zebrał ziemię i ją przyklepał, ale nie mogłem mieć co do tego pewności. Spojrzałem w stronę urwiska. Jeśli ktoś zeskrobał zakrwawioną ziemię i zrzucił ją ze zbocza, przepadła na dobre.

Wyprostowałem się i oznajmiłem mocnym głosem:

– Zostawiła swoje rzeczy w chacie.

Podeszliśmy do domku, drzwi były zamknięte.

– Szeryfie, kiedy stąd odchodziłem, drzwi były otwarte. Na twarzach policjantów malowało się głębokie niedowierzanie. Buckelberry wzruszył ramionami i jął obmacywać zakamarki ganku. Po dłuższej chwili znalazł klucz, spojrzał na niego i ściągnął palcami warstwę pajęczyny.

– Otworzył pan chatę tym kluczem, panie McGee?

– Mona miała klucz ze sobą.

Weszliśmy do środka. We wnętrzu unosiła się specyficzna woń, tak pachną miejsca, które stoją puste długimi miesiącami. Kapelusz, torebka i kurtka

zniknęły, podobnie jak okulary. Skórzana poduszka spoczywała na krześle. Pamiętałem, że wrzuciłem niedopałek papierosa do kominka, pani Yeoman nie paliła. Nachyliłem się i spojrzałem, niedopałka także nie było.

– No i co jest, do licha? – spytał z irytacją Buckelberry.

Opisałem samochód Mony, zrelacjonowałem ze szczegółami, jak była ubrana. Powiedziałem, w które miejsce trafił pocisk, i jak brzmiał odgłos wystrzału.

Stali i gapili się na mnie. Buckelberry puścił oko do Homera Hardy’ego.

– Teraz rozumiem, szeryfie, dlaczego nie wezwaliśmy karetki – rzucił Homer.

– Wyjdźcie i odsapnijcie w cieniu, chłopcy – zarządził Buckelberry.

Wyszli, usłyszałem śmiech Homera. Szeryf kazał mi usiąść na krześle, a sam przysiadł na łóżku.

– Cholernie głupia zabawa, McGee.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Ta idiotka od miesięcy groziła, że ucieknie z nauczycielem akademickim, i od miesięcy zadręczała męża, żeby dał jej wolną rękę. Jass śmiał się na mieście, że widywał gorsze objawy cieczi. „Przejdzie jej”, mówił. A Mona wie dobrze, że nigdy nie zdoła uciec tak daleko, by Jass jej nie dopadł. Kiedy ściągnie ją z powrotem, spuści jej solidne baty. To tylko chwilowy przypadek swędzenia w majtkach, panie McGee. I co teraz mamy robić? Szukać przez tydzień na tym odludziu zwłok, których nie ma? Nieźle się spisałeś, McGee, prawie ci uwierzyłem. Słyszałem, że jej papcio, stary Cube Fox, wykrecał takie numery, tylko że on był w tym lepszy.

– Mówi pan bez sensu, szeryfie.

– Powiem panu coś sensownego. Mona ma stukniętych znajomków, którzy wpadli na pomysł, jak uwolnić ją od Jassa Yeomana. Jej autko stoi schowane gdzieś w zaroślach, a ona i profesorek siedzą w samolocie, który właśnie startuje z lotniska. Babka przestraszyła się męża i chce zdobyć przewagę na starcie. Gdybyśmy uznali ją za zmarłą, zyskałaby tydzień i nie mówiłoby się tak głośno o tym, że ją swędzi w majtkach. Ale się nie udało. Gdy tylko znajdziemy samochód, skontaktuję się z Jassem. Stawiam osiem do pięciu, że sprowadzi Monę do domu jutro albo pojutrze. A kiedy dobierze się jej do zgrabnego tyłka, laska przez dwa tygodnie nie posadzi go na krześle. Kim pan w ogóle jesteś? Jakimś znajomym aktorem, którego poznała w Nowym Jorku?

– Uważa się pan za dobrego szeryfa?

Oczy policjanta się zwięzły.

– W tym okręgu szeryfów nie wybiera się w głosowaniu.

– Nigdzie nie powinno się ich wybierać, amen. Proszę więc pomyśleć jak dobry stróż prawa. Jeśli to jest przekręt, to gdzie wkrętka?

– Że co?

– Jeśli mamy do czynienia ze sprytnym oszustwem, to ktoś, kto ma krztynę oleju w głowie, powinien gdzieś umieścić fałszywy trop. Zwierzęcą krew, ślady szarpaniny. Guzik z ubrania Mony, cokolwiek, co uprawdopodobniłoby całą rzecz, na litość boską.

Na kanciastej szczęce widać było nieznaczne drgnienia mięśni.

– Ja też umiem grać w tę grę. Może lepiej, żeby nie było żadnych śladów, bo dzięki temu może pan mówić to, co przed chwilą usłyszeliśmy.

– To jak zgadywanie, w której ręce jest kamyk. Wiem jedno, szeryfie. Widziałem, jak upadała. Możemy do woli bawić się w zgadywanki, ale ja widziałem martwą Monę Yeoman.

Policjant pokręcił głową.

– Nie chcę się czepiać kogoś, kto próbuje wyświadczyć przysługę znajomej. Zdaje mi się, że mógłbym obciążyć pana grzywną za umyślne wprowadzenie w błąd policji.

Przy pierwszej okazji powiem Yeomanowej, że się pan starał.

– Ma pan dobrych laborantów?

– Korzystamy z ich usług, panie McGee. Mamy centralne laboratorium, które obsługuje dziesięć okolicznych okręgów.

– Może by ich pan tu przywiózł i puścił w teren?

– Widzę, że nie daje pan za wygraną. Nie ma potrzeby ich tutaj ściągać. Namierzmy uciekinierów jeszcze przed północą. Nasza parka mogła stąd prysnąć tylko w trzech kierunkach. Do Vegas, Meksyku albo do Nowego Jorku. Stary Jass zarzuci lasso, zaciśnie je i przywlecze żonkę do domu. No dobrze, zbierajmy się.

Wyszliśmy z chaty wprost w promienie popołudniowego październikowego słońca, które niebawem miało zejść za wysokimi górami daleko za Esmereldą.

– Jak na mój gust to wina Jassa – powiedział szeryf. – Za bardzo ją rozpuścił, zanim się z nią ożenił. Wszystkiego, czego potrzebowała, mogła się nauczyć w promieniu pięćdziesięciu kilometrów od domu, tak by było, gdy-

by stary Cube dalej żył. Wydaje mi się, że Jass zbyt łatwo spełniał jej zachcianki.

Powlekliśmy się do samochodów. Słyszałem, jak Homer i Dave mamroczą coś do siebie, śmiejąc się od czasu do czasu. Byli tak cholernie przekonani o swojej racji, że postanowiłem nie kierować ich do miejsca, w którym ktoś podłożył ładunek i wysadził skałę.

Szeryf kazał swoim podwładnym wrócić na patrol. Skontaktował się przez radio z komendą i poprosił o połączenie z Jasperem Yeomanem, ale potem zrezygnował.

– Za wiele niepowołanych osób jest podłączonych do sieci – wyjaśnił. – Po co dawać im powód do kpin?

– Gdybym miał zgadywać, z jakiej broni padł strzał – zacząłem – wymienilibym kaliber czterdzieści cztery magnum. Siła uderzenia była taka, jakby dorosły mężczyzna z pełnym rozmachem rąbnął ją czterokilogramowym młotem. Kula mniejszego kalibru wbiłaby się szybciej, uderzenie byłoby słabsze.

– McGee, na litość boską!

– Z pewnością niewielu ludzi w okolicy dysponuje tak potężną bronią.

– Owszem, niewielu, a ci, którzy ją mają, nie używają jej do rozwalania blondynek, żon bogatych biznesmenów, kolego. Jadę do miasta, pasuje?

– Chyba musi pasować. Byłbym wdzięczny, gdyby wyrzucił mnie pan przed motelem. Najlepiej, żeby był w pobliżu miasta, a poza tym czysty i tani, jeśli te dwie cechy chodzą ze sobą w parze w tych stronach.

– Długo pan zostanie?

– Może zapytam pana Yeomana, czy użyczy mi tej górskiej chaty.

– Niech pan nie zgrywa cwaniaka.

– Co to ma znaczyć, szeryfie?

– To spokojna okolica, nie rządzą tu twardą ręką ani w mieście, ani w okręgu. Nie musimy. Jeśli jednak porządny obywatel taki jak pan Yeoman wspomni, że pańska obecność mu nie pasuje, będziemy musieli zaostrzyć metody i zakasać rękawy. Trochę to staroświeckie, wiem. Jednak ci, którzy płacą diabelnie wysokie podatki, mogą liczyć na diabelnie dobre usługi.

Wyjechaliśmy na drogę numer osiemdziesiąt siedem i skręciliśmy w lewo. Z dna doliny nie było już widać słońca, lecz jego poświata nadawała wysokim budynkom Esmereldy różowawy odcień. Dwupasmowa auto-

strada biegła do miasta prosto jak strzeł. Szeryf podwiózł mnie do motelu Latigo, oznajmił, że jest w nim tanio i czysto; kazał mi nie pakować się w tarapaty, a potem odjechał.

Motel stał na wąskiej działce, usytuowany pod kątem prostym do autostrady i wbity pomiędzy kręgielnię Idle Hour Lanes oraz sklep Baby Giant Soop-R-Mart. Przedwieczne niebieskawe światło miało chłodną barwę, w niewielkim kaktusowym ogrodzie motelu zapalono czerwone reflektory. Po drugiej stronie drogi stała restauracja o nazwie Corral Diner-Choice Western Beef, a nieco dalej druga: ChunkyBurger Drive-in; muzyka z szaf grających niosła się daleko, mimo że próbowały ją zagłuszać silniki ciężarówek mknących szosą.

Zameldowała mnie tęga roztargniona młoda kobieta z dzieckiem, które trzymała na otluszczonym biodrze; dostałem pokój numer siedem. Pobrała ode mnie pięć dolarów plus podatek. Ocknęła się, kiedy oznajmiłem, że nie mam samochodu. Przystwojenie tego faktu sprawiło jej trudność. Widać było po niej zdumienie, uznała mnie za prawdziwego ekscentryka.

Poszedłem do siódemki. Za rzędem pokoiów znajdował się wyjątkowo mały basenik kąpielowy, otaczał go wysoki parkan z drewna sekwoi, który miał zapewnić użytkownikom poczucie intymności. W wodzie pluskał się tuzin rozwrzeszczanych maluchów. Pokój był mały, czysty i bardzo skąpo wyposażony. Zrzuciłem marynarkę i rozciągnąłem się na podwójnym łóżku.

Kiedy masz możliwość ruchu, kiedy musisz pozostawać w ruchu, wiele spraw możesz utrzymać na bezpieczną odległość. Jednak kiedy nieruchomiejesz, zwalają się na ciebie. Nie polubiłem Mony Yeoman, sprawiała wrażenie zadufanej w sobie i sztucznej. Zachowywała się prowokacyjnie, a nie uwodzicielsko. Mężczyzna nie potrafi się powstrzymać przed sypialnianymi spekulacjami. Jej maniery sprawiły, że miałem ochotę nią potrząsnąć, zmierzwić tę koafiurę za dwadzieścia pięć dolców, naprawdę przemówić jej do rozumu i wziąć ją w takie obroty, żeby zapomniała o swoich zwyczajach pani na włościach. Nie spodziewałem się, że kiedykolwiek będzie to możliwe, jednak przyprawiała mnie o tego rodzaju ciągoty. Niektóre babki naprawdę się o to proszą.

Stała obok mnie wychuchana zdzira wystrojona w szyte na miarę obcisłe spodnie i nagle zamieniła się w kawał zimnego mięsa. Wszystko stało się o wiele za szybko. Widywałem już martwe kobiety, widziałem nagłą

śmierć, oczekiwaną i nieoczekiwaną, nigdy jednak nie widziałem nagłej nieoczekiwanej śmierci atrakcyjnej kobiety. Odczułem to głębiej, niżbym się o to podejrzewał. Było w tym zdarzeniu coś więcej aniżeli poczucie przeraźliwej straty. Nie potrafiłem określić, co mną tak wstrząsnęło i wciąż nie dawało mi spokoju. W jakiś sposób jej śmierć łączyła się z moją śmiertelnością, z faktem, że kiedyś przyjdzie także mój dzień i że jest to nieuniknione. Dzieciństwo było daleko za nią, lecz kiedy leżała martwa, znów stała się małą dziewczynką, którą ktoś zdruzgotał, a przez to stała się bliższa mojemu sercu niż wtedy, gdy była żywa. Tak chyba wygląda emocjonalna nekrofilia.

Zdawało mi się, że jestem zrównoważony. W swoim czasie było ze mną bardzo źle, wychodziłem z tego stanu wolno i niepewnie, w mojej głowie kłębiły się demony, dręczyły mnie wyrzuty sumienia i krwawe koszmary. Wynurzyłem się jednak na powierzchnię z odpowiednią ilością forsy, by zafundować sobie terapię w stylu McGee: powolne i ostrożne przywykanie do piwa i blasku słońca, łodzi i śmiechu, tarzania się po piasku z plażowymi dziewczynami, łowienia ryb, spacerów nad wodami zatoki i spoglądania na księżyc, niezapowiedzianych imprez, drobnych sesji odprężających w St. Thomas i Deep Water Cay. I wydawało mi się, że wyczołgałem się na brzeg we własnej skórze plażowego obiboka McGee, grubo ciosanego luzaka, opalonego na brąz jasnookiego i rozczochranego buntownika – wolnego strzelca bez przydziału, niezaprogramowanego i zdystansowanego. Wierzyłem nawet, że wyhodowałem sobie dodatkową warstwę skóry w miejscach, które łatwo zranić.

Toteż gdy uświadomiłem sobie natychmiastową konieczność zdobycia środków pieniężnych – kiedy nie pozostało mi prawie nic oprócz funduszu wojennego odłożonego na poczet kosztów operacyjnych – wiedziałem, że tym razem będę działał sprytnie i na chłodno. Zero empatii, chłoptasiu, żadnego wylewania łez nad kimś, kto tonie. Traktujesz robotę jak dojrzałą pomarańczę, wyciskasz z niej forszę niczym sok i wesół jak skowronek wracasz do siebie, na pokład *Busted Flush**, zacumowanego przy kei F-18 w porcie jachtowym Lauder-niech-to-szlag-dale.

Miałem dwie rozsądne opcje na oku, a kiedy przyszedł list od Fran Weaver, zrobiły się trzy. Wpadło mi do głowy, żeby tę zbadać na początku.

I nagle okazało się, że dodatkowa warstwa skóry nie istnieje.

Zapomnij o tym, McGee, spisz listę powodów, dla których powinieneś zamknąć tę sprawę. Miałem bilet powrotny na samolot, a więc żadnych strat. Potencjalna klientka nie żyła, nie było więc szans na zarobek. Nikt nie podzieli się ze mną odzyskaną kasą, w razie gdybym ją odzyskał. Bez względu na wszystko ludziska walczą o swoje. W końcu i tak nie lubiłeś tej babki, więc wyśpij się i wypad z miasta.

Ale wtedy nigdy się nie dowiesz, dlaczego zginęła.

Człowieku, czy stać cię na zaspokajanie próznej ciekawości? No to policz, ile stopni prowadzi do piekła.

Wywołanie osuwiska skalnego wymaga starannego planowania, po co więc ktoś zatarł wszystkie ślady? Co przez to osiągnął?

Idioto, masz wymarzoną robotę, zleciła ci ją ta stara z Jacksonville, której pasierb gwizdnął kolekcję złotych monet.

Tego powinieneś się trzymać, zwłaszcza że to nie pociągnie za sobą wielkich kosztów. Wystarczy gościem trochę potrząsnąć i dukaty same posypią się z jego kieszeni. Cztery, pięć dni pracy.

Jeszcze jedna rzecz niepokoiła mnie i sprawiała, że zagadka Mony Yeoman z każdą chwilą wydawała mi się coraz mniej pociągająca i że robiło mi się zimno na plecach, dokładnie między łopatkami. Byłem z Moną, kiedy zginęła, a ona od dawna nie odwiedzała górskiej chaty. Ktoś wiedział, że się do niej wybiera. Czyżby wiedział także o mnie?

Gdyby strzelec chciał sprzątnąć nas oboje, rozwaliliby mnie pierwszego, wychodząc z założenia, że kobieta zareaguje wolniej. Tkwiłaby w miejscu struchlała ze strachu, i to by mu wystarczyło, by oddać kolejny strzał. Dlaczego zostawił przy życiu nieznanego? Żeby zaciemnić obraz?

Być może owa nikła wartość, jaką przedstawiałem, już nie istniała. Teren mógł być niebezpieczny, a klimat wysoce niesprzyjający. Przyrzekłem sobie, że nie wypuszczę się samotnie w góry ani nie usiądę plecami do okna, za to będę patrzył nieznanym na ręce.

Może najrozsądniej byłoby po prostu wyjechać.

Jeśli jednak nie pogrzebiesz w tym brudzie, przyjacielu, ktoś może z niego wyjść czysty jak łąka.

Za kogo ty się właściwie uważasz, McGee? Za strażnika moralności? Ciemne sprawy uchodzą ludziom na sucho codziennie, co godzina. Morderstwo nie jest aż tak unikalną zbrodnią. Weź pod uwagę, że będziesz kro-

czył na czele całej procesji. To robota dla policji, a właśnie poznałeś bardzo kompetentnego gliniarza.

Moja wewnętrzna debata miała tylko jeden feler: wiedziałem, że decyzja już zapadła. Wiedziałem, kiedy i w jaki sposób ją podjąłem. Stało się to, gdy wyjąłem osiemdziesiąt dolarów z portmonetki Mony Yeoman. Nie wziąłem ich dla siebie. Wziąłem je dla niej. Tak pobiera się amunicję z magazynu, mając świadomość nadchodzącej wymiany ognia.

Przyznawszy to przed sobą, poczułem się odrobinę lepiej. Pozostało jednak w mojej głowie pewne napięcie, które nie dawało mi spokoju. Chciałem być stabilny jak podwaliny piekiel, a tymczasem świat tkwił w lekkim przechyle. Miałem poczucie, jakby zarzuciło mną na nieoczekiwanym wirażu. Człowiek długo pozostaje w takiej pozycji. Mój przyjaciel Meyer, który jest ekonomistą, powiada, że idioci to jedyni ludzie, którzy mogą być absolutnie przekonani o tym, że są zdrowi psychicznie. Wszyscy inni mkną z oszaleńcą prędkością po spaczonych szynach nad krawędziami bezdennych przepaści. Ten, kto uważa się za wolnego od krzty obłędu, jest parzywym łgarzem. Sęk w tym, że nigdy nie wiadomo, co może cię strącić z tych szyn. Odgłos, który rozległ się, gdy ciężki kawał ołowiu wbijał się przez cienką jedwabną bluzkę w bezbronne plecy Mony Yeoman, zabełtał we mnie coś, co tkwiło głęboko poniżej poziomu świadomości, a było dość wredne, bardzo stare i niewidoczne dla oka.

Wyszedłem z pokoju i znalazłem maszynkę do lodu; po powrocie zrobiłem sobie drinka w kubku, który był opakowany w plastikową torebkę z etykietką. Napisano na niej, że kubek został poddany procesowi sterylizacji parowej. Na jego krawędzi została odrobina szminki malinowego koloru. Zapewne i ona została wysterylizowana parowo. Powinienem złożyć o tym doniesienie szeryfowi. Najczęściej stosowana skuteczna metoda postępowania polega na tym, że pokojówka wyciera naczynia używanymi ręcznikami kąpielowymi, pozostawionymi przez poprzednich gości, a następnie wsadza je do takich poręcznych woreczków. Później tymi samymi ręcznikami wyciera deskę klozetową, a potem owija je papierową wstążką opatrzoną informacją o ich nieskazitelnej sterylności. Kiedy już łóżka są posłane, toczy wózek z kwadratowymi kółkami, kopie w drzwi pokojów, w których śpią goście, odchrząkuje donośnie niczym osioł w krzakach i wrzeszczy dzień dobry do koleżanek mieszkających trzy ulice dalej.

Oparty o wezłowie łóżka, z drinkiem w dłoni, postanowiłem świadomie pominąć względy emocjonalne i na zimno rozważyć to, co się do tej pory wydarzyło. Ktoś zaplanował zabójstwo Mony i go dokonał. Po co więc zostawił przy życiu świadka? Ktoś wiedział, jakie kroki podejmie Mona, bo raczej nie uprzedziła męża, że zamierza spotkać się z nieznajomym w południe na lotnisku w Carson i że zabierze go do chaty w górach. Jednak od pewnego czasu miała wrażenie, że ktoś ją śledzi. A gdybyśmy po napotkaniu osuwiska skalnego zawrócili i poszukali innego miejsca na rozmowę? Ktoś znał ją na tyle dobrze, by przewidzieć jej reakcję. Umyśliła sobie, że pogada ze mną w górskiej chacie, więc nie ma zmiłuj, tam właśnie mnie zabierze. Jeśli tamci wiedzieli, że planowała mój pobyt w tym lokum, należało się spodziewać, że wejdziemy do środka. Snajper czekał już wtedy na stanowisku.

Ułatwiliśmy mu zadanie, wychodząc na krawędź urwiska i tam się zatrzymując. Z pewnością jednak zakładał, że przed odjazdem i tak będziemy przez jakiś czas stali na widoku. Jedno wydawało się stosunkowo oczywiste: to nie strzelec zabrał samochód Mony. Pokonanie skalistego terenu zajęłoby mu o wiele za dużo czasu.

Można było przewidzieć moje działania po tym, jak ofiara padła na ziemię. Sprawcy wiedzieli, że uskoczę do jakiejś kryjówki, a następnie wrócę do pozostawionego na drodze samochodu. Nie znalazłszy wozu, musiałem ruszyć dalej piechotą. Dzięki temu sprawca albo sprawcy zyskali czas na usunięcie dowodów morderstwa.

Odsuwając na chwilę na bok dociekanie, dlaczego zabrali zwłoki, zadałem sobie pytanie, dokąd je przeniesiono. Na spalonym słońcem, pofałdowanym terenie pełnym rozpadlin i skał było w promieniu kilometra od chaty dziesięć tysięcy odpowiednich kryjówek, zarówno w górę, jak i w dół od miejsca zbrodni. Ciało mogło spoczywać w jakiejś szczelinie przywalone kamieniami. Pałące słońce w ciągu dwóch dni upiekłoby je niczym żar w piekarniku, pozbawiając tkanki wilgoci i zamieniając Monę Yeoman w dwadzieścia kilogramów wysuszonej skóry, ścięgien i kości okrytych eleganckimi ciuchami kowbojki.

Czy nie byłoby rozsądniejsze, gdyby zabójca zwabił ją do chaty samą? Mógłby zabić z bliska, z większą swobodą. Miałby pewność, że nikt mu nie przeszkodzi. Dlaczego zostawił świadka, który kręci się po okolicy i przekonuje wszystkich, że kobieta nie żyje?

Wiedziałem jedno: jeśli coś zostało przeprowadzone zgodnie z jakimś planem, a rzecz sprawia wrażenie bezsensownej, to znaczy, że jakieś fakty pozostają nieznanne. Ciekawe, kto mógłby mi je podsunąć. Anonimowy adwokat z Belasco? John Webb? Pomoc domowa i przyjaciółka Dolores?

Okno pokoju było otwarte, wewnątrz panowała ciemność. Do moich uszu dochodziły szum i warkot pojazdów na drodze numer osiemdziesiąt siedem, muzyka z baru dla zmotoryzowanych, przytłumiony stukot kręgli w klubie Idle Hour Lanes. Dzieci już nie piszczały w basenie, za to w sąsiednim pokoju grał głośno telewizor. Jakaś para przeszła obok okna mojego pokoju, kobieta powiedziała: „Przez cały dzień chodzi usmarkana po pas, a ty pozwalasz jej się kąpać, aż zsinieje. Harry, na miłość boską...”.

Zapaliłem światło, zamknąłem wielkie okno i zacząłem przy nim gmerać. W końcu udało mi się je uchylić i wpuścić nieco ciepłego powietrza do pokoju. Przywiało rozmaite zgrzyty, warkoty i dudnienia, które zagłuszyły wszystkie inne odgłosy świata zewnętrznego. Oto nowa odmiana prywatności, ściana jazgotu zapewniająca poczucie odosobnienia i ukojenie podobne do tego, którego można zaznać w warsztacie samochodowym.

Zdrzemnąłem się i obudziłem z niesmakiem w ustach i piaskiem pod powiekami; dochodziła dwudziesta pierwsza. Myślałem, że sen jakoś odgrodzi mnie od obrazu zabitej kobiety, odbierze mu wyrazistość, jednak w mojej głowie wciąż przewracała się i upadała na ziemię, i tak w kółko, z taką samą intensywnością. Prychając, wypłukałem usta zimną wodą, umyłem zęby i poszedłem do Corral Diner. Kupiłem lokalną popołudniówkę „Eagle”. Przeczytałem ją, czekając na stek w boksie naprzeciwko długiego bufetu. Eksplozja optymizmu. Postęp jest cudowny, Esmerelda to wspaniałe miasto, budownictwo kwitnie. Uchwalono drugi etap programu oczyszczania slumsów. Firma Kalko Products jako pierwsza rozpocznie inwestycję w nowym parku przemysłowym. Północno-wschodnia obwodnica skróci dojazd z centrum do lotniska o cały kwadrans. Specjaliści zapowiadają, że liczba mieszkańców miasta podwoi się w ciągu dziewięciu lat. Trener drużyny Esmereldy przewiduje najlepszy sezon w historii i bezapelacyjne zwycięstwo w lidze, do której należy sześć okręgów. Uchwała o bonach edukacyjnych dla uczniów zostanie przyjęta przytłaczającą większością głosów.

Godzina szczytu minęła i w barze zrobiło się cicho. Weszło pięć młodych kobiet, drużyna kręglarska. Były ubrane w białe elastyczne koszulki i krótkie plisowane spódniczki tenisowe; każda trzymała na ramieniu jasną torbę

ze sprzętem. I każda miała wyhaftowany na koszulce na plecach półkolisty napis „Czystość”. Z przodu na sercu miały wyhaftowane imiona. Dot, Connie, Beth, Margo i Janice. Żakiety i sprzęt złożyły w jednym boksie, a usadowiły się w drugim. Nie zdołałem ustalić, czy należą do kategorii sekretarek, czy młodych gospodyń domowych. Kategorie te nierzadko się nakładają. Dwie były mocno napakowane, wyglądały na dobre zawodniczki. Zamówiły kawę wśród poszeptywań, śmiechów, achów i ochów. Zachowywały się konspiracyjnie, usłyszałem brzęk szkła stukającego o ciężkie kubki do kawy. Najwyraźniej dziewczęta opijały zwycięstwo. W końcu zauważyły moją obecność. Szeptaly i chichotały, a te, które siedziały do mnie tyłem, odwróciły głowy, by zlustrować mnie z bezmierną niewinnością. Potem szybko się odwróciły, nachyliły do koleżanek i wymieniły żartobliwe komentarze. Samotnego faceta zawsze warto wycenić. Nieznajomy o opalonej twarzy i szerokich barach wzbudził ich zainteresowanie. Z piskliwych głosów i wybuchów niemal histerycznego śmiechu wywnioskowałem, że folgują sobie coraz bardziej. Jedna z dwóch tęższych długo coś szeptala, a kiedy skończyła, koleżanki zaniosły się niepohamowanym śmiechem.

Nagle uświadomiłem sobie, że świat stoi na głowie i przejawia się to na wiele sposobów. Oto grupka dziewcząt śmiałym wzrokiem lustruje interesującego nieznajomego i bezczelnie bierze go na języki. Poczuję się zawstydzony prawie jak podłotek. Uprzytomniłem sobie, że podobne zabarwienie miała arogancja Mony; była jak nieświadome przejęcie tradycyjnej męskiej napastliwości. To ja dyktuję warunki, koleżko.

Stek był przesmażony, gumowaty i bez smaku. Ziemniaki rozgotowane, sałata ciepła i zwiędła, a kawa cierpka i kwaśna. Minąłem gromadę dziewcząt spod znaku czystości i wyszedłem na wieczorne powietrze. Jedna spojrzała na mnie znacząco przez brudne okno, z teatralną przesadą złożyła usta jak do pocałunku i pomachała mi ręką. Pozostałe parsknęły śmiechem.

Poczekąłem na przerwę w sznurze pojazdów i pomaszerowałem do mojego hałaśliwego gniazda. Otworzyłem drzwi kluczem, w pokoju paliło się światło i unosił dym papierosowy. Na łóżku siedział Buckelberry, a na plastikowym krześle jakiś nieznajomy.

– Proszę się czuć jak u siebie – powiedziałem.

– McGee, to jest pan Yeoman.

Nie wyglądało na to, że uściśniemy sobie ręce. Uniósł szklanekę.

– Przynieśliśmy bourbona, synku. Taki sam gatunek jak ten, który pijesz. Masz dobry gust.

Sprawiali wrażenie rozluźnionych i przyjaźnie nastawionych, a jednocześnie czujnych. Nalałem sobie drinka i usiadłem na łóżku obok Buckelberry'ego. Miał na sobie rdzawoczerwoną sztruksową marynarkę z mnóstwem kieszeni, kłapek i guzików, a koszula była tym razem wpuszczona w spodnie.

Jasper Yeoman jak na pięćdziesięcioośmiolatka wyglądał nadzwyczaj młodo. Zaczesane do tyłu czarne włosy tylko nad uszami naznaczała odrobina siwizny. Miał na sobie elegancki ciemny garnitur, który okrywał ciało o długich nogach i rękach. Ciemne indiańskie oczy przykuwały wzrok w pociągłej brązowej twarzy z głębokimi zmarszczkami, za to odstające uszy nadawały mu aparycję wieśniaka. Miał zęby jak u konia i zaciśnięte wąskie usta wykrzywione w sardonicznym uśmiechu, który jakby do nich przywarł. Biła od niego wielka pewność siebie, wzrok był prawie nieruchomy. Tacy jak on potrafią wprawić rozmówcę w zakłopotanie, okazując rozbawienie czymś, czego tamten nie rozumiał. Siedział na fotelu z nogą przewieszoną przez poręcz. Czekali, aż coś powiem, odkryję się. Nie doczekali się.

Buckelberry westchnął.

– Jass był ciekaw, coś ty za jeden.

– Wyobrażam sobie.

– Tak dla twojej informacji – ciągnął szeryf – mamy tę parkę na oku. Profesor wyjechał z domu wczoraj po południu. Jego samochód, ten złom, stoi na lotnisku w Carson. Z wykazu pasażerów wynika, że pan i pani Webberowie Johnson odlecieli do El Paso dzisiaj po południu o trzynastej piętnaście. Bileter mówi, że widział postawną blondynkę i wyrosniętego chudzielca, oboje nosili wielkie ciemne okulary.

– O ile nam wiadomo – podjął leniwym tonem Yeoman – Mona wyszła z domu dzisiaj rano około dziesiątej. Zniknęły dwie walizki, ubrania i biżuteria. Wygląda na to, że przyjechał pan jej samochodem z lotniska w Carson. Mógł go pan zostawić na jakiejś dróżce w pobliżu Cotton Corners po obejrzeniu chaty w górach. Jest w tym tylko jedna rzecz, która nijak nie trzyma się kupy. Otóż Mona przysnęła ze swoim profesorkiem, zamelinowała się w upatrzonej kryjówce i uważa, że skoro nie możemy jej znaleźć, przejrzymy się pańską idiotyczną bajeczką.

– Co mogłaby w ten sposób osiągnąć? – zapytałem.

– Wygląda pan na rozsądnego gościa – odparł Yeoman. – Jakim cudem tak łatwo pan to kupił? Wmówiła panu, że ukradłem forszę jej tatusia i okrutnie ją traktowałem? Synku, Mona weszła w niespokojny okres życia, a na to jest tylko jeden sposób: przeczekać. Została romantyczką za młodu. Powiem ci coś: ona nie jest stabilna emocjonalnie. Zanim się z nią ożeniłem, robiła ze sobą straszne rzeczy. Trzeba ją mocno trzymać na wodzy. Tylko taki mężczyzna, który będzie dla niej trochę mężem, a trochę ojcem, zdoła wziąć ją w rzy. Doprowadziła tego profesorka do takiego stanu, że biedak nie wie, jak buty zawiązać. Ma starszego od siebie męża i ubzdurzyła sobie, że życie przecieka jej przez palce. Pewnie miałyby się lepiej, gdyby mogła mieć dzieci. Ale była obsługiwana jak należy, niczego jej nie brakowało, i dopóki nie zebrało jej się na romanse, nie skarżyła się. Przeżyje mnie, a kiedy umrę, odziedziczy tyle kasy, że będzie mogła szaleć w każdym mieście na świecie, jeśli przyjdzie jej na to ochota. Jednak na razie jestem jej mężem i wiem lepiej od niej, co jest dla niej dobre. Spuściłem jej manto, kiedy zasłużyła, a później wróciła do rozumu i mi za to podziękowała. Kupowałem jej bodaj wszystko, o czym tylko zamarzyła. Ja nie proszę i nie błagam, ale jeśli wie pan, gdzie się ukryli, oszczędzi pan wszystkim wiele zachodu i kłopotów. Powiem więcej, synku. Kiedy ich już namierzemy, wstrzymam się tydzień, nawet dziesięć dni, i dopiero wtedy zrobimy na nich nalot. Może łatwiej się uspokoi, gdy już nacieszy się trochę tym, co według niej należy jej się od życia.

– Jass, daj spokój – odezwał się łagodnie Buckelberry.

– Masz rację, Fred. Może za dużo opowiadam o prywatnych sprawach.

Przyjrzałem się dokładniej Yeomanowi i uświadomiłem sobie, że jest podпиты. Wcześniej tego nie zauważyłem. Kontrolował się, jak przystało na wprawionego pijaka, miał świadomość ograniczeń, które niesie ze sobą ten stan, i odruchowo je kompensował. Pokręcił głową.

– Ale Bóg raczy wiedzieć, jakie bzdury usłyszała o mnie od tych jej znajomych ze wschodu. Ta Weaver, kiedy przyjeżdżała, patrzyła na mnie jak na jakiegoś starego gada. Ktoś by pomyślał, na litość boską, że siłą zawlokłem ją do ołtarza. – Zdjął nogę z oparcia fotela i nachylił się. – Panie McGee, jej papcio i ja przeżyliśmy dwadzieścia lat piekła, a on zostawił ją mnie. Nigdy w życiu nie zamierzałem się żenić. Dziewięć lat temu, kiedy wytropiłem ją w Paryżu, była istną ruiną. Duża z niej dziewczyna, a ważyła mniej niż

pięćdziesiąt kilo. Miała napady hysterii, wrzeszczała wniebogłosy. Nie wiedziała, gdzie jest, synu. Spuściłem ją ze smyczy i trwało to za długo, a kiedy pomyślałem, jak by się poczuł Cube, zrobiło mi się wstyd. Zostawiłem ją w dobrych rękach w Szwajcarii i byłem w pobliżu. Jakoś ją poskładali do kupy. I co miałem wtedy zrobić? Znowu spuścić ją ze smyczy? Ona ma fantazję, migiem wpadłaby znowu w złe towarzystwo. Zrobiłem więc to, co wydawało mi się rozsądne. Związałem ją w najlepszy możliwy sposób, zeniąc się z nią i przywożąc do jej domu. Przez osiem lat układało się lepiej, niż pan sobie wyobraża. Mona potrafi zamieszać w głowie, chłopcze. Patrzyć na nią i widzisz dorosłą fajną babkę, która ładnie się wysławia i postępuje rozsądnie. Jeśli jej się zachce, wmówi ci, że dzień to noc, i odwrotnie. Ale w środku wciąż kryje się głupiutki podlotek z najbardziej idiotycznymi zachciankami. W tym roku ją nosiło. Dałem jej zakotwiczenie w porządnym, przyzwoitym życiu. Za stary jestem na to, synku, żeby obudził się we mnie wściekły zwierz, dlatego że ona gzi się z tym profesorkiem. Trochę mnie to zasmuca i uwiera, jednak staram się zrozumieć. Przyznaję, bo mi wolno, że kiedy ją odzyskam, ten jej niewierny tyłeczek zadymi, ale to ją uspokoi, bo wie, że była niegrzeczna. Lepiej jest człowiekowi odpokutować za złe sprawy, niż nosić w sobie poczucie winy. I nie będzie ze szkoda dla mojej dumy, kiedy to z siebie wyrzucę. Pan tego nie rozumie, ona zresztą też, że w głębi duszy jest ode mnie uzależniona. Chcę ją odzyskać, zanim znowu zrobi z siebie wrak. Teraz pewnie nam pan wyjawia, gdzie tych dwoje zaplanowało sobie kryjówkę.

Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. Był cwany, ale chyba nie aż tak cwany, by – wiedząc, że Mona nie żyje – tak przekonująco odegrać przede mną wymyśloną rolę. Zakołysałem szklanką z lodem.

– Czy mogli zdobyć zezwolenia i pojechać do Juarez, a stamtąd w głąb Meksyku? zapytał Buckelberry.

– A może meksykański kierunek to tylko zmyłka? Chcieli polecieć na zachód? Do Kalifornii?

Zignorowałem go. Dopiliśmy drinka i spojrzałem prosto na Jaspera Yeomana.

– Nie wiem nic o pańskim małżeństwie, panie Yeoman. O czternastej dwadzieścia pięć stałem obok pana żony. Ktoś wpakował jej między łopatki pocisk dużego kalibru, strzelając ze sporej odległości. Nie żyła, zanim runęła twarzą na ziemię.

Przez chwilę w ciemnych oczach Yeomana widać było wahanie, rysy jego twarzy zmiękły. A potem znowu stwardniały.

– Próbowałem rozmawiać z tobą jak mężczyzna z mężczyzną, synku. Chciałem do ciebie dotrzeć. Powiem ci coś. Na całym świecie nie ma nikogo, kto miałby powód zabić Monę. Może ja, ale nigdy bym czegoś takiego nie zrobił. Wydaje ci się, że jesteś zobowiązany, by trzymać się tej durnej historyjki. A wyglądasz na bystrzejszego. Wkurzasz mnie, chłopcze. Każę Fredowi wykopać cię z tego okręgu i powiem, żeby się z tobą nie patyczkował.

Wzruszyłem ramionami.

– Fred jest wniebowzięty, że taki ważny podatnik się z nim koleguje, panie Yeoman. Dlatego zapomina, co to znaczy być porządnym gliną.

– Co chcesz przez to powiedzieć, do jasnej cholery? – spytał Yeoman.

– Jestem tylko amatorem, ale zastanowiło mnie, czy te kamienie na drodze przypadkowo obsunęły się tak, że zatarasowały przejazd. Pofatygowałem się na zbocze i odkryłem, że ktoś wysadził kawał skały. Chciał, żeby Mona poszła do chaty pieszo. Dlaczego? Nie mam pojęcia. Jeśli ktoś zaczął się na nią, to ktoś inny miał czas na to, żeby odjechać jej autem. Dzięki temu minęło dużo czasu, zanim policja odebrała zawiadomienie o morderstwie. Sprawcy potrzebowali czasu na uprzątnięcie terenu i usunięcie zwłok.

– Przedtem nic o tym nie wspominał – odezwał się Buckelberry.

– Przychodzi mi na myśl jeszcze wiele rzeczy, które zrobiłby dobry gli-niarz – ciągnąłem. – Rzucaliśmy się w oczy, jadąc małym białym autkiem z odsuniętym dachem. Ktoś musiał nas zauważyć i zapamiętać na drodze od Carson do górskiej chaty. Poza tym nie zawadziłoby wysłać na miejsce ekipę laboratoryjną. Myślę, że pocisk tej wielkości zrobił dziurę wielką jak pięść, wylatując przez mostek ofiary. Wystarczyłaby drobinka krwi lub tkanki, którą przeoczyli mordercy. – Wstałem. – To przedstawienie zaczyna mnie nudzić. Widziałem, jak zabito kobietę, którą znałem od dwóch i pół godziny. Nieszczerólnie ją polubiłem. Możecie tu sobie siedzieć i snuć opowiastki o tym, gdzie Mona teraz przebywa, ale ona nie żyje, to pewne jak jasna cholera. Ktoś chciał zrobić mętlik wokół tej sprawy. Idę o zakład, że Johna Webba także nie ma już wśród żywych. Czy zdjęliście odciski palców z jego gruchota? Proszę bardzo, wysiudajcie mnie ze swojego rewiru, uznam to za przysługę. Bo jeśli zostanę, to będę wtykał nos w nie swoje

sprawy. Może macie w laboratorium porządnego operatora wariografu? Czemuż by nie sprawdzić mojej bajeczki? Tylko że to byłoby zbyt łatwe.

Bycze mięśnie na szczęce Buckelberry'ego nabrzmiały, zapanował jednak nad sobą. Odczekał chwilę i spojrzął na Yeomana.

– Mogę się jeszcze rozejrzeć, Jass.

– Nie zawadziłoby.

– A co z nim?

Yeoman wstał, podszedł i zlustrował mnie od stóp do głów.

– Ho, ho – rzekł. – Wyrośnięty chłopak. Fred, zatrzymaj go tu przez czas jakiś.

– Za kratkami?

– Może zostanie tak czy inaczej.

– Tak właśnie zamierzam zrobić, panie Yeoman.

– Fred, zabierz bourbona, idź do samochodu i poczekaj chwilę – rzucił Yeoman, nie odrywając ode mnie spojrzenia. – Chcę zamienić z tobą parę słów, zanim pojedę do domu.

Szeryf zawahał się, ale wziął butelkę i wyszedł.

– Czasem wydaje mi się, że cały świat ima się brudnych sztuczek, żeby wykołować starego Jassa – oświadczył Yeoman, kiedy drzwi się zamknęły.

– Kiedy człowiek wdrapie się na górkę, widać go ze wszystkich stron. Jakkolwiek byś się obracał, zawsze staniesz do kogoś tyłkiem. Być może tamtym nie chodziło o Monę, o jej życie albo śmierć, tylko próbowali ją wykozystać, żeby się dobrać do mnie. Wie pan, o czym mówię?

– Chyba tak.

– Jeśli staremu psu podsunie się za wiele świeżych tropów, usiądzie na zadku i zawyje, zamiast biec. Widział pan kiedyś kłowna, który z talerzami kręcącymi się na kijkach zasuwa z jednego końca liny do drugiego, a one wciąż kręcą się jak szalone?

– Tak.

– W tej chwili manewruję niejednym talerzem, synu. Latam jak szalony po linie tam i z powrotem, każdy może mi wetknąć kij między nogi, a zanim wstanę, forsa rozsypie się na wszystkie strony. I ktoś położy na niej swoje łapska. Część może nawet wpadnie do kieszeni Freda.

– A zatem?

– Ze mną jest tak, że albo polubię kogoś od razu, albo nigdy. Nie wiem, po której stronie stoisz. Wyglądasz na takiego, który może się zmienić w ja-

dowitego węża. Jeśli na coś trafisz i uznasz, że warto mi to sprzedać, kupię.

– Na przykład?

– Jeśli rozgryziesz tę sprawę, nigdy więcej nie będziesz musiał niczego sprzedawać.

Puścił do mnie oko i pozęgłował do drzwi, a potem puścił do mnie oko jeszcze raz i zniknął w ciemności. Pijany czy trzeźwy, wyglądał na jednego z tych, którzy mówią rozsądnie dopóty, dopóki nie padną. Ale ja byłem u niego stracony. Odniosłem wrażenie, że jest przekonany o istnieniu spisku. W jego głowie zrodziła się myśl, że mogę odgrywać w tej historii jakąś diaboliczną rolę, choć jeszcze nie odgadł jaką.

Dałem za wygraną. Może zrozumie, gdy dowiem się więcej. Poszedłem spać. Yeoman wciąż nie wierzył, że jego żona nie żyje. Sprawiał wrażenie, że z jakiegoś powodu nie może sobie pozwolić na przyjęcie tego do wiadomości.

Usiłowałem o tym nie myśleć, lecz mimo to zagadka kołatała się w moim mózgu, kiedy zasypiałem. To było jak rozplątywanie wężła w rękawicach bokserskich.

Polubiłem faceta bardziej niż jego młodą żonę.

3

Zrobiłem sobie poranny kilometrowy spacer do centrum i zjadłem śniadanie w hotelu Sage, w którym odbywał się jakiś zjazd. Goście chodzili z przypiętymi znaczkami i licytowali się, kto ma większego kaca. W holu znajdował się punkt wypożyczalni samochodów. Ubrana w uniform dziewczyna, dowiedziawszy się, że nie mieszkam w hotelu, dokładnie sprawdziła, czy numer mojej karty kredytowej nie figuruje na czarnej liście, zanim z wystudiowaną radością pozwoliła mi uregulować nią należność. Chciałem wypożyczyć tanie auto; czekając, aż zostanie wyprowadzone z garażu, kupiłem w kiosku mapkę okolicy.

Pracownik podjechał fordem falconem w piaskowym kolorze. Obszedłem samochód i zauważyłem głębokie wgniecenie na prawym tylnym błotniku, które nie zostało odnotowane w karcie. Zawołałem dziewczynę, a potem w trójkę staliśmy i patrzyliśmy na uszkodzenie. Wpisała je na obu egzemplarzach karty. Stale próbują takich sztuczek, trudno ich za to winić. Prawdziwi winowajcy przemykają obok recepcji, rzucają klucze na kontuar, a potem wsiadają do samolotów. Dlatego zawsze oglądam wypożyczone auta. Podliczam także rachunki, które przynoszą mi kelnerzy. Czytam drobny druk na umowach. W tych sprawach jestem trochę jak stara paniusia.

Uniwersytet State Western znajdował się w mieście Livingston, siedemdziesiąt kilometrów na południe od Esmereldy, przy autostradzie stanowej numer sto. Nad miastami położonymi na terenach pustynnych unosi się mgielka nierzeczywistości. Zapewne dlatego, że ziemia, na której je wybudowano, nigdy nie była wykorzystywana do innych celów. Miasta nie wyrosły na miejscu dawnych pól uprawnych. Kiedy odjechałem pięć kilometrów na południe od Esmereldy, samo jej istnienie stało się wątpliwe, nawet nieprawdopodobne. Przemierzałem krainę kamieni i niskich krzaków, pia-

chu i porostów, jaszczurek i połyskujących w słońcu puszek po piwie, których nie tknęła rdza. Ogromna płaska szeroka dolina stanowiła niegdyś, tak sobie wyobrażałem, dno jakiegoś pradawnego jeziora. W porannym wydaniu „Eagle” wyczytałem, że Esmerelda ma nieograniczone zasoby czystej wody w studniach głębinowych. Jej obecność tłumaczyła, dlaczego miasto powstało w tak zaskakującym miejscu, wśród niesamowitej ciszy wietrznych równin i wzgórz o barwie piasku.

Autostrada numer sto przez pięćdziesiąt kilometrów biegła po całkowicie płaskim terenie, a potem zaczęła się wznosić i wić długimi zakosami po zboczach wzgórz i ich skalistych wypustkach. Plamy zieleni zdarzały się częściej i były bardziej widoczne. Wspiąwszy się na grzbiet wzniesień, zobaczyłem w oddali miasto. Leżało o jakieś trzysta metrów wyżej niż Esmerelda, przytulone do zbocza długiej góry. Złudny refleks światła nadał jej kształt brunatnego psa, który zwinął się w kłębek i zasnął.

State Western to jedna z tych nowych uczelni, które sypią się jak z rękawa, by narastająca fala młodzieży miała się gdzie edukować, a samo Livingston wyrosło już z etapu sennej miejsciny. Na ogromnych parkingach błyszczały w porannym słońcu setki samochodów. Gmachy uniwersyteckie przypominały gigantyczne brązowe pudełka do butów rozrzucone przypadkowo na rozległej przestrzeni. Była dziesiąta, młodzież odbywała długie wędrówki z jednych budynków do drugich. Po prawej stronie znajdował się kompleks akademików oraz duży apartamentowiec otoczony zielenią; domyśliłem się, że mieszka w nim kadra naukowa i personel administracyjny. Na znaku umieszczonym przy wjeździe do kampusu umieszczono napis: „Studentom zabrania się wjazdu samochodami na teren uniwersytetu”. Na ścianach wielkich gmachów widniały jaskrawe obrazy z płytek ceramicznych przedstawiające dość grubo ciosane alegorie takich pojęć, jak pracowitość, wolność czy pokój.

Spalona słońcem ziemia pocięta była ścieżkami. Urozmaicały ją maciupkie skrawki miłośnie wypielęgnowanej zieleni, lecz miną lata, nim zaczną wyglądać jak realizacje wizji architekta krajobrazu. Studenci spieszyli na zajęcia o dziesiątej, młodzi, zwinni, skupieni na swoich nieprzeniknionych dążeniach. Khaki i dżinsy, bawełna i wiele, wiele kolorów. Kiedy jechałem powoli ulicą, prześlizgiwały się po mnie spojrzenia bez wyrazu równie obojętne, jak soczewki aparatu fotograficznego. Byłem po drugiej stronie barierki wieku. Owszem, umieli nawiązywać kontakty i odnosić się do tych doro-

słych, z którymi musieli się osobiście stykać. Jednak obcy byli dla nich tak nieistotni, jak kamienie i karłowate drzewka. Zanurzali się w samym pulsującym wirze życia, my zaś byliśmy wyblakłymi zdjęciami na ścianie korytarza – poszarzałymi, skończonymi i odrobinę upiornymi. Zauważyłem wśród nich spor latynoskiej krwi, hoże śniade dziewczęta i krzepkich chłopaków. Wszyscy sprawiali wrażenie zaaferowanych, tak wyglądają studenci pod koniec trymestru. Niebawem maszynka wypluje ich z siebie, trafią do korporacji i szeregowych domków, będą się spieszyć i rozmnażać, będą organizować sobie czas i budżety rodzinne, poznają systemy emerytalne, fundusze emerytalne i rekreacyjne, będą jeździli taksówkami, dostosowywali się do współpracowników, znajdą sobie etaty i konstruktywne hobby. Teraz urabia się ich do życia w biegu, a nim zostaną tymi, których nazywa się obecnie starszymi obywatelami, wpasują się bezboleśnie w stworzone planowo społeczności, w których wypoczynek jest zorganizowany jak wyścig. A oni wciąż będą biec, planować i organizować, aż wreszcie zapadną w ciszę. Pocieszycielka strapionych zbierze ich wszystkich, zaróżowi policzki, zamknie wieko i wpuści do jedyne miejsce odpoczynku, jakiego kiedykolwiek zazną.

Wszystko to jest, rzecz jasna, bardzo funkcjonalne, ale przypomina przemysłowy chów kurczaków. Wymuszony wzrost w optymalnych warunkach, tak aby po upływie ośmiu tygodni były gotowe do wyciągnięcia przez automatyczny wybierak. Najbardziej żałosne i komiczne są deklaracje przepelnionych wdzięcznością młodych, którzy mówią: „Za dwa lata i dziewięć miesięcy będę mógł stąd wyjść i zarabiać na siebie, zamiast marnować cztery lata, by zdobyć magisterium”.

Edukacja to coś, co powinno być oddzielone od konieczności zarobkowania, nie powinna być traktowana jak narzędzie, które mu służy. Wymaga kontemplacji, okresów jałowych, ukierunkowanych i starannie dozowanych studiów nad wiecznie powtarzającym się, najboleśniejszym ze wszystkich pytaniem: Dlaczego? Dzisiaj najlepsi, ci, którzy wciąż pragną je zadawać, nie znajdują wokół nikogo, kto chciałby na nie odpowiadać, więc rezygnują. Ich umysły potwornie się nudzą wydane na pastwę szkoły zawodowej. Zamiłowany technik rzadko bywa człowiekiem wykształconym. Może być jednostką pożyteczną, zadowoloną z życia, pracowitą. Jednak o tajemnicy, cudowności i paradoksie istnienia ma mniej więcej takie samo pojęcie, jak

kurczak, którego tuczy się po to, by został podniesiony przez ramię maszyny, zamrożony i zapakowany do foliowej torebki.

Znalazłem budynek administracji, zaparkowałem samochód i wszedłem. Przy głównym biurku informacyjnym siedziała siwowłosa pani; zapytałem, czy mogę porozmawiać z Johnem Webbem. Zirytowała ją to, odparła, że Webb jest asystentem na wydziale humanistycznym. Czy tego właśnie Johna Webba szukam? Miała nadzieję, że chodzi o innego. Jest pewien student o tym nazwisku i imieniu. Nie są w żaden sposób spokrewnieni. W końcu znalazła właściwe określenie i oznajmiła, że doktor Webb jest nieobecny.

– Na jak długo wyjechał?

– Przykro mi, nie dysponuję taką informacją.

– Kto może mi powiedzieć, kiedy profesor Webb wróci?

– Naprawdę nie wiem. Może ktoś z jego wydziału panu pomoże.

– To sprawa natury osobistej.

– Ach, w takim razie może jego siostra... Ona mogłaby panu coś powiedzieć.

– Gdzie ją znajdę?

Przekartkowała notes.

– Hardee numer trzy. Budynki mieszkalne wykładowców znajdują się w tamtym kierunku, naprzeciwko tego dużego parkingu. Zobacz pan na nich nazwy. Hardee to trzeci z tyłu.

Znalazłem bez trudu. Budynki stanowiły kompleksy składające się z dziesięciu lub dwunastu samodzielnych kwater, z których każda miała własne wejście zaprojektowane tak, by dawało poczucie prywatności, a jednocześnie pozwalało korzystać ze wszelkich wspólnych udogodnień. Wykorzystano dużo kamieni i cegieł, było wiele murków, dziedzińców i krytych przejść. Znalazłem furtkę do numeru trzeciego, otworzyłem ją i prze mierzyłem trzy metry dzielące mnie od wejścia. Nie usłyszałem w środku dzwonka, lecz kiedy chciałem zapukać, drzwi się otworzyły. Patrzyła na mnie młoda kobieta. Miała na sobie zgrzebną brązową podomkę z trzema dużymi drewnianymi guzikami, które niczemu nie służyły.

– Tak?

– Szukam profesora Webba. Nazywam się McGee.

– Mogę powiedzieć panu to samo, co powiedziałam tamtemu drugiemu. I to samo, co usłyszał ode mnie szef wydziału. Nie mam zielonego pojęcia, gdzie przebywa mój brat.

Już zamykała drzwi. Wsunąłem w nie stopę. Spojrzała w dół.

– Pan pozwoli.

– Nie pozwolę, chcę z panią pomówić.

– Absolutnie nie ma o czym.

– A jeśli sprawy wyglądają inaczej, niż się to wydaje?

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Jeśli on z nią nie uciekł? Jeśli to tylko ma tak wyglądać?

– Z jakiego powodu interesuje się pan moim bratem, panie McGee?

– Jestem jedynym człowiekiem, który ma całkowitą pewność, że Mona z nim nie przebywa. Wszyscy inni są o tym przeświadczeni.

Kobieta poczekała chwilę, a potem otworzyła drzwi.

– Zatem proszę wejść.

Poszła do saloniku, a ja za nią. Okna były zaciągnięte ciężkimi zasłonami, gospodyni najwyraźniej pracowała przy wielkim stole. Książki, notesy i fiszki leżały uporządkowane pod dużą jasną lampą z długą szyjką. Z okazałego adaptera płynęła ściszone muzyka. Brzmiała jak wysiłki niewielkiej grupki poirytowanych wykonawców, którzy próbują dostroić instrumenty, ale nie mogą się zdecydować, kto gra we właściwej tonacji. Kobieta podeszła do okna i szarpnęła kotary, żeby wpuścić do środka światło. Następnie wróciła do stołu i zgasila lampę.

Obserwowałem, jak się porusza. Chodziła w zniszczonych mokasynach ze skóry jelenia. Jej ruchy były zwinne, biodra kołysały się akurat tyle, by powodować naprzemienne szarpnięcia zgrzebnej sukienki. Gładkie, białe i krągłe ręce i nogi emanowały zdrowiem i jędrnością.

Twarz miała wydłużony owalny kształt. Skórę wokół ciemnych oczu naczyniły głębokie cienie, przez co wyglądała na kruchą i niezupełnie zdrową, podejrzewałem jednak, że był to stan normalny. Istnieją takie oczy, że otaczająca je skóra zawsze ma taki odcień. Małe wydatne usta nie były pomalowane. Nos miała delikatny, a rzęsy – długie i czarne. Ciemne i nieco matowe włosy, z przedziałką na środku głowy, spływały od czoła dwiema łukowatymi falami, które zostały zaczesane do tyłu i zebrane w luźny kok. Na stole stał duży elektryczny ekspres do kawy.

– Napije się pan? – spytała.

– Tak, dziękuję. Poproszę czarną.

Gospodyni wyszła do kuchni i po chwili wróciła z czystą filiżanką i spodkiem. Nalała mi kawy, po czym wzięła swoje naczynie i skierowała

się do pluszowej kanapy przy oknie. Usiadła z podwiniętymi nogami, zasłaniając białe kolana skrawkiem podomki. Zająłem miejsce na drugim końcu długiej kanapy obok jasnych poduch.

– Zdołał mnie pan zaintrygować, panie McGee. Teraz ma pan problem, bo oczekuję dalszego ciągu. Wciąż jednak nie wiem, jakie miejsce zajmuje pan w tej historii.

– Pani Yeoman skontaktowała się ze mną za pośrednictwem znajomej. Uważała, że uda mi się pomóc jej w pewnej trudnej sprawie. Wczoraj w południe przyleciałem z Florydy i wyjaśniła mi, w czym rzecz. Chciała, żeby mąż dał jej wolną rękę. Chciała także od niego pieniędzy. Pragnęła wyjść za pani brata.

– A pan usiłuje to wszystko doprowadzić do skutku? Jest pan adwokatem?

– Nie. Dopóki nie znalazłem się tutaj, nie wiedziałem, na czym polega jej kłopot. Kiedy już się dowiedziałem, nie zamierzałem podjąć się zadania.

– Zatem doszła do wniosku, że zadowoli się połową jabłka.

– Nie, proszę mi wierzyć, Mona nie zamierzała uciec z pani bratem. Chciała wszystko załatwić... polubownie. I zdobyć pieniądze.

– Panie McGee, jeśli uwierzył pan w jedno jej słowo, jest pan takim samym głupcem jak mój brat. A proszę mi wierzyć, że dobitnie potwierdził swoją głupotę.

– Ponieważ wyjechał?

– Tutaj jest skończony. Nie można tak po prostu sobie odejść i oczekiwać, że zostanie się przyjętym z powrotem, kiedy szalona eskapada dobiegnie końca. Gdyby był bardzo lubiany i dobrze ustawiony politycznie, miałby szanse odbudować spalone mosty. Ale John nie jest ani bardzo lubiany, ani dobrze ustosunkowany. Najbardziej niewybaczalne wydaje mi się to, że... to wszystko jest takie prostackie, wręcz wulgarne.

– Pod jakim względem?

– Czy trzeba to tłumaczyć? Naiwny młody wykładowca marzyciel poznaje napaloną żonę starszego ranczera, rozkwita między nimi romans. W istocie to zbyt ładne słowo na określenie tego, co między nimi zaszło. Jednak mój brat w taki właśnie sposób to sobie zracjonalizował. Prawdziwa, autentyczna miłość. Na pewno tak to nazywają, żeby zachować do siebie odrobinę szacunku. Tak sobie wyobrażam. Ale to tylko ordynarny, pospolity zew ciała. John nigdy wcześniej nie zetknął się z taką kobietą. Kiedy

go uwiodła, stracił zdolność racjonalnego myślenia. Stał się żaloszny, proszę mi uwierzyć. Miłość? Do takiej wyzywającej samicy? Czy subtelny mężczyzna może zapalać uczuciem do zwierzęcia? Zauroczyło go to, co miała pod kiecką. Proszę wybaczyć, że wyrażam się wulgarnie.

– Takie rzeczy się zdarzają.

Wzruszyła ramionami.

– Ależ oczywiście, zdarzają się kobietom jej pokroju. Ale nie facetom takim jak John. Nikt by nie przypuszczał, że mój brat zrujnuje sobie życie, byle... mieć dostęp do wielkiej, pretensjonalnej blond cizi.

– Może tego nie uczynił.

– Panie McGee, wszystko, o czym marzył mój brat i do czego dążył, leżało w gruzach. Może zdoła się utrzymać z korespondencyjnej pracy w jakiejś szkole albo z pisania podręczników, ale jego kariera akademicka jest skończona. A to wybitnie utalentowany mężczyzna. Cóż za okropne marnotrawstwo. Nie zdołałam mu uprzytomnić, jakiego osła z siebie robi. Bóg jeden wie, że się starałam. Nigdy w życiu tak się nie kłóciliśmy. Ma w nosie, że mnie sponiewierał. Poświęcałam się dla niego, lecz to też nic nie znaczyło. Duma i oddanie, to wszystko się nie liczy. Boże drogi, ileż to razy czytałam, że fascynacja zmysłowa może doprowadzić mężczyznę do upadku, nigdy jednak nie myślałam, że spotka to mojego brata. I wszystko to takie... kompletnie bezsensowne. Odrzucić cały świat, który się zbudowało, dla absurdalnych spazmów rozkoszy seksualnej, po to, by móc sobie ulżyć! Nigdy, przenigdy tego nie pojmę.

– Wiedziała pani, że zamierza z nią uciec?

– Bałam się tego. Kiedy zaczął się semestr jesienny, John nie mógł usiedzieć na miejscu. Potem, jakieś dziesięć dni temu, odmieniło mu się. Jakby go coś uszczęśliwiło. Powiedział mi, że wszystko się ułoży, że czynione są jakieś przygotowania. Był bardzo pewny swego. Załatwił sobie taki plan zajęć, żeby co tydzień mieć wolne popołudnia we wtorek i czwartek. Wtedy wyjeżdżał i gdzieś się z nią spotykał. Potem przywlekał się tutaj około dwiętnastej lub dwudziestej, wykończony i oszołomiony, z tym idiotycznym uśmiechem na ustach. Ta cholernica wykańczała go swoimi zachciankami. Był do tego stopnia bezczelny, by zaproponować, że kiedy wszystko zostanie załatwione, możemy tu mieszkać we troje. Wyobraża pan ją sobie w roli żony wykładowcy? Jest od niego o dwa lata starsza, wie pan? Pewnie dyktowałaaby rektorowi, jak kierować uczelnią.

– Może powiedziała mu, że zamierzam jej pomóc.

– Niewykluczone. Och, oboje tryskali optymizmem we wszystkich kwestiach. Myśleli, że skoro są w sobie zadurzeni, cały świat zapala do nich uczuciem. Tymczasem wszyscy byli zniesmaczeni...

Wstała, wzięła dzbanek i dołała kawy do filiżanek. Kiedy się pochyliła, poczułem, że pachnie wanilią. Zastanawiałem się, czy nie piła, ale wydało mi się to nieprawdopodobne. Należała do kobiet przepełnionych pasją. Mogła być o jakieś cztery lata młodsza od brata. Wyobrażałem ją sobie, jak włóczy się po kampusie New York University w czarnych pończochach i krótkiej sztruksowej spódnicy, jak namiętnie dyskutuje w kawiarni o abstrakcyjnych pojęciach, jak zakosztowuje seksu w pracowni jakiegoś malarza na poddaszu i stwierdza, że jest przereklamowany, jak próbuje meskaliny i zamiast uniesienia doznaje mdłości, jak demonstruje przeciwko temu i owemu, jak godzinami obserwuje obrady Zgromadzenia Ogólnego ONZ, nosząc toporną biżuterię zaprojektowaną przez zaprzyjaźnione beztalencja, jak maluje dekoracje dla amatorskiego teatrzyku – a wszystko to czyni z intensywną, pozbawioną humoru pasją przeintelektualizowanego dziecka pełnego nabrzmiałych idei i szukającego jakiegoś miejsca, w którym można je ulokować.

– Wczoraj był wtorek – powiedziałem. – Pani Yeoman odebrała mnie w południe z lotniska w Carson. Rozumiem, że pani brat wziął sobie wolne w poniedziałek po południu. Trochę jakby z wyprzedzeniem.

– Wydaje mi się, że wszystko sobie zaplanowali. Uczęszczam na kilka kursów, w poniedziałek po południu mam seminarium. Komunikacja masowa i opiniotwórcy opinii. John prowadził dwa wykłady w poniedziałek rano. Filozofia współczesna i filozofia w literaturze. Popołudnie miał wolne, spodziewałam się, że spędzą je razem. Kiedy nie pokazał się do dziewiątej wieczór, zaczęłam się niepokoić. Pomyślałam, że załatwił wszystko tak, aby móc z nią spędzić całą noc. To, zdaje się, był szczyt jego ambicji ostatnimi czasy. Zakładałam, że przyjedzie rano i wszystko mi wytłumaczy. We wtorek o dziesiątej ma zajęcia. Ale poranek nic nie zmienił. O dziewiątej nabrałam podejrzeń i zaczęłam się rozglądać. Znikła jego walizka i parę ubrań, a także przybory toaletowe. Nie zostawił mi żadnej kartki, ani słowa wyjaśnienia. Nawet nie pofatygował się, żeby zawiadomić szefa wydziału. Po prostu zniknął... Tak jak złodziej. Pewnie pan wie, że zostawił wóz w Carson, stamtąd polecili do El Paso. Chyba będę musiała zabrać samo-

chód z parkingu przy lotnisku. To sto dziesięć kilometrów stąd na północny wschód. Wszystko to jest bardzo kłopotliwe, stawia mnie w dziwnym położeniu. Odbyłam długą rozmowę z panem Knowdlerem, dziekanem wydziału. Okazał mi wiele zrozumienia. To jest początek naszego trzeciego roku tutaj. Będę musiała zrezygnować z tego mieszkania, rzecz jasna. Dziekan powiedział, że mogę zostać do piętnastego listopada. Wydaje mi się, że do tego czasu John przyczołga się tutaj z powrotem. Jestem jakby zawieszona w próżni, nie mogę niczego planować. Brat będzie potrzebował pomocy. Nie wiem, co się z nami stanie.

– Pracuje pani tutaj?

– O tak. Pięć dni w tygodniu w laboratorium komunikacji. Biurowa robota. Ale dzisiaj mam wolne, bo powiększają biuro, rozwalają ścianki i zakładają dużo nowych kabli. Przygotowuję badania dotyczące programu wzbogacania studiów. Historia sztuk dramatycznych. – W jej oczach pojawił się żal. – Dobrze się tutaj żyło, panie McGee, dopóki nie pojawił się ten babsztyl i wszystkiego nie popsuł. Nie przeszkadzało mi, że prowadzę Johnowi dom. Gdyby mieszkał sam, jadałby zimne dania z puszek i ubierałby się jak włóczęga. Nie umie o siebie zadbać, nigdy nie był silny. Ta kobieta się o niego nie zatroszczy. Co ją w nim pociąga? Dlaczego nie znalazła sobie kierowcy ciężarówki albo policjanta, jakiegoś umięśnionego idioty, który lepiej zaspokoiłby jej potrzeby?

– Sprawdziła pani, co brat zabrał ze sobą?

– Spakował się i pojechał. Najwyraźniej wziął to, co uważał za niezbędne.

– Jeśli poproszę panią o zrobienie czegoś, co wydaje się bezsensowne, zgodzi się pani?

– Na przykład czego?

– Sprawdzi pani, czy zostawił coś, co logicznie rzecz biorąc, powinien był ze sobą wziąć?

– Chyba nie wiem, co pan ma na myśli.

– Coś, co mógłby przeoczyć kto inny, gdyby pakował się zamiast pani brata. Komuś mogło zależeć na tym, by sprawić wrażenie, że pani brat spakował się i wyjechał.

– Czy to nie zakrawa na jakiś melodramat? – Kobieta wykrzywiła miękkie blade usta, jakby poczuła na nich niemiły smak. – Porwanie?

– Zrobi to pani?

– Owszem, czemu nie.

Promienie słońca mocno oświetlały wierzch mojej dłoni. Ściany zdobiły jasne kwadraty tkaniny z prymitywnymi wzorami. Słyszałem, jak gospodyni otwiera i zamyka szuflady. Potem zapadła cisza.

Nagle stanęła w drzwiach naprężona, tak jakby szykowała się do uniknięcia czyjegoś ciosu. W rękach trzymała niewielką czarną walizeczkę rozmiarów małej książki. Wyciągnęła do mnie ręce, a jej usta poruszały się jak pyszczek ryby.

– John nie...

Wzięłem od niej walizeczkę i ją otworzyłem. Dwie strzykawki, zapasowe igły, paski testowe. Fiolki, alkohol. Zatrzasnąłem pojemnik.

– Cukrzyk?

– Tak, tak! Powinien był to zabrać! Codziennie rano robi sobie zastrzyk z insuliny. Jest niesłychanie roztargniony, ale na własnej skórze się przekonał, że o tym nie wolno mu zapominać. Dostał nauczkę, bo zapomniał i zapadł w śpiączkę cukrzycową. A innym razem wziął za dużą dawkę i doprowadził do reakcji insulinowej. Nie wyobrażam sobie, żeby zapomniał...

Opadła na krzesło.

– Choć oczywiście mógł zapomnieć. Jednak rano by sobie przypomniał. Bo od tego zaczyna każdy dzień. Ma recepty. Mógł kupić to, czego potrzebuje. Tak, na pewno tak właśnie zrobił.

– Czy ktoś widział, jak brat stąd wyjeżdża?

– Słucham? Nie wiem, nie sędzę. W poniedziałek po południu nie ma tu wielu ludzi.

– Gdzie trzymał ten pojemnik?

– W łazience, w szafce na medykamenty.

– Zabrał ze sobą inne przybory toaletowe?

– Tak, rozumiem, co pan ma na myśli. To jest... bardzo dziwne. Zaczynam się bać. – Zmarszczyła czoło i spojrzała na mnie. – Powiedział pan, że to miało wyglądać tak, jakby wyjechali razem. Dlaczego?

– Nie znam powodu. – Nagle wyraz jej twarzy się zmienił. – Co się stało?

– Nie wiem, coś mi się przypomniało. Powiedział to w niedzielę. Toczyliśmy kłótnię, jedną z tych, które do niczego nie prowadzą. Rzuciłam jakąś drwiącą uwagę o tym, że przed nim wspaniały tydzień, bo będzie miał dla niej poniedziałek, wtorek i czwartek. Odparł, że we wtorek, czyli wczoraj,

nie spotka się z nią. Powiedział, że będzie zajęta. Jeśli planował wyjechać w poniedziałek...

- Musiał wiedzieć, że Mona spotyka się ze mną.
- A więc dokąd pojechał?
- Dokąd go zabrano?
- Proszę. Chce pan jeszcze bardziej mnie przestraszyć?
- Jak pani na imię?
- Isobel. Nazywam się Isobel Webb.

Przyciągnąłem sobie nogą stołek i usiadłem na nim twarzą do niej, blisko.

– Jestem Travis McGee, Isobel. – Ująłem jej rękę. Szarpnęła nią dwa razy, ale potem zrezygnowała i siedziała w niewygodnej sztywnej pozycji, patrząc obok mnie.

– Dlaczego tak dziwnie się pan zachowuje? – spytała, szybkim ruchem koniuszka języka zwilżając usta.

– Nie chcę pani straszyć. Zaryzykuję i coś pani opowiem. Może nie powinienem, może to panią załamie. Tego bym nie chciał. Chcę, żeby dzielnie się pani trzymała i nie poddawała. Podejmie pani taką próbę? Dobrze, więc proszę słuchać uważnie. Mona Yeoman zabrała mnie do samotnej chaty w górach. Wczoraj po południu o czternastej dwadzieścia pięć, kiedy stała tak blisko mnie, jak pani teraz siedzi, została trafiona w plecy pociskiem wystrzelonym z wielkokalibrowego karabinu. Strzał oddano z dużej odległości. Odszedłem stamtąd, a kiedy wróciłem na miejsce z szeryfem, ciała nie było. Zniknęły także wszystkie ślady. Policjanci nie chcieli dać mi wiary. Uważają, że moja opowieść to zasłona dymna, która ma ułatwić Monie ucieczkę z pani bratem.

Isobel przyglądała się mojej twarzy. Jej rzęsy były niepospolicie długie.

– Ależ oni wczoraj wsiedli do samolotu. O trzynastej piętnaście polecili do...

– Wczoraj o trzynastej piętnaście na pokład samolotu weszła wysoka blondynka i bardzo wysoki chudy mężczyzna, oboje nosili ciemne okulary. Wiem na mur beton, że Momy Yeoman w tym samolocie nie było.

O trzynastej piętnaście ona i ja siedzieliśmy w jej autku i jechaliśmy do górskiej chaty. Byliśmy praktycznie na miejscu. Na liście pasażerów figurują nazwiska pana i pani Webber Johnson. To nazwisko jest jak wielka tabli-

ca reklamowa. Jeśli pani brat chciał uniknąć rozpoznania, dlaczego je wybrał? Czy był aż takim durniem?

– Nie. Użył pan czasu przeszłego...

– Czy planował spotkać się z Moną w poniedziałek po południu?

– N-nie. Uzbierało mu się dużo roboty, zamierzał wrócić do domu i popracować. Miał testy do sprawdzenia, leżały na tym stole, kiedy przyszłam. Przekazałam wszystkie materiały pracownikom wydziału. Inni nauczyciele wezmą za niego zastępstwo, dopóki kierownictwo kogoś nie znajdzie.

Przyglądałem się jej uważnie. Była roztrzęsiona, miałem jednak wrażenie, że trzyma się nie najgorzej.

– Wiem, że Mona nie żyje, Isobel. Dokonanie tego morderstwa wymagało dobrej organizacji. Na pokład samolotu weszli podstawieni ludzie. Mona nie żyje, a żeby plan mógł się powieść, to znaczy, żeby wyglądało to tak, jakby oboje razem uciekli, musiano by zabić także pani brata.

Zamknęła oczy, jej dłoń mocno zacisnęła się na mojej. Drobna, blada gładka dłoń, lecz całkiem silna. Kiedy otworzyła oczy, wzywały z nich pustka i zagubienie.

– Ale to takie dziwne...! Co sprawcy mogliby zyskać?

– Tego nie wiemy. Na razie. Jednak poszukiwania dwojga zbiegłych kochanków będą trwały nadal, dopóki sprawa nie ucichnie po jakimś czasie. Podejrzewam, że jak zawsze w takich wypadkach ludzie utwierdzą się w przekonaniu, że tych dwoje rozpoczęło nowe życie gdzieś daleko stąd.

– Czy jej mąż byłby gotów zrobić coś takiego?

– Nie sądzę.

Spojrzała na czarną walizeczkę, którą położyłem na stoliku obok krzesła.

– W takim razie to jest coś w rodzaju dowodu, prawda? – Poruszyła się, jakby chciała wstać. – Powinnam zawiadomić policję.

– Zaczekaj chwilę, Isobel.

– Dlaczego miałabym czekać? Jeśli John...

– Ktoś zadał sobie niemało trudu, żeby to wyglądało jak ucieczka dwojga ludzi.

– W takim razie dlaczego ten ktoś zabił Monę w pana obecności?

– Nie wiem, może nie miał wyboru. Może plan był inny, nie wypalił i sprawcy musieli improwizować.

– Ale jeśli mojego brata porwano...

– Proszę to udowodnić.

– Zostawił przybornik diabetyka.
– Zwykle przeoczenie. Kupił sobie drugi w aptece w El Paso.
– Ale...
– Livingston leży w okręgu Esmerelda, śledztwo prowadzi szeryf Fred Buckelberry.
– On i jego zastępca byli tu wczoraj wieczorem około dwudziestej. Powiedzieli mi o samochodzie i o tym, że mój brat i jego kochanka wsiedli do samolotu. Głównie chodziło o to, żebym natychmiast dała znać szeryfowi, jeśli John się odezwie. Policjanci okazywali lekceważenie wobec tej sytuacji, wyrażali się o niej drwiąco. – Isobel przechyliła głowę i ściągnęła brwi. – To nawet logiczne.

– Co mianowicie?

– Nie sądziłam, że John naprawdę z nią ucieknie... Wydawało mi się, że jest na to zbyt zrównoważony. Usiłowałam mu tylko uprzytomnić, że powinien przestać się z nią spotykać. Słyszało się o tym za dużo plotek. Jeśli jednak ci ludzie przyjechali tutaj i go zabrali... Mój brat nienawidził przemocy, nie był silnym mężczyzną. Nigdy nie chciał nikomu zrobić krzywdy...

Czas przeszedł. Spojrzała na mnie, jakby nagle uświadomiła sobie, że mówi w czasie przeszłym. Jej oczy napełniły się łzami, jęknęła cicho i rzuciła się w moją stronę całym ciałem. Wpadła mi bezwładnie w ramiona i pozostała w niezgrabnej pozycji wyrażającej ból i bezradność. Przytrzymałam ją. Kręciła głową opartą o moją pierś, jęcząc i szlochając. Bezwiednie szukała odrobiny pocieszenia, którą może dać fizyczna bliskość choćby nieznanego mężczyzny.

Gdy jednak poklepałam ją po ramieniu, momentalnie stężała i odskoczyła, jakbym był koszem pełnym węży.

– Proszę wybaczyć – powiedziała zdławionym głosem. Kiedy usiadła na krześle, wydawało się, że zmaląła. Wtedy zobaczyłem, że ma oczy w bardzo ciemnym niebieskim odcieniu. To były najciemniejsze niebieskie oczy, jakie kiedykolwiek widziałem u mężczyzny bądź kobiety. Matowe włosy, wiotkie białe ciało, zapach wanilii i lęk seksualny. Szlachetne schronienie dla kobiety, która nie zrealizowała się w życiu: opieka nad uwielbianym bratem. Uświadomiłem sobie, z jaką goryczą wypowiadała się o jego związku z Moną; robiła aluzje do seksualnej podstawy ich relacji, jakby to była zaropiała rana. Nic dziwnego, że dwa lata spędzone z bratem na uczel-

ni wydawały się jej cudowne. Dwudziesty piąty i dwudziesty szósty rok jej życia. Doskonałe miejsce na przeczekanie młodzieńczych lat. Gorące soki wyschną, a wszystko w imię szlachetnego poświęcenia. Mona Yeoman musiała wzbudzić w niej odrazę, to było nieuniknione. Za bardzo obnosiła się ze swoją cielesnością, zbyt nieskrępowanie z niej korzystała.

– Poznała pani Monę? – spytałem.

– John uważał, że powinniśmy się zakolegować. To był jeden z jego najgorszych pomysłów. Traktowała mnie protekcjonalnie niczym zapóźnione w rozwoju dziecko.

Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, że nie żyje. Była tak... ostentacyjnie żywa, panie McGee.

– Proszę mi mówić po imieniu. Travis albo Trav.

– Nie jestem w tym dobra, nie tak łatwo mi to przychodzi.

– To taki trik, mniejsza z tym. Pomyślałem, że poczuje się pani przy mnie swobodniej, Isobel.

– Prawie nigdy nie czuję się swobodnie wśród ludzi. Wydaje mi się, że tak nas wychowano...

– Jak to?

– Oboje rodzice byli artystami. Ojcu się powiodło, a mama odziedziczyła jakieś pieniądze. Żyliśmy wiele kilometrów od innych ludzi. Materiały do nauki przychodziły pocztą. Rodzice uczyli nas na zmianę. Latem mieszkaliśmy w Kanadzie, zimą na małej wyspie w archipelagu Bahamów. John ciągle chorował, wszyscy o niego drżeliśmy. Ja zawsze byłam bardzo zdrowa. Człowiek uczy się gier, w które można grać samemu. Rodzice zmarli przed trzema laty. W ciągu dwóch miesięcy. Byli ze sobą bardzo związani. Zawsze czuliśmy się jak outsiderzy, John i ja. To nas do siebie zbliżało. A teraz... Co ja mam robić! Co, na litość boską, mam robić!

Wstała, przeszła tuż obok mnie i zbliżyła się do stołu. Wzięła książkę, upuściła ją i odwróciła się oparta o stół.

– Czemu ktoś chciałby go zabić? Nie wierzę panu. Wie pan o tym, prawda? Po prostu nie mogę panu uwierzyć.

– A kiedy mówię o Monie?

– T-tak, w to potrafię uwierzyć. Ona była taka... stanowcza. Mogła narobić sobie wrogów. Ale John jest łagodny. I ma takie cierpkie, przewrotne poczucie humoru.

– Jak, u licha, tych dwoje się poznało?

– To było zaledwie rok temu, jej mąż przyjechał na kolację u rektora. My także byliśmy zaproszeni. Pan Yeoman przekazał jakąś sumę na fundusz stypendialny. John dostał miejsce obok pani Yeoman. Udawała, że zacięka-
wiła ją współczesna filozofia. Rozmawiali o Heideggerze, Broadzie, Ryle’u, Sartrze, Camusie. Była jedną z tych cwanych osób, które potrafią wypowiadać się o czymś, na czym się ani trochę nie znają. Poza tym pozna-
ła Camusa wiele lat temu w Paryżu. John czuje się najlepiej wtedy, gdy roz-
mowa dotyczy jego dziedziny. Wygłasza wtedy bardzo śmiałe poglądy. Za-
częła przyjeżdżać co tydzień na jego piątkowe seminarium z filozofii demo-
kracji, pilnie uważała, robiła dokładne notatki, czytała dużo literatury zwią-
zanej z tą tematyką. W taki sposób to się zaczęło. Jej wymuszone zaintere-
sowanie było rzecz jasna zasłoną dymną. Traktowała go jak nowy okaz. Ostrzegałam go, żeby uważał. Nie sprawiała wrażenia, że bardzo jej się spieszy. Uwiodła go dopiero w kwietniu. Wszedł i zaczął pleść jakąś ba-
jeczkę o tym, że zepsuł jej się samochód. Przyjeżdżała tutaj po niego i go
zabierała. Bez cienia wstydu. Nie miał szans, to oczywiste. Była bardzo
sprytna i zdeterminowana. I znudzona, tak mi się wydaje.

– Czy ma pani kogoś, kto z panią zostanie, Isobel? Albo kogoś, do kogo
mogłaby pani pójść?

– Nie, ale nie jest mi to potrzebne.

– Uważam, że nie powinna pani dzwonić do szeryfa.

– Ponieważ to, że John zostawił w domu swoje przybory, nie ma żadnego
znaczenia?

– Powiedzmy. Jednak ważniejsze jest to, że przestępstwo zostało tak sta-
rannie zaplanowane. Chcę się jak najwięcej dowiedzieć, i to po cichu. Mam
wrażenie, że jeśli narobię szumu, wyładuję na robotach drogowych. To, co
stało się z Moną i pani bratem, jest zaledwie elementem większej całości.
Wiele spraw kotłuje się pod powierzchnią.

– A jeśli mój brat potrzebuje pomocy?!

Znów była na krawędzi załamania.

– Isobel, żeby wymusić akcję ratunkową, musimy udowodnić, że nie
wsiadł wczoraj do samolotu. Ludzie bardzo chcą wierzyć w to, że tych
dwoje odleciało do El Paso, nawet mąż Mony. Wydaje mi się, że szeryf jest
trochę oportunistą, ale nie podejrzewam go o korupcję. Wywieram na niego
presję, żeby dokładniej zweryfikował moją relację o śmierci Mony. Jeśli na

coś trafi, wtedy powinno być jasne, że żadne z nich nie weszło na pokład samolotu.

– Ależ to bardzo długo potrwa! John może być... Uświadomiłem sobie, że nie zdołam jej uspokoić.

Musiałem ją stamtąd zabrać.

– Chcę pojechać na lotnisko w Carson i trochę się rozejrzeć. A pani musi zgłosić się po samochód, prawda? Może wybierze się pani ze mną?

Zawahała się, a potem nagle skinęła głową.

– Chwileczkę, tylko się przebiorę.

4

Nim zamknęła drzwi, kazałem jej pokazać, gdzie brat trzymał samochód. Odkryty garaż znajdował się na tyłach, obok kuchni. Droga dojazdowa biegła za ogródkami kompleksu mieszkalnego. Mury, które go otaczały, były wysokie. Jeżeli ktoś zaczął się tam na Johna Webba albo wtargnął, kiedy ten wrócił do domu w poniedziałek po południu, bez trudu mógł go skrepować i wywieźć. Nie wspomniałem siostrze, że mogli mu zgruchotać głowę jeszcze przed zapakowaniem go do auta. Na ogromnym pofałdowanym pustkowiu zaczynającym się za granicami miasta były tysiące zacisznych miejsc, w których mogli ukryć ciało.

Isobel zamknęła mieszkanie na klucz, upewniwszy się, że zabrała kluczyki do samochodu. Włożyła szarą spódnicę z tkaniny o luźnym splocie, odrobinę za dużą, i żółtą bluzkę z bawełny; zabrała również sweter. Wytarta torebka z ciemnoszarej skóry wyglądała jak rekwizyt statecznej starszej pani. Na nogach miała nylonowe pończochy i lśniące czarne mokasyny. Do tego założyła duże okulary przeciwsłoneczne, prawie czarne. Zakryte oczy sprawiły, że jej twarz wydawała się całkowicie pozbawiona wyrazu i mniejsza niż przedtem.

Wskazała mi drogę do osiedla i powiedziała, gdzie skręcić. Siedziała prosto, jakby nieobecna, z torebką na kolanach i zaciśniętymi na niej dłońmi. Tak wyglądają ofiary, których dotknęła przemoc.

– Gdzie mieszkaliście na Bahamach?

– Słucham? Och, nie sądzę, żeby znał pan to miejsce. Wyspa ma około półtora kilometra długości i jakieś czterysta metrów szerokości. Leży w pobliżu Old Mallet Cay.

– To na południe od wysp Joulters, niedaleko wybrzeża i Języka Oceanu. Bardzo zdradliwe wody, roi się tam od raf koralowych.

– A jednak zna pan to miejsce! – powiedziała głosem, który zabrzmiał młodziej.

– Jeśli to ta wysepka, o której myślę, to stoi tam stary szary dom dość mocno sterany sztormami, a nieopodal znajduje się małe zaciszne kotwicowisko. Większość wyspy stanowi skała wulkaniczna, dom stoi frontem ku zachodowi.

– To ten dom!

– Sprzedaliście go?

– Nigdy nie był nasz, ojciec wydzierzał go od Korony brytyjskiej na dziewięćdziesiąt dziewięć lat. Takich domów nie wolno sprzedawać, wie pan. Można je przekazywać bezpośrednim spadkobiercom, dopóki nie wygaśnie dzierżawa. John i ja rozmawialiśmy o tym, żeby pewnego dnia tam wrócić.

– Nie dostaliście spadku?

– Mama otrzymywała pieniądze jako comiesięczną dożywotnią pensję. I nie była to duża kwota. Ojciec nigdy nie orientował się w podatkach i dokonywał fantastycznych inwestycji. Koniec końców John i ja dostaliśmy nieco ponad dziewięćset dolarów na głowę. Wie pan, kochałam tę wyspę. Jest tam plaża i bar. Pamiętam, jak cudownie wszystko wyglądało w blasku księżycy. Piasek na plaży lśnił jak śnieg. Wszyscy opalaliśmy się na brąz jak Bahamczycy.

– Nie wygląda pani, jakby kiedykolwiek wychodziła na słońce.

– Pewnie miałam go za dużo w dzieciństwie. Teraz usta reagują alergicznie, puchną i boleśnie pękają. Niczego tak nie lubię, jak leżeć na słońcu i smażyć się, zapominając o całym świecie.

– Kiedy ostatnio to pani robiła?

– Lata temu.

– Są teraz nowe wynalazki, cuda przemysłu chemicznego. Opracowano krem, który chroni przed każdym rodzajem promieniowania.

– Naprawdę?

– Z gwarancją.

– Zdobędzie go pan dla mnie? Będzie pan wiedział, o co pytać?

– Naturalnie.

– Może to, co powiem, zabrzmii idiotycznie... Ale jeśli ma pan rację, jeśli z Johnem stało się coś strasznego, łatwiej bym to zniosła, gdybym mogła wyjechać gdzieś daleko, leżeć w słońcu, przeżywać swój ból i nic oprócz

tego nie robić. To dla mnie jak narkotyk. Panie McGee, kiedy ostatnio widział pan ten dom?

– Wiosną dwa lata temu.

– Zszedł pan na brzeg?

– Nie, ale oglądałem go przez lornetkę. Okiennice były zamknięte, dom wyglądał na nienaruszony.

– Wydaje mi się, że doprowadzenie go do stanu używalności wymagałoby bardzo dużo pracy. Trzeba by oczyścić zbiornik na wodę, udroźnić kanalizację, tego typu rzeczy. Mieliśmy stary mocny jacht, bardzo fajny. Cztery godziny rejsu do New Providence. To było wielkie wydarzenie, czekaliśmy na odpowiednią pogodę i wiatr i wypływaliśmy, gdy tylko zaczynało się rozwidniać.

Kiedy o tym opowiadała, wyraźnie się odprężyła, a jej głos stał się weselszy i swobodniejszy. Zakonotowałem to sobie w pamięci. Im więcej się o niej dowiem, tym łatwiej będzie mi ją uspokoić, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Pokonywałem długie strome zakręty, cały czas jadąc pod górę. Potem przemknąłem przełęczą i droga zaczęła biec w dół ku płaskowyżom z ogrodzonymi połaciami ziemi porośniętymi twardą szarozieloną trawą; dalej zaczynały się otwarte tereny, na których rosły jadaloszyn, bylica i kaktusy. Była to droga stanowa numer dwieście dwa, nieco mniej uczęszczana niż droga numer sto, trochę węższa i starsza. Znajdowało się tam parę miasteczek zbudowanych wedle hiszpańskich wzorców. Droga okrążała je, omijając starą trasę z wąskimi brukowanymi uliczkami, które otaczały mury. Przy nowej trasie stały kawiarnie i warsztaty samochodowe, małe pastwiska dla brutalnie zmasakrowanych aut.

Kiedy zbliżaliśmy się do Carson, dostrzegłem w oddali pasmo gór, które przykuło moją uwagę w czasie lotu samolotem. Z daleka mieniło się purpurą, w wyższych partiach jaśniały smugi śniegu. Lotnisko leżało w północnej części miasta. Niewielki terminal był nowy, zbudowany z fabrycznej kostki i tafli przyciemnionego szkła. Po obu stronach budynku znajdowały się darmowe parkingi. Kilkaset metrów dalej wznosił się zaniedbany, wyblakły od słońca hangar i prywatny warsztat serwisowy. Stało tam w równych rzędach na pylistym klepisku kilkanaście małych samolotów pomalowanych na jasne kolory. Na dwóch parkingach było około czterdziestu samochodów. Kremowo-czerwony samolocik podchodził właśnie do lądowania.

Dojechaliśmy kwadrans po południu.

– Nie widzę naszego samochodu – oznajmiła Isobel.

– Jaki to wóz?

– Ciemnoczerwone desoto, nie wiem, który rocznik. Dość stary. Nie, nigdzie go nie widzę. Szeryf powiedział, że samochód jest tutaj. Ciekawe, czy John...

– Spróbujmy zasięgnąć języka – powiedziałem, parkując. W słońcu panował upał, weszliśmy do chłodnego klimatyzowanego terminalu. Tuż obok drzwi stał jakiś mężczyzna. Nosił czapkę szofera, miał duży brzuch i trzymał w ustach końcówkę cygara. Jego małe szare oczka wyglądały jak kamyki. Roztaczał aurę drobnego ważniaka.

Minąłem go, a potem zatrzymałem się i odwróciłem.

– Przepraszam, mam zabrać z parkingu pewien wóz, stare bordowe desoto. Zostawiono go tutaj wczoraj albo przedwczoraj. Może coś pan o tym wie?

Mężczyzna zlustrował mnie uważnie i przesunął cygaro w drugi kącik ust.

– Zabrano go stąd, panie kolego.

– Co pan ma na myśli?

– Jak powiedziałem. Wzięli go na hak i odholowali. Dzisiaj koło dziesiątej, jakoś tak. To była ekipa z miasta, więc pewnie zabrali ten samochód na parking. Robią tak z autami, które są źle zaparkowane albo kradzione.

Ta informacja zaniepokoiła Isobel. Zadawała pytania, na które nie znałem odpowiedzi. Podszedłem z dziesięciocentówką do budki telefonicznej, ona zaś stała i patrzyła na mnie przez szybę. Miała zaciśnięte usta, oczy skrywały ciemne szkła okularów. Operatorka z komendy policji połączyła mnie z jakimś funkcjonariuszem, a ten przełączył mnie do innego. Usłyszałem, że władze okręgu zażyczyły sobie, żeby ściągnąć samochód z parkingu i go przechować.

– Wygląda mi na to, że chcą mu się przyjrzeć – oznajmił policjant. – Kazali nam go nie ruszać, więc posłaliśmy swojego człowieka z facetem od wraków. Mieli odholować auto i niczego nie dotykać, żeby nie zrujnować dowodów. Jeszcze nie zrobili przeglądu, a jeśli chce się pan dowiedzieć, kiedy samochód może zostać wydany, musi pan zapytać w biurze szeryfa.

Zamknąłem drzwi budki i przekazałem wiadomość Isobel.

– Co to znaczy? – spytała. – Dlaczego policja to robi?

– Może są gotowi dopuścić drugą wersję wydarzeń. Wczoraj wieczorem w obecności Yeomana powiedziałem szeryfowi, że to jedna z czynności, które powinien podjąć. I tak zrobił. Ale szanse są małe, odciski palców pozostawione przez przestępców najlepiej wyglądają w serialach kryminalnych. W rzeczywistości policji udaje się zdjąć linie papilarne z co setnego pistoletu i co dwudziestego auta. Jeśli ktoś poprawia ręką lusterko wsteczne, może zostawić wyraźne odciski pod warunkiem, że powierzchnia jest wystarczająco gładka. Czasem zdarzy się odcisk kciuka na pokrywie schowka. Zwykle większe znaczenie ma to, że kierownica i klamki samochodu zostały wytarte i że nie ma rozmazanych ani fragmentarycznych odcisków palców. To już coś mówi.

Spoglądała na mnie z przechyloną na bok głową.

– To trochę dziwna logika, prawda? Jeśli John z nią nie uciekł, a pan mówi, że nie mógł, wtedy nie miałyby sensu, żeby przyprawadzał tutaj samochód.

– Chodźmy zjeść lunch.

W narożniku terminalu mieścił się bar. Zamówiliśmy, a potem zostawiłem Isobel na stołku i poszedłem rzucić okiem na rozkład lotów. Lot o trzynastej piętnaście do El Paso z międzylądowaniami obsługiwała linia Westways. Samolot startował z lotniska na północy, w drodze do Carson lądował trzy razy. Dzisiaj także miał przylecieć.

Podszedłszy bliżej, stwierdziłem, że bileter jest za stary na swoją zawodnicką fryzurę.

– Czy lot o trzynastej piętnaście będzie obsługiwała ta sama załoga co wczoraj?

– Nie mam pojęcia. Dlaczego pan pyta?

– Ale może tak być?

– Chyba tak, system rotacyjny jest zbyt skomplikowany jak na moją głowę.

– Czy załoga wejdzie do terminalu?

– Spędzają tutaj tylko pięć minut. Przylatują na czas, powinni być dziesięć po pierwszej.

Wróciłem do swojego stygnącego hamburgera i powiedziałem Isobel, co zamierzam. Żałowałem, że nie poprosiłem jej o zabranie zdjęcia brata. Wyjęła portfel z szarej torebki, w jego przegródce znajdowało się kolorowe zdjęcie. Stała w blasku słońca z bratem, mrużyli oczy i uśmiechali się na tle

jednego z budynków kampusu. Był ubrany w jasny garnitur i miał przerzywiony krawat. Powiedziała, że zdjęcie ma ponad rok. John Webb był wysoki, chudy, miał bladą cerę i zapadniętą klatkę piersiową. Strzecha czarnych włosów była zmierzwiona, a uśmiech przyjemny. Nie wyglądał na mężczyznę, który wzbudziłby zainteresowanie Mony. Miał niewyraźną minę człowieka, który chce się przypodobać. Może po Cubie i Jassie miała dość macho.

Dwusilnikowy samolot przyleciał kilka minut przed czasem. Trzech lub czterech pasażerów miało wsiąść, tyle samo wsiąść. Podprowadzono schodki na kółkach do drzwi przed skrzydłem. Poszedłem za pasażerami. Uśmiechnięta stewardesa wyciągnęła rękę po mój bilet. To był zwyczajowy uśmiech. Miała na sobie granatowo-różowy kostium. Cukierkowata blondynka, nieco za tęga na spódnicę, którą nosiła. Na jej wardze pojawiły się krople potu, zaskoczył ją upał panujący tu, na dole.

– Nie jestem pasażerem – oznajmiłem. – Chciałem zapytać, czy obsługiwała pani wczorajszy lot.

– Tak, proszę pana.

Pokazałem jej fotkę.

– Pamięta pani tego mężczyznę? Wysoki, ciemne włosy, szczupły. Był z postawną blondynką, oboje nosili okulary przeciwsłoneczne. Wsiedli tutaj i dolecieli do samego końca trasy.

– Tak, pamiętam tych dwoje.

– Czy to był ten sam mężczyzna?

– Nie wiem, zdawało mi się, że był... mocniej zbudowany niż ten. Zapamiętałam ich, ponieważ miałam z nimi... pewien kłopot, niewielki. Sporo miejsc było zajętych, a oni wnieśli na pokład butelkę. Właściwie nie powinniśmy na to pozwalać, ale wie pan, jak to jest. Przed nimi siedziała starsza pani, poskarżyła mi się, że używają brzydkich wyrazów. Przesadziłam ją. Nie zachowywali się bardzo głośno. – Stewardesa spojrzała na zegarek.

– Zapamiętała pani, jak byli ubrani? Albo jakiś szczegół, który zwrócił pani uwagę.

– Kobieta miała na sobie jasnoniebieski kostium z czesankowej tkaniny, czerwone sandały na wysokich obcasach i dużą czerwoną torebkę. Właśnie w niej trzymała butelkę. Jego nie zapamiętałam. Ciemne spodnie i jasna marynarka, tak mi się wydaje. Miał długą cienką szyję i drobne blizny tutaj,

pod uchem. Hm, siedzieli po lewej stronie, więc blizny były na prawej stronie jego szyi.

Pewnie po wycięciu migdałków. Pan wybaczy, ale muszę...

– Bardzo pani dziękuję. Jak brzmi pani nazwisko?

– Houser, Madeline Houser.

Zszedłem po schodkach. Odciągnięto je i zamknięto szczelnie drzwi. Kiedy ruszyłem w stronę terminalu, maszyna zaczęła kołować. Podmuch powietrza uderzył mnie w plecy i zmusił do przyspieszenia kroku. Z ziemi wzbily się tumany kurzu i papierków od gumy do żucia.

Isobel czekała przy drzwiach. Zaprowadziłem ją do foteli stojących naprzeciwko szyb z przyciemnionego szkła, za którymi biegły pasy startowe lotniska. Usiedliśmy i przekazałem jej to, czego dowiedziałem się od Madeline.

Ze smutkiem pokręciła głową i wydeła usta.

– To nie był John, nic się nie zgadza. Nie ma blizn na szyi i nie wyrażałby się w taki sposób. Gdzie teraz jest? Co się z nim stało? Powie pan policji, co usłyszał pan od stewardesy?

– Proszę pozwolić mi zatrzymać jakiś czas tę fotografię.

– Oczywiście. Mam zgłosić zaginięcie Johna? Czy to wywoła zamieszanie?

– Byłoby lepiej, gdybyśmy wiedzieli, co wywołamy.

Uderzyła dłonią w podłokietnik fotela.

– Skąd u pana taki brak zdecydowania? Przecież to jest z całą pewnością sprawa dla policji. Może powinnam zadzwonić do gazety. Do licha, nie możemy tak po prostu siedzieć z założonymi rękami!

– Lepsze to, niż rzucić się przed siebie na oślep.

– Może John leży gdzieś związany i chory.

– Jeśli uruchomisz wszystkie syreny, Isobel, ten, kto coś wie na jego temat, schowa się w najgłębszej dziurze i będzie czekał. Musimy się więcej dowiedzieć, musimy wyrobić sobie jakiekolwiek pojęcie, kto to zrobił i dla czego, i kto na tym skorzysta. To wszystko nie stało się pod wpływem impulsu, musi mieć jakiś ukryty sens. Chcę pogadać z adwokatem, którego wynajęła Mona. Jest spoza tego okręgu, z Belasco. Ale nie znam jego nazwiska.

– Ja je znam, chwileczkę, przypomnę sobie. Usłyszałam je, kiedy John rozmawiał z Moną przez telefon. Zaczyna się na M, to włoskie nazwisko.

Mazzari, tak.

– Gdzie leży Belasco?

– Niedaleko stąd. Trzydzieści kilometrów na wschód, tak mi się zdaje.

Dojechaliśmy do Belasco o czternastej dwadzieścia. Było dwa razy mniejsze od Esmereldy i wyglądało tak, jakby istniało o wiele dłużej. Znajdowały się w nim place i nieczynne fontanny, mauretańskie łuki i kościołki misyjne; było także koryto dużej rzeki, na której dnie płynął maleńki strumyk. Jesienni turyści z aparatami podziwiali malownicze widoki gór Candelero. Adwokaci Rogan i Mazzari mieli biura w starym gmachu banku na centralnym placu. Dziewczyna z recepcji oznajmiła, że pan Michael Mazzari przebywa w sądzie, i zapytała, czy zechcę się umówić. Budynek sądu znajdował się w niewielkiej odległości, można było dojść pieszo. W rozgrzanym wnętrzu panowały gorąco, wilgoć i brud. Mazzari ubrany w samą koszulę bez marynarki pił wodę z korytarzowego poidełka i rozmawiał z dwoma mężczyznami. Woźny zamienił z nim kilka słów, wskazując na mnie i na Isobel. Adwokat skinął głową i po chwili podszedł. Był to niski ciemnowłosy mężczyzna o byczym karku; przywitał nas uśmiechem, odsłaniając białe zęby. Miał początki łysiny na czubku głowy. Otaksował wzrokiem Isobel od stóp do przedziałka włosów z bezgraniczną otwartością zaprawionego w łowach myśliwego.

Miał mocny uścisk dłoni.

– McGee? I panna Webb. Ach, tak. John to pani brat? Rozumiem. A może nie rozumiem. Moja pracownica was do mnie skierowała?

– Powiedziałem jej, że to pilna sprawa.

– Doprawdy?

– Z całą pewnością – potwierdziła zdecydowanie Isobel.

Przeprosił i podszedł do woźnego stojącego przed drzwiami sali; porozmawiał z nim przez chwilę, a potem zaprowadził nas do małej salki nieopodal. Była to pomalowana na beżowo klitka z dębowymi meblami. Usiedliśmy przy pokancerowanym stole.

– Rozpatrujemy powództwo cywilne, wypadek samochodowy. Nie znoszę tego cholerstwa. Przysięgli usiłują ustalić wysokość odszkodowania dla mojego klienta. Mogę mieć dla was pięć minut albo dwie godziny w zależ-

ności od tego, jak szybko się dogadają. Co to za alarm? Domyślam się, że chodzi o Monę Yeoman.

– Wczoraj po południu została zamordowana – oznajmiłem.

Wyglądał na takiego, którego niełatwo zszokować, ale to nim wstrząsnęło. Po chwili zdumienie ustąpiło miejsca podejrzliwości.

– Zaraz, zaraz – odparł. – Nawet stary Jass nie dałby rady czegoś takiego wyciszyć. A nic do mnie nie dotarło.

– To miało wyglądać tak, jakby uciekła z Johnem Webbem. Zwłok nie ma, Webb również zniknął. Wczoraj po południu dwoje podobnych do nich ludzi odleciało samolotem z lotniska w Carson.

– Może to byli oni.

Isobel zaprotestowała. Uciszyłem ją i przedstawiłem Mazzariemu fakty: strzał do Mony z dużej odległości, zestaw insulinowy, spostrzeżenia stewardesy i to, że policja odholowała z lotniska samochód Webba.

Adwokat gwizdnął cicho.

– Cóż za nieprawdopodobna sytuacja! Gdyby pana nie było na miejscu zbrodni, wszystko by się powiodło. Pani wybaczy brutalny żart, lecz tych dwoje przygotowało sobie grunt do wspólnej ucieczki. Wpadli w szal gorących ciał. Właśnie dlatego Mona nie mogła usiedzieć na tyłku i włączyła mnie do sprawy, żebym załatwił kwestie finansowe.

– Czy jest coś z prawdy w twierdzeniu, że Jasper Yeoman ją ograbił?

Prawnik wlepił we mnie wzrok.

– Kto mi za to zapłaci?

– Nie Mona, bo nie żyje.

– Jaka jest pana rola w tym wszystkim, panie McGee?

– Nie potrafił pan rozwiązać jej sprawy za pomocą środków prawnych, bo wymagało to zbyt wiele czasu. Przyszło jej do głowy, że mnie uda się pójść na skróty.

Zapłaciła za mój pobyt tutaj, ale nie spodobało mi się to, co od niej usłyszałem.

– Więc teraz reprezentuję pana?

– To z nas, które będzie tego potrzebowało. Pod warunkiem że... nie siedzi pan w czyjejś kieszeni.

Adwokat się zirytował.

– Nie siedzę w niczyjej kieszeni. Mógłbym być bogatszy, niż jestem, proszę mi wierzyć. Nie pieprzyłbym się z pozwami o nieostrożną jazdę. Jestem

niezależnym makaroniarzem i zawzięcie się tego trzymam, jeśli o to pan pyta. Więcej by pan zwojował, najmując kogoś, kto ma mocne plecy na tym terenie. Mona przyszła do mnie, bo mam opinię niepokornego wolnego strzelca. Pluję moźnym w oczy, nigdy nie wybiorą mnie na żaden urząd publiczny, dzięki Bogu.

– A zatem mamy adwokata. Pierwsze pytanie, panie Mazzari...

– Mike.

– Ja mam na imię Travis, a to jest Isobel. Mike, czy Jass okroił majątek?

– Okroił to nie jest właściwe określenie. Wyjął go z kieszeni Mony i przełożył do swojej. Jednak potrzebował na to dwóch lat, zaprzął do roboty zespół księgowych. To nie był prosty i toporny przekręt. Zrobił to za pomocą prawdopodobnych, choć nieroztropnych transakcji finansowanych ze spadku Mony, przepuszczał aktywa przez firmy krzaki, a następnie wracały tanio na jego konto. Gdyby majątkiem starannie zarządzano, byłby dzisiaj wart pięć milionów. Tymczasem parę lat temu przepadł i nic z niego nie zostało.

– Co na to sąd?

– Wątpię, żebyś kiedykolwiek wygrzebał skrawek dowodu korupcji. Jass był starym dobrym swojskim chłopakiem, potrafił zabrać człowieka na grzyby albo na ryby. Wszyscy wiedzieli, że jego dziewczynce nie zabraknie ptasiego mleka. To taki gość, co słodkimi słówkami wywabiłby wiewiórkę z dziupli. Słynie z tego, że gra ostro, ale jest uczciwy. Może powiedział sobie, że porządkuje sprawy, że przekłada kamyki do miejsca, w którym będzie mógł ich lepiej przypilnować. Że zrzuca pęta prawne, które nie pozwalały mu działać w jego stylu. Poza tym trzeba pamiętać o tym, że tutejsza kultura ma lekko feudalne zabarwienie. Wasalem jest niewiasta. Latawicę, której udałoby się położyć rękę na swojej forsie, trudniej byłoby okiełznać. Walka przed sądem jest trudniejsza. Dałoby się to zrobić, ale wymagałoby wiele zachodu i pieniędzy. Pojawiłby się opór. A po co robić smród, skoro jest dobrze tak, jak jest? Rozumiesz. Jednak fakt faktem, że facet doszczętnie spustoszył jej majątek.

– Popadł w tarapaty?

– Och, i to jakie. Musiał się ratować, a spadek Mony był pod ręką. W tym samym czasie obsunęło mu się wiele spraw. Ropa, bydło, tworzywa sztuczne, firma przewozowa, niewielka linia lotnicza. Z odwiertów popłynęła słona woda, bydło zamarzło, wytoczono mu proces licencyjny

w związku z produkcją plastiku. Kierowcy ciężarówek zaczęli się burzyć, w krótkich odstępach czasu wydarzyły się trzy katastrofy lotnicze. Forsa topniała niczym śnieg w ulewnym deszczu.

– Wszystkie te rodzaje działalności prowadził samodzielnie?

– Nie, miał prawnika, z którym ściśle współpracował. Już nie żyje. Nazywał się Tom Claymount. Bardzo szemrany typ. No i jest jeszcze jeden, który był, i wciąż pozostaje, współnikiem Jassa Yeomana w wielu przedsięwzięciach. Wally Rupert. To oczywiste, że Wally musiał wiedzieć, skąd Jass bierze pieniądze na ratowanie firm.

– Mike, pytanie za sto punktów. Wiesz dużo o machlojkach finansowych Yeomana. Jaki wpływ na to wszystko miałyby śmierć Mony, gdyby się o niej dowiedziano? Na przykład gdyby rozwalila samochód i ginęła.

– To ciekawe pytanie, niech pomyślę. Kontrola skarbową ma teczkę, która leży w archiwum od dwudziestu lat. Trzeba założyć, że stanęliby na głowie, by jeszcze raz przyjrzeć się aktywom Foxa. Mona była jedyną spadkobierczynią. Mogliby wkroczyć do akcji i stawiać bardzo niewygodne pytania. Gdzie rozeszła się ta forsa, panowie? Przepuściliby Jassa przez bolesny magiel. Mają odpowiednie kadry do głębokiego szperania, a ich ludzie nie okazaliby tyle wyrozumiałości co miejscowy sąd. Przy założeniu, że spadek zachował pierwotną wartość, szukaliby kilkuset tysięcy dolarów. Gdzie się podziały? Nawet gdyby miejscowy sąd dał mu miękką osłonę, tego rodzaju pytania byłyby dla Jassa diabelnie kłopotliwe.

– No dobrze, a gdyby Mona zniknęła?

– Bez śladu? To powstrzymałoby federalnych na siedem lat. Następnie musieliby podjąć odpowiednie działania w celu stwierdzenia jej śmierci, żeby wziąć swoją porcję majątku, którego już nie ma.

– Komuś zależy, żeby Mona znikła. To może być Jass?

– Nie wydaje mi się. Nie wiem, to mało prawdopodobne. Nie w taki sposób. Jass jest bezwzględny, lecz nie do tego stopnia.

– Czy ktoś mógł nienawidzić jej tak bardzo, że ją zabił? Czy dopiekła jeszcze komuś?

Adwokat pokręcił głową.

– To nie wydaje się prawdopodobne. Trudno mi myśleć o niej jak o nieboszczce. W tej kobiecie nie było aż tyle podłości. Wyglądała jak stuprocentowa babka, ale sprawiała wrażenie niedojrzałej emocjonalnie. Wymarzyła sobie Johna Webba niczym podlotek. To był uroczy romans.

Isobel szybkim ruchem zdjęła okulary.

– Jak może pan mówić coś takiego! To była tania, wulgarna, wredna erotyczna lala.

Mazzari spojrział na nią z lekkim zdziwieniem.

– Mówimy o tej samej dziewczynie?

– Być może omotała pana tak jak mojego brata, mnie jednak nie zwiodła. Tyle panu powiem. Swędział ją tyłek, na tym polegał cały jej problem.

– Isobel, skarbie – odezwał się łagodnie Michael Mazzari. – On jest twoim dużym braciszkiem i jedynym krewnym, więc to naturalne, że bronisz kołyski. Ale uwierz mi, Mona była zadurzoną małą dziewczynką. Jass to zrozumiał. I rozumiał, że prędzej czy później się wyleczy, a kiedy już się wyleczy, zapragnie, żeby wszystko było po dawnemu, żeby dobry tatuńcio o wszystko się zatroszczył i żeby miała pozycję towarzyską. Wiedział, że z twoim bratem niczego się nie dorobi. Oboje są marzycielami i w gruncie rzeczy miłymi ludźmi, przypadkami spóźnionego młodzieńczego dojrzwania. Jass mógłby okazać więcej tolerancji, bo w końcu jest od niej o dwadzieścia sześć lat starszy. Była szczerą, pragnęła wolności. Chciała też odzyskać część swojej fortuny i wyjść za pani brata.

– Chciała tylko z nim sypiać!

– To bardzo naturalny efekt uboczny romantycznej miłości, skarbie.

– Proszę przestać tak do mnie mówić!

– Ujmę to w ten sposób, panno Webb. Jeśli nie potrafi pani czegoś zrozumieć, to proszę tego nie deptać.

– Co to ma znaczyć?

Patrzył na nią z leniwym, lecz czarującym uśmiechem.

– Ci, którzy cenzurują książki, przeważnie są analfabetami.

Pojęła w mig i do cna. Chciała, żeby jej odejście wyglądało jak wybuch gniewu, lecz sprawiło tylko wrażenie rejterady. Trzasnęła drzwiami.

– Tracę klientów – zauważył Mazzari.

– Nic jej nie będzie.

– To był podstępny cios. Facetowi nie wbiłbym szpilki, mówiąc, że jest ślepy albo głuchy. Warto byłoby o nią zawalczyć, ale zanim dopięłoby się celu, byłaby za stara, żeby umieć się tym cieszyć. Projekt na całe życie. Szkoda. Sprawy nie ułatwia jej świadomość, że brat nie żyje. Jeśli nic mi nie zamąciłeś, to najprawdopodobniej tak właśnie jest.

– Wiem o tym.

– A panna Webb nie przyjmie tego dobrze. Osoby neurotyczne i kaleki seksualne nigdy sobie z czymś takim nie radzą.

– Wydaje mi się, że zaczyna mierzyć się z tą świadomością krok po kroku. Może uda jej się z nią pogodzić. Każdy jest psychologiem amatorem. Wyjątkowe oddanie starszemu braciszкови. Ile jest w tym resentymencie? Ale to nie mój problem. To wszystko razem nie jest moim problemem, powinienem wrócić, skąd przyszedłem.

– Tyle że ta sprawa cię wkurzyła?

– Owszem, wkurzyła mnie. A ci pajace uznali, że zmyślam. Możesz mi coś powiedzieć o Buckelberrym?

– Fred jest w porządku. Sportowiec w czasach studenckich, skończył naukę z wyróżnieniem. Bardzo ładna i bardzo ambitna żonka, dwoje dzieci. Studia podyplomowe z metodyki i procedur postępowania policyjnego. Jednak nie zamierza pozostać długo szeryfem.

– Chce się zająć polityką?

– Nie. W okręgu Esmerelda kręci się sporo kasy, a on się o nią otarł. Prowadzi się dobrze i ma zadatki na szefa. Dałby radę, więc nie narazi się forsiastym gościom, którzy mogą okazać się ważni dla jego przyszłości. Na razie się rozgląda.

– Mike, sądzisz, że Jass Yeoman może stać za tą aferą? W końcu Mona, wynajmując ciebie, a później kontaktując się ze mną, usiłowała mu zaszkodzić.

– Jak bardzo? Wszystko to było na niby. Uważasz, że stanęłaby w sali sądowej, wskazała palcem Jassa, wyrzekła się go, a potem odjechała w stronę zachodzącego słońca z milionem dolców w kieszeni i kochasiem profesorkiem u boku? Próbując jej pomóc, dotykałem wszystkiego po kolei. Mieszała Jassa z błotem, posyłała go do diabła, rwała sobie włosy z głowy, rzucała przedmiotami, wrzeszczała na niego. On nic sobie z tego nie robił, a po paru dniach jechali na jego stare ranczo. Jeździli konno i pływali, wygłupiali się, mieszała krew z ginem, oglądali wierzchowce, które tam hodował, a potem jakby nigdy nic Jass brał ją do łóżka. Po powrocie do miasta była na siebie wściekła jak cholera, przysięgała, że to się więcej nie powtórzy, i naprawdę zapomniała, że się zdarzyło. Mona wierzyła w to, w co chciała wierzyć, ale widzisz, Jass był jej prawdziwym życiem. Tatuśkiem, przyjacielem i kochankiem. Reszta była grą, w którą usiłowała grać. Jass wiedział, że to nic trwałego. Jednak czekanie zaczęło go uwierać. Mógł przepę-

dzić Johna Webba tysiąc kilometrów stąd, lecz w ten sposób zrobiłby z niego męczennika jeszcze bardziej atrakcyjnego dla Mony. Tak sobie myślę, że gdyby wpadła na pomysł, by to zaproponować, Jass zgodziłby się, żeby oddawała Webbowi miesiąc lub dwa swojego czasu. Jednak Mona i Webb wyidealizowali swoją miłość, powiedzieli sobie: „Na zawsze”. Taki układ, o jakim wspomniałem, byłby rozmieleniem uczucia na drobne. Jass nie chciał jej utracić we własnym i w jej interesie. Może nie miał należytych intencji, kiedy dziewięć lat temu się z nią zenił, lecz coś się w ich układzie odmieniło, jak to często bywa ze związkami zawartymi z innych pobudek niż uczuciowe. Dużo mi opowiadała, rozumiałem, jak z nią jest. Gdyby w jej mocy leżało zmieścić Jassa z powierzchni ziemi, zrobiłaby to, gdyż tego wymagała jej mrzonka, ale później serdecznie by tego żałowała.

– Pograżyłyby wraz z Jassem jeszcze kogoś?

– Gdyby miała takie możliwości? – Mike wzruszył ramionami. – Claymount nie żyje, stary sędzia nie żyje. Być może Wally Rupert dostałby odpryskiem, bo gdyby ktoś dokładnie przetrząsnął finanse ich firm, zobaczyłby, że Rupert też się nachapał.

Woźny zapukał do drzwi i je otworzył.

– Przysięgli wracają – zakomunikował.

– Dzięki, Harry. Travis, jeśli chcesz, żebym był obecny przy twojej rozmowie z Buckelberrym, jeśli chcesz pogadać z nim jeszcze raz, możemy to załatwić.

– Dzięki, dam sobie radę.

– Odezwij się – powiedział Mazzari i odszedł, wkładając marynarkę.

5

Zastałem Isobel obok poidełka; stała blisko ściany, ale nie opierała się o nią. Brodę trzymała wysoko i miała założone okulary.

Wziąłem łyk wody, wyprostowałem się i otarłem usta.

– Polubiłem tego zadziornego konusa.

– Ty cholerny draniu! – wyrzuciła z siebie Isobel. – Ta kobieta zapłaciła, żebyś tu przyjechał. O czym gadałeś, ty cholerny łajdaku? Pialiście peany na cześć tej wywłoki?

– Isobel, moja droga, nie powinna pani przeklinać, to pani nie wychodzi. Widzę małą dziewczynkę w białej niedzielnej sukieneczce, która próbuje rzucać kulkami z błota.

– Proszę się nie wydurniać. Miałam po dziurki w nosie waszego łzawego sentymentalizmu. Ten Mazzari to wstrętny mały bluźnierca. Przyjechał pan tutaj, żeby zarobić trochę pieniędzy od pani Yeoman, tak? A teraz ona nie żyje. Chyba rozumiem, dlaczego tak bardzo pan nie chce, żebym zgłosiła zaginięcie brata. To udaremni pana plan wydobycia forsy od tego, kto go porwał. Opracowaliście z Mazzarim bezpieczną strategię szantażu?

– Gdyby pani z nami została, musielibyśmy panią wkłęcić do naszego spisku.

Tupnęła nogą.

– Nalegam, żebyśmy natychmiast podjęli jakieś oficjalne działania!

– Jeśli się pani ruszy z miejsca, wsiądziemy do samochodu i pojedziemy do Esmeredy. Tam przedstawimy naszą wersję szeryfowi Buckelberry'emu, o ile nie uważa pani, że to przedwczesne.

– Myślałam, że...

– Chodźmy, droga panno Webb. Przy okazji pozna pani parę prawd o życiu.

– Pan wie tak cholernie dużo o wszystkim!

Do skrzydła gmachu sądu w Esmereldzie zajmowanego przez szeryfa dotarliśmy o siedemnastej pięć. Szeryfa nie było, dyżurny oznajmił, że niebawem powinien się zjawić. Usiedliśmy na ławce w korytarzu i czekaliśmy. Wszedł jakieś pięć minut później; kroczył żwawo, a za nim podążał młodzian z potulną miną w ciemnych okularach i jasnoniebieskim dżinsowym garniturze. Na nasz widok Buckelberry zatrzymał się tak raptownie, że tamten omal na niego nie wpadł.

– McGee – powiedział. – Panna Webb. – Rozejrzał się ukradkiem po korytarzu. – Proszę wejść.

Poszliśmy za nim przez zatłoczone biuro do narożnego gabinetu. Jakiś policjant z plikiem papierów usiłował go zagadnąć, lecz Buckelberry tylko machnął ręką. Wpuścił nas do środka i zamknął drzwi. Na podłodze leżał granatowy dywanik; zasłony były niebieskie, ściany białe, a sprzęty zrobione z szarej stali.

Podszedł do biurka, nacisnął klawisz interkomu i zarządził:

– Niech nikt mi nie przeszkadza. – Puścił klawisz. – Panna Isobel Webb, pan Travis McGee. To jest porucznik Tompkins. Reprezentuje na naszym terenie Centralny Wydział Kryminalistyczny. Proszę usiąść. Domyślam się, że mają mi państwo coś do zakomunikowania albo chcą o coś zapytać, bo inaczej by tu państwa nie było. Najpierw ja coś powiem, to może nam oszczędzić czasu. Wracamy ze szpitala, z laboratorium patologa. Po południu ekipa laborantów znalazła kawałek zaschniętej tkanki na kamieniu jakieś dwa metry od miejsca, w którym według pana relacji, panie McGee, upadła Mona Yeoman. Patolog rozpoznał tkankę płucną. W szpitalnym archiwum przechowywano informację o grupie krwi pani Yeoman. Zrobiono porównanie, grupa krwi się zgadza. Po drugie, samochód Webba zostawiono na parkingu obok lotniska w poniedziałek między północą a godziną drugą. Odebrałem telefoniczny meldunek od techników, których porucznik Tompkins wysłał do Carson, żeby dokonali oględzin wozu. Samochód został wytarty do czysta, nie znaleziono żadnych podejrzanych plam. Sprawdzą go dokładniej, nie sądzę jednak, żeby odkryli coś istotnego.

Zmierzył mnie długim wyzywającym spojrzeniem i wiedziałem, że nie doczekam się przeprosin ani podziękowań.

Postanowiłem nadstawić drugi policzek.

– Dobra robota, szeryfie. W największym skrócie przedstawię to, czego się dowiedzieliśmy. John Webb był diabetykiem, ale zostawił w domu swój zestaw insulinowy. Trzymał go w szafce łazienkowej razem z przyborami toaletowymi, które zostały zabrane. Rozmawiałem ze stewardesą, która wczoraj obsługiwała lot o tej samej godzinie. Ci dwoje, którzy wsiedli do samolotu, pili alkohol i przeklinali. Mężczyzna miał widoczne blizny po prawej stronie szyi. John Webb nie miał takich blizn. Z grubsza byli podobni do pani Yeoman i pana Webba. Kobieta miała na sobie jasnoniebieski kostium z czesankowej tkaniny, czerwone sandały na wysokich obcasach i czerwoną torebkę. Mężczyzna mógł być ubrany w ciemne spodnie i lekką sportową marynarkę. Stewardesa nazywa się Madeline Houser. Jestem pewny, że może pan zdobyć jej oficjalne zeznanie.

– Masz pan skłonność do wścibstwa, McGee.

– Wścibstwa! – oburzyła się Isobel.

– Szeryfie, zawiozłem pannę Webb na lotnisko, żeby mogła zabrać samochód. Powiedział jej pan, gdzie znajduje się auto, ale ono zniknęło. Zjedliśmy lunch, a ja uświadomiłem sobie, że za chwilę przyleci ten sam samolot, który wylądował wczoraj. Uznałem, że najlepiej będzie, jeśli pomówię ze stewardesą, póki ma rzecz świeżo w pamięci. Przy założeniu, że jest to ta sama stewardesa. Gdyby nie dotarł pan do niej w ciągu trzech lub czterech dni, wątpię, czy wiele by pamiętała, zwłaszcza takie szczegóły jak ubiór tamtej kobiety. Zrobiłem to pod wpływem impulsu.

Tompkins odchrząknął i odezwał się z wahaniem:

– Wydaje mi się, że każda informacja, niezależnie od źródła pochodzenia...

– Chcę wiedzieć, gdzie jest mój brat! – oświadczyła Isobel.

– Ja również – odparł Buckelberry.

– Nie zamierza pan go szukać? – nie dawała za wygraną.

Policjant porzucił oficjalny cierpki ton, uznał, że dopiął swego. Był porządny gliną, nawet jeśli musiałem przycisnąć go z pomocą Jassa Yeomana.

– Panno Webb, proszę pomyśleć logicznie. Pani brat wyjechał lub został wprowadzony w poniedziałek po południu. Dziś mamy środę. Właśnie do-

szła pani do wniosku, że brat nie wyjechał z Moną Yeoman, choć jeszcze wczoraj była pani tego całkowicie pewna. Na Boga, panno Webb, okręg Esmerelda liczy prawie jedenaście tysięcy kilometrów kwadratowych, a o tej porze roku każda jedna zapyziała dróżka jest przejezdna. Identyfikujemy na bieżąco wszystkich nieboszczyków, w żadnym szpitalu nie leży anonim. Musiałem podpisać cyrograf, żeby przydzielono nam helikopter, przez cały dzień usiłujemy za jego pomocą namierzyć białe autko pani Yeoman i jak na razie bez skutku. Zarządzam okręgiem, w którym powinno być stu policjantów, a mam sześćdziesięciu. Czego, u diabła, pani ode mnie oczekuje?

Isobel wzięła go na cel i nie zamierzała odpuścić.

– Oczekuję, że roześle pan informacje. Chcę, żeby mówili o tym w telewizji, radiu i pisali w gazetach. Chcę, żeby wszyscy dowiedzieli się, że Mona nie żyje, a mój brat zaginął. Chcę, żeby zorganizowano grupę pościgową, żeby poszukiwali go skauci i Gwardia Narodowa, żeby przetrząsnęto każdy centymetr tych zakichanych kilometrów kwadratowych.

Szeryf odchylił się do tyłu i złożył w daszek mocne owłosione palce. Wlepił wzrok w Isobel.

– Zmusza mnie pani, żebym był z panią szczery.

– Bardzo proszę, to byłaby przyjemna odmiana.

– Jestem przekonany, że popełniono morderstwo. Nie mam ani kawałeczka tropu, nie mam nawet zwłok. Nie będę pani zanudzał opowieściami o tym, jakie kroki muszę podjąć. Urząd koronera, wniosek zaakceptowany przez prokuratora stanowego, orzeczenie wielkiej ławy przysięgłych, która musi zdecydować, czy w ogóle należy podejmować śledztwo. Panno Webb, mój zmysł gliniarza mówi mi, że najlepsze, co można zrobić, to kontynuować śledztwo po cichu. Niech sprawcy myślą, że się wywinęli, bo uwierzyliśmy, że Mona Yeoman i pani brat odlecieli samolotem do El Paso. Jeśli uderzymy w dzwony, sprawa zamuli się do tego stopnia, że nigdy niczego nie znajdziemy. A ci, których ścigamy, zamelinują się dwa razy lepiej.

– W takim razie bezpieczeństwo mojego brata nic nie znaczy w porównaniu z pańską karierą zawodową.

– Mój zmysł gliniarza mówi mi, że pani brat już nie żyje. Gdyby żył, mógłby się stać bardzo niewygodnym elementem tej układanki. Myślę, że zginął jeszcze przed nią.

Isobel skurczyła się na krześle, zakryła usta wierzchem dłoni i patrzyła na Buckelberry'ego szeroko otwartymi oczami.

– Nawet gdyby istniała jedna szansa na tysiąc... Nie może mi pan zabronić zawiadomienia gazet.

– Droga wolna, panno Webb. Dziennikarze poproszą mnie o potwierdzenie wiadomości, to się dzieje automatycznie. Powiem im, że Mona Yeoman i pani brat odlecieli wczoraj samolotem. To samo przekażę za godzinę Jasowskiemu Yeomanowi, że wszystko sprawdziłem i jest tak, jak myśleliśmy. Może pani wzbudzić falę plotek, ale nie poda pani dziennikarzom niczego, co mogliby puścić do druku.

– A jeśli pan McGee pójdzie ze mną i potwierdzi moje słowa?

Szeryf zerknął na mnie i odparł:

– Proszę go zapytać.

Odwróciła się i popatrzyła mi w oczy. Ze smutkiem pokręciłem głową.

– Ty cholerny draniu – wyszeptała.

– Isobel, oto prawdy życiowe, o których ci wspomniałem. Chyba wiem, co szeryf zamierza teraz zrobić. Proszę go posłuchać.

– Każę przeczesać okręg w poszukiwaniu wysokich ciemnowłosych facetów z bliznami po prawej stronie szyi. Oraz piersiastych blondyn, które mają niebieskie kostiumy z tkaniny czesankowej i czerwone buty. Wypuszczę parę balonów, za które później dadzą mi popalić, ale ich wywabię. Dopadnę ją lub jego albo oboje. Będą się pocili i błagali, żebym pozwolił im wyznać absolutnie wszystko, co wiedzą. Jeśli poszedłbym za pani radą, tych dwoje mogłoby tu nigdy więcej nie wrócić. A wolę mieć jedno z nich niż dziesięć tysięcy skautów przeszukujących wertepy. Sprawdzę każdy ciężki karabin z lunetą na tym terenie. Jutro pchnę w góry dwóch cholernie dobrych indiańskich tropicieli, ruszą na północ od chaty. Zlecę biegłemu od materiałów wybuchowych, żeby sprawdził, jakiego środka użyto do zablokowania szosy, i dowiem się, skąd go zdobyto.

– Gdzie jest mój brat?! – wrzasnęła Isobel.

Szeryf westchnął, otworzył metalową szufladę w biurku, nalał bourbona do szklanki i podszedł do dziewczyny.

– Nie piję.

– Na litość boską, to nie koktajl na prywatce, to lekarstwo. Raz-dwa, duszkiem!

Wzięła szklanę, posłała mi nieprzyjazne kose spojrzenie i wypła. Zakrztusiła się i zakaszła.

– Co mogę zrobić? – spytałem.

– Niech ją pan jakoś uspokoi.

– A poza tym?

– Poza tym nie wtrącaj się pan.

– Dlaczego nie chce pan powiedzieć Jassowi?

– Wariat nie pomoże mi bardziej niż nakręcona baba. Isobel wyrzuciła przed siebie ręce z zaciśniętymi pięściami.

– Znajdź mojego brata!

– Boże drogi – westchnął Buckelberry. Bez kapelusza jego głowa wyglądała dość dziwnie. Miał tak rozbudowaną szczękę, że nadawała twarzy niemal trójkątny, jakby spiczasty kształt. – Co ja mam począć? – Wyglądał tak, jakby chciał oprzeć czoło o biurko i się rozpłakać.

Spróbowałem z innej beczki.

– Nie przemówi jej pan do rozumu, szeryfie. To intelektualistka pierwszej wody i emocjonalny śmietnik. Pozostaje z bratem w niezdrowej relacji symbiotycznej. Ma jakieś dwadzieścia sześć lat, więc powinna być dorosła. Ale sam pan widzi: czysta dziecinna histeria. Ograniczony kontakt z rzeczywistością. Jest doszczętnie pokręcona, prędzej czy później zaprowadzi ją to do wariackowa, więc najprościej będzie załatwić to od razu. Ma pan uprawnienia, żeby ją tam skierować, prawda? Porucznik i ja potwierdzimy jako naoczni świadkowie, że zachowywała się gwałtownie i irracjonalnie. Szczerze powiedziawszy, szeryfie, czułbym się bezpieczniej, gdyby był pan łaskaw gdzieś ją wpakować. Ktoś uważa, że ucieczka kochanków powiodła się, mimo że widziałem śmierć tej kobiety. A jeśli wyjdzie na jaw, że sztuczka nie wypaliła, sprawcy mogą zechcieć naprawić błędy. Zostawienie mnie przy życiu mogło być jednym z nich. Dlatego gdyby ta panienska gdzieś znikła i dostała porządne piguły na sen, wyszłoby to na dobre wszystkim, nie wyłączając jej braciszka.

Gliniarz dostrzegł moje mrugnięcie okiem, Isobel nie.

– Czasem zdarza się panu powiedzieć coś do rzeczy, aż mnie to zaskakuje, McGee – odparł. – Panno Webb, w Pinon Springs będzie pani miała doskonałą opiekę.

Przez chwilę zdawało mi się, że przeholowaliśmy. Isobel kręciła bezładnie głową, gapiąc się na każdego z nas po kolei; w jej dziwnie niebieskich

oczach pojawił się błysk prawdziwego szaleństwa. Potem zacisnęła mocno dłonie na podłokietnikach, przymknęła powieki i siedziała z brodą opartą na klatce piersiowej. Oddychała głęboko i głośno, jej krągłe piersi unosiły się pod żółtym materiałem bluzki. Po chwili oddech się uspokoił i ręce rozluźniły. Z pewnym wysiłkiem uniosła głowę. Spojrzała na Buckelberry'ego i oznajmiła spokojnym kontrolowanym głosem:

– To jak najbardziej naturalne, że powinnam się niepokoić o brata.

– Rozumiem to, panienko.

– Rzecz jasna zna się pan na takich sprawach lepiej niż ja, szeryfie. Chcę tylko, żeby wziął pan pod rozwagę jeden fakt. Otóż Yeomanowa nie żyje, nic nie można dla niej zrobić. Nie wiemy, czy mój brat także zginął. Uważam, że to właśnie powinien być pański priorytet. Uprowadzono go z naszego domu, a porwanie to przestępstwo federalne.

– Nie mamy żadnych dowodów, że został porwany, jedynie przypuszczenia.

– Jeśli da mi pan słowo, że odnalezienie mojego brata będzie pana najważniejszym celem, obiecuję, że... będę nad sobą panowała.

– Ma pani moje słowo.

Chwyciła torebkę i wstała powoli, nieśmiało. Wyglądała, jakby zamierzała uciec.

– Czy pan McGee mógłby mnie odwieźć do domu?

– Jeżeli tylko się czegoś dowiemy, natychmiast damy pani znać.

Wyszedłem za Isobel. Zatoczyła się, potrącając mnie, a potem ruszyła niepewnie do drzwi i tam się zatrzymała. Oparła się o ścianę ze zwieszoną głową i z zamkniętymi oczami. Jej oddech znów zrobił się ciężki.

– Już dobrze – powiedziałem.

– Wszystko sprowadza się do przywyknięcia do myśli, że jest się niczym – rzekła, nie otwierając oczu.

– Co takiego?

– Spojrzenie prawdzie w oczy jest zbyt okrutne, wie pan? – Popatrzyła na mnie z głęboką powagą. – Nagle człowiek dowiaduje się, że ojciec był lekkomyślny, niegodny zaufania i niezbyt utalentowany, matka nie grzeszyła rozumem, a brat nie wyróżniał się jako wykładowca, był marnym mężczyzną i niewiele wartym osobnikiem. A ty się marnujesz, uciekasz przed wszystkim, zakopujesz się w trzeciorzędnej uczelni na jakimś cholernym zadupiu. Dlaczego więc szeryfowi czy komuś innemu ma zależeć, czy jest

tak, czy owak? O wiele łatwiej jest żyć wśród złudzeń, Trav. Cudowni rodzice, szlachetny brat, wielkie powołania, poświęcenie. Tajemnicza księżniczka z mądrym smutnym uśmiechem. Jezu Chryste, Travis, jeśli człowiek żyje bez złudzeń, co mu pozostaje?

– Chodźmy, Isobel.

Ująłem ją pod rękę i skierowałem do drzwi.

– Czego oni ode mnie chcą? – zapytała, a ja wiedziałem, że „oni” to nie policja. Rodzice, być może. Albo jakiś amalgamat rodziców, brata i wszystkich tych, którzy mawiali: „Wyjątkowo bystra dziewczynka, choć trochę dziwnie się zachowuje!”.

Poprowadziłem ją przez placyk zalany miedzianym blaskiem późnego słońca do skrytego w głębokim cieniu miejsca na wąziutkiej uliczce, gdzie stał zaparkowany mój wynajęty samochód, i pomogłem jej wsiąść. Kiedy obszedłem wóz i usiadłem za kierownicą, zauważyłem, że dziewczyna cała się trzęsie. Zdawało mi się, że jeśli odsunie rękę od szczęki, zęby posypią się na podłogę auta.

– Isobel?

Odwróciła się nagle twarzą do mnie, jej usta wykrzywił szpetny grymas.

– I co ty, u diabła, wiesz o związkach? Symbiotyczny! Ograniczony kontakt z rzeczywistością. Jak możesz udawać, że rozpoznajesz postawy intelektualne? Och, nie zbywa ci na wstrętnej drobnej próżności, panie McGee.

Masz przebiegły rozumek i cały wachlarz złośliwości i ciętej ironii, które serwujesz ludziom jak na tacy. I do tego ośmielasz się traktować mnie protekcjonalnie! Na wszystko masz zręczną odpowiedź, ale kiedy ktoś zada niewłaściwe pytanie, sięgasz po pięści, kopniaki albo fałszywy uśmiezek wyższości. Jesteś mięśniakiem, a jeśli mówimy o mężczyznach w najlepszym sensie tego słowa, nie jesteś nawet w jednej dziesiątej takim mężczyzną, jakim był mój brat. – Jej oczy rozszerzyły się, widać w nich było konsternację. – Był – powtórzyła cicho. Sama wbiła sobie cierń i wzdrygnęła się, gdy dotarł głęboko.

Skuliła się w swojej żalości, oparłszy twarz o kolana; z jej gardła wydobywały się krótkie ciche szlochy. Przygarnąłem ją do siebie i objąłem wbrew machinalnemu oporowi. Ułożyłem jej twarz w zagłębieniu między moją szyją a ramieniem, położyłem jej dłoń na karku, jednocześnie obejmując wygięte plecy. Przywarła do mnie. Była tonącą łodzią na straszliwie wzburzonym morzu. Mimo to nie przestawała szlochać, jej plecy były na-

prężone. Wypowiadałem słowa zachęty, jakbym namawiał do wymiotów dziecko, które się zakrztusiło.

– No już dobrze, wyrzuć to z siebie, moja droga.

Samochód stał w cieniu. Isobel tłumiała w sobie żal, męcząc się nim i dławiąc. Wyczuwałem przeraźliwe napięcie, które w niej narastało i nabrzmięwało. A potem nagle puściło i wydała z siebie wielki jękliwy zwierzęcy szloch. Pękły wszystkie tamy i mogła zatracić się w bólu, rzucać w głąb każdego spazmu. Pograżyła się w gorączce i beznadziei, na chwilę wyrwała z koszmarnej więzienia złożonej osobowości, w którym skazańcy bez przerwy muszą obserwować samych siebie, jakby stali nieco z boku. Zgraja chłopaków przeszła alejką. Popatrzyli, zarzeli ze śmiechu i pohukali szyderczo; wykonali parę nieprzystojnych gestów i poszli dalej. Szlochanie Isobel przybrało jednostajny rytm, a potem, po długim czasie jęło zamierać. Z powolnym uporem człowieka chorego lub bardzo pijanego zaczęła się ode mnie odsuwać i doprowadzać do porządku, zawzięta i czujna.

Siedziała teraz w należytej odległości ode mnie i wyglądała jak nieszczęście. Jej twarz była obrzmiała, znaczyły ją plamy mocnej czerwieni. Wyjęła chusteczki z torebki. Raz po raz wstrząsał nią suchy szloch niczym potwór na czkawka. Schludnie zaczesane pasma włosów zmierzwiły się i potargały. Wyglądała teraz na trzydzieści sześć, a nie dwadzieścia sześć lat. Spojrzała na siebie w lusterku i powolnym niezręcznym ruchem poprawiła włosy. Co jakiś czas wyrывało jej się z piersi bardzo głębokie westchnienie. Moje ramię przypominało mokry grzbiet zajeżdżonej kobyły.

Kiedy na nią patrzyłem, przypominał mi się obraz boksera – dobrego boksera – którego przeciwnik posłał na deski. Pada twarzą na ring w taki sposób, jakby już nigdy nie miał wstać. Jednak gdy sędzia dolicza do trzech, pięściarz zaczyna się poruszać. Odsuwa ręcznik, dźwiga się na jedno kolano. Przy dziewięciu i pół stoi na nogach, truchta i chwieje się, jego myśli wędrują nie wiadomo gdzie; szczyrzy zęby w głupim uśmiechu, jednak stoi na własnych nogach, duma każe mu unieść rękawice. Znów może zrobić słabowity, ale szeroki zamach i ruszyć na przeciwnika.

Isobel wyprostowała zgarbione ramiona i powiedziała:

– Chyba nawet mięśniak czasem się do czegoś przydaje...

Wielkoduszność osadzona na żelaznej dumie.

– Stare dobre pomocne ramię.

Zerknęła szybko z ukosa.

– Dziękuję za to ramię. – Wyjęła z torebki ciemne okulary i je założyła. – Teraz czuję się dziwnie i jestem onieśmielona.

– Dlatego że ktoś cię widział w tym stanie? Chcesz usłyszeć mój zjadliwy komentarz podany na tacy?

Spróbowała się uśmiechnąć.

– Nie, proszę. Dlaczego jestem taka zmęczona?

– To był wyczerpujący dzień. Chcesz kawy? Coś do zjedzenia? Picia?

– Chcę być w domu w swoim łóżku.

Plac powoli pogrążał się w mroku. Zanim wyjechałem z miasta, słońce znikło za wzgórzami na zachodzie, na ziemi zaległ niebieskawy zmierzch. Głowa Isobel raz po raz opadała, dziewczyna budziła się z nagłym drgnięciem. Wreszcie osunęła się na drzwi samochodu z niezgrabnie przekrzywioną głową; jej ręce spoczywały luźno na kolanach, ale palce dłoni były zaciśnięte.

Przebudziła się, kiedy zatrzymałem się przed budynkiem Hardee trzy, otumaniona jak dziecko po długiej podróży. Podprowadziłem ją do wejścia. Powiedziała, że nic jej nie będzie. Odrzekłem, że zadzwonię. Z roztargnieniem skinęła głową. Wyjąłem jej klucz z błędzącej ręki i otworzyłem drzwi. Odwróciła się.

– Dobranoc.

Poklepałem ją po ramieniu.

– Wyśpij się porządnie.

Ponownie skinęła głową i wspięła się na palce. Pocałowała mnie w kącik ust; był to odruchowy pocałunek małego dziecka, niezaplanowany gest. Wydaje mi się, że wcale nie była świadoma, iż go zrobiła. Weszła niepewnie do domu, zapaliła światło i zamknęła drzwi. Pomyślałem, że za dziesięć minut będzie leżała w łóżku i spała. Było tuż po dwudziestej. Jeśli pośpi dwanaście godzin, będzie to najlepsza rzecz, jaka może jej się zdarzyć.

Dziwna mała. Nabiera otuchy, gdy ktoś ją przytuli. Wielkie pokłady czułości, lecz zablokowane ze wszystkich stron.

Wcisnąłem gaz w małym samochodzie, wracając do Esmereldy. Pracownicy motelu Latigo z pewnością niepokoili się o wypożyczony pojazd. Ucieszyli się na wieść, że mam już samochód. To ich podbudowało. Wykąpałem się, ogoliłem i przebrałem, a potem poszedłem do hotelu Sage. Pochłonałem dwa ogromne udźce jagnięce pieczone na ruszcie. Jakaś podchmielona kobieta w papierowym kapeluszu przetoczyła się obok mojego

stolika i zrugala mnie okrutnie za brak znaczka na piersi. Obiecalem, ze to sie juz nie powtorzy.

6

Południowo-zachodnia część miasta była tą starszą, obecnie stanowiła centrum społeczności imigrantów z Meksyku. O wiele nowsza i bardziej pożądana dzielnica mieszkaniowa znajdowała się w północno-zachodniej części Esmereldy; krajobraz miał tutaj bardziej wyraziste kontury. Do posiadłości Yeomana dojechałem o dziesiątej trzydzieści. Obficie nawodniona leżała w zagłębieniu, lecz wysoko, więc kiedy wysiadłem z wozu i stanąłem na gładkim asfalcie, w chłodnym nocnym powietrzu zobaczyłem wszystkie światła miasta. Dom był ogromny i długi, jakaś nocna roślina wydzielala aromatyczną woń. Światło paliło się tylko w kilku oknach. Ruszyłem w kierunku głównego wejścia, lecz otworzyło się boczne.

– McGee? – powiedział Jass Yeoman. – Tędy, chłopcze.

Przemierzyłem mały taras i gospodarz wpuścił mnie do komfortowego gabinetu. Męskie gniazdo. Skóra i drewno, kamień, książki i bar, zagracone biurko, wieszak na broń palną, szczapy drewna trzaskające przyjemnie w wielkim głębokim kominku. Trzymał w ręku szklankę, kazał mi nalać sobie drinka. Na ścianie za barem wisiał olbrzymi portret olejny Mony Fox Yeoman. Była ubrana w połyskliwą suknię w granatowym kolorze z głębokim dekoltem. Siedziała na ławeczce i spoglądała na wnętrze pokoju z uśmiechem zadumy; miała o cztery lub pięć lat mniej niż ta, której śmierci byłem świadkiem.

Jass był ubrany w szarą flanelową koszulę i spodnie khaki wyblakłe prawie do białości. Usiadłem na skórzanym fotelu naprzeciwko niego.

– Każdy środowy wieczór mojego życia spędzam w klubie Cottonwood. Steki i poker. Wybiera dealer, ale zwykle gramy w błyskawicznego. Dostajesz trzy karty i obstawiasz, dostajesz jeszcze jedną i znów obstawiasz, jesz-

cze jedną i obstawiasz ponownie. Od tej chwili gra się jak w zwykłego dobieranego pokera. Grasz w pokera?

– Tak, w błyskawicznego. Ostra zabawa.

– Te środowe partyjki kosztują mnie jakieś trzy tysiące rocznie. – Wskazał kciukiem za siebie. – Kucharka, pokojówka, stróż i ogrodnik siedzą teraz na tyłach domu i gadają. Środa wieczór, a *El Patron* siedzi w chałupie. A może mają to w nosie, kto wie?

– Czy my gramy teraz w pokera, panie Yeoman?

Przyjrzał mi się uważnie. Zastanawiałem się, jaka krew płynie w jego żyłach. Pewnie było nieco indiańskiej, dawno temu. Już wcześniej zwróciłem uwagę na jego dłonie. Duże, kanciaste, z grubymi żyłami. Kiedyś, przed laty, musiał ciężko pracować. Nic innego nie może ukształtować rąk w taki sposób.

– Skąd pomyśł, że znasz zasady? – zapytał.

– Nie znam, zgaduję. Tutaj wszystko ma inne zabarwienie, inny jest rozkład władzy. Przypomina system feudalny. To wbrew moim gustom, mam jednak przecucie, że samotny rycerz w cienkiej zbroi dostałby potężne baty. Muszę się pod kogoś podczepić, bo w przeciwnym razie nie będę mógł uczestniczyć w grze. Ale nie wiem, na jak mocną osłonę mogę liczyć.

– To już nie jest tak proste jak kiedyś.

– Nic już takie nie jest.

– Ten samotny rycerz, którego odmalowałeś, chłopcze, wybiera sobie zamek, wjeżdża do środka i deklaruje swoją lojalność. Ale zamek może mieć dziurawe mury, wałce się wieże, a jego załoga właśnie wyszła na lunch.

– A więc rycerz należy do tych, którzy nie umieją utrzymać się w siodle i boją się smoków. Może to najlepszy układ, na jaki go stać.

– Myślisz, że wczoraj wieczorem złożyłem ci ofertę?

– A nie złożył jej pan?

– Nie przyjechałbyś, gdybyś czegoś nie miał.

– Panie Yeoman, jeśli dam panu kartę, a pan rozegra ją źle, mogę...

– Na litość boską, McGee, jesteś pod egidą! Jeśli ktoś cię ruszy, zwali mu się na łeb armia.

Odchyliłem się do tyłu, obracając szklanekę w dłoni.

– Mona chciała mnie wynająć, żebym ją od pana uwolnił; miałem dostać połowę z tego, co zdołam z pana wydusić w ramach ugody. Dowiedziała się o mnie od naszej wspólnej znajomej. Wiem, że ograbił ją pan z jej spadku.

Słyszałem, że była pańską podopieczną, chyba domyślam się, dlaczego małżeństwo z nią uznał pan za dobry interes. Mam także przeczucie, że wyszło o wiele lepiej, niż pan się spodziewał.

– Masz zabawną robotę, McGee.

– Specjalizuję się w odzyskiwaniu mienia, ale tego zlecenia nie chciałem.

– Dlaczego?

– Odniosłem wrażenie, że zleceniodawczyni w gruncie rzeczy ma nadzieję, iż nic nie wskóram. Po prostu czuła się zobligowana do wykonania wszystkich figur obowiązkowych. Myślę, że szykowała się do tragicznej sceny wyrzeczenia się kochanka, Jass. Łzy, pożegnanie z ukochanym, niechętny powrót do domu i do męża. Czułem, że taki ma być jej następny ruch. Że chce tu wrócić i rozpaczać tak długo, aż wzruszy się pan jej złamanym sercem, a potem ona znajdzie ukojenie. To jest jej właściwe miejsce. Patrzy pan na mnie z niedowierzaniem, proszę spytać Mike'a Mazzariego. Wyczuł, że to tylko taka romantyczna szopka. Myślę, że przynajmniej dla niej miała się ku końcowi. Ale tamci nie dali jej czasu, żeby mogła tego dowieść.

– Tamci?

– Ci, których poszukuje Buckelberry. Nie posprząтали po sobie jak należy. Laboranci znaleźli dzisiaj dowód, drobinę tkanki płucnej, grupa krwi się zgadza. Do samolotu wsiedli statyści. Webb prawdopodobnie także nie żyje.

Jass Yeoman oparł głowę o wysokie oparcie fotela i wyglądał, jakby zasnął. Szczapa przesunęła się, iskry strzeliły w górę. Jass dopił drinka i powoli wstał. Stanął z rękami wciśniętymi mocno do kieszeni i popatrzył na portret żony.

– Wiesz, jaką wodę pompujemy z tych studni głębinowych, synku?

– Słucham?

– Słodką w smaku wodę oligoceńską, która osiadła wśród skał w czasach, gdy na tych terenach rozciągały się bagna i jeziora. Pływały w niej olbrzymie jaszczurki, rosły paprocie wielkie jak drzewa. Wydobywamy ją, a kiedy się skończy, wszystko przepadnie. Jutro pompy mogą wydać jedno wielkie syknięcie i zassać zatęchłe powietrze. I cały okręg zamrze.

– Nie wiedziałem.

– Oni wiedzą, ale o tym nie myślą. Choć sikają ze strachu. Człowiek nie zastanawia się nad tym, że musi umrzeć. Ale koniec gdzieś tam majaczy.

Dla tego okręgu i dla wszystkich jego mieszkańców do ostatniego. Przypędzają tu nowe stada ludzi, drążą kolejne studnie i jeszcze szybciej wybierają wodę.

– To głupota.

Jass odwrócił się do baru, uzupełnił drinka i z wolna wrócił na fotel.

– Cholerna głupota. – Powolnym gestem otarł twarz od czoła aż do podbródka. – Marnotrawstwo, nadzieja, nie wiem. Spojrzysz raz i widzisz siebie, jak trzymasz świat w garści. Spojrzysz chwilę później i jesteś starym pierdzielem rozmyślającym o tym, że miałeś dziesięć tysięcy szans i każdą co do jednej spieprzyłeś. Pewnego dnia okazuje się, że za dużo z tym wszystkim zawracania głowy. I tyle. Za dużo kłopotu. Widzisz, chłopcze, wiedziałem to już wczoraj. Czterdzieści lat gram w pokera. Dostrzegłem to w twoich oczach, wiedziałem, jak opadają ci kąciki ust, zmienia się ich wyraz. Freddy Buckelberry, na rany Chrystusa! Odebrałem dzisiaj telefon od niego: „Jass, chłopie, jest tak, jakeśmy myśleli. Taa. Prysnęła z profesorkiem, a jakże”. Ten pusty matoł nie wie, że wszystko stało się wczorajszej nocy. Nie dzisiaj. Byłem trochę ululany. Dzisiaj też się trochę ululam, synu. Wczoraj w nocy wyprowadziłem chryslera i wyjechałem na drogę na pustkowiu. Ta droga to była fanaberia polityczna, znikąd donikąd; skubnąłem trochę ze stanowej kasy, skoro i tak mieli ją przepuścić. Zimna księżycowa noc, synku, i sześćdziesiąt kilometrów szosy prostej jak strzała. Licznik pokazywał prawie sto pięćdziesiąt na godzinę, kiedy zgasilem światła. Droga pruła pod górę jak wszyscy diabli, moje wielkie auto zrobiło się niczym malutka roztańczona zabawka. Rąbnąłem wielkiego zająca. Dostał w podskoku jak pociskiem i dalej pędził pod górę. Czegoś takiego w życiu nie widziałem. On też był z krwi i kości. Może widziały go inne zające z jego klanu i będą o nim opowiadać legendy. Zdjąłem nogę z gazu, wrzuciłem na luz, wjechałem na długi zjazd i zatrzymałem się przy cherlawym drzewie. Posiedziałem jakiś czas w wozie, a potem wysiadłem i spojrzałem na maskę. Na wierzchu przedniego błotnika było wgniecenie wielkości zająca, głębokie, z zasychającą krwią i szczecina na kancie. Dotknąłem szczeciny, była jasna i miękka. Podeszedłem do cherlawego drzewa, odlałem się na piasek i patrzyłem na gwiazdy. Mówiłem sobie, że przyjdą jeszcze takie chwile, kiedy wyciągnę cztery kiery, pokażę rękę i dobiorę piątego. Mówiłem sobie, że będzie brandy i cygaro po dobrym steku, to przyjemne poczucie wyluzowania. Mówiłem sobie, że wciąż jestem wielkim bonzem, że zagar-

nę jeszcze pod siebie ognistą babkę, która wie, o co chodzi, że będą te chwile, kiedy czujesz, że to nadchodzi i nic na świecie nie może powstrzymać żadnego z was. Pogwizdywałem kawałki melodii, wsiadłem do auta i ruszyłem w drogę powrotną pomalutku jak starsza pani, z zapalonymi światłami. Daleko za miejscem, w którym, jak mi się zdawało, powinienem był minąć zajaca, natrafiłem na niego i się zatrzymałem. Widziałem go w świetle reflektorów i z jakiegoś głupiego powodu wysiadłem. Dlaczego? Nie mam pojęcia. Rąbnąłem go solidnie, ale pozostało na nim czyste futro i sporo mięsa. Pomacałem, nadal był ciepły. Wziąłem go na ręce, przeszedłem rów i uklęknąłem. Kopałem w ziemi jak pies, wygrzebałem głęboki dołek, włożyłem zajaca do środka, przykryłem chusteczką, a potem go zakopałem. Boże drogi, jak dzieciak, który urządza pogrzeb martwemu ptakowi. Przyklepałem ziemię i wciąż klęcząc, spojrzałem na gwiazdy. Zapytałem, czy mają mnie za wielkiego durnia. Wiedziałem, że nic mi to nie da, chłopcze. Poker i brandy, cygara i chętne kobiece ciało. Wszystko na nic.

Dopił drinka, wziął szklanki i napełnił przy barze. Było jasne, że mam nic nie mówić.

Podał mi drinka, po czym znowu usiadł w fotelu.

– Wiesz, co najmocniej utkwilo mi w pamięci? – Uśmiechnął się i wyglądał młodziej. – Trzy lata temu szukałem kilku klaczy rozplodowych, pojechałem do Montany i zabrałem ze sobą Monę. Była wiosenna trawa i kwiaty, wspięliśmy się na wzgórze i zesliśmy z boczem po drugiej stronie. Klacze przypadły mi do gustu, jej nie podobał się facet, który je sprzedawał. Mój Boże, czasem darliśmy się na siebie z powodu drobiazgów. W promieniu dwóch kilometrów nie było żywej duszy, konie pasły się nad strumieniem. Byliśmy w wielkiej zielonej misie trawy i kwiecica. A my staliśmy naprzeciw siebie nos w nos i wydzieraliśmy się jedno na drugie. Nagle rąbnęła mnie otwartą dłonią, aż się zakręciłem. Zwykle potrafiłem to przewidzieć, ale tym razem mnie wykiwała. Miałem chory ząb, zabolalo jak wszyscy diabli. Oddałem jej zdrowo, aż przewróciła oczami. Trwało to z pół sekundy, potem się zebrała i znów zamachnęła. Rąbnęła mnie, a ja przyjąłem cios. Przysięgam na Boga, że oddaliśmy sobie jeszcze ze sześć razy. Zobaczyłem, że usta jej drgają w tej samej chwili, w której uświadomiłem sobie, jakie to śmieszne. Potem zaczęliśmy wyć ze śmiechu i jednocześnie płakać, jak dzieci. Dwie minuty później ściągnęliśmy z siebie bryczesy i tarzaliśmy się w tej soczystej trawie jak nastolatki. Jasna cholera, że też człowiek za-

pamiętuje takie rzeczy, co? – Zaśmiał się. – Oboje mieliśmy z jednej strony spuchnięte policzki niczym wiewiórki z orzechami w pyszczkach.

Podszedł do kominka i dźgnął bierwiona pogrzebaczem, żeby lepiej się paliły.

– Miłość? A co to takiego, synu? Ożeniłem się z nią, bo bałem się, że roztrwoni spadek. Ona wyszła za mnie, bo tonęła, a ja znalazłem się w zasięgu ręki. Jeśli chodzi o profesorka, wściekłem się jak ktoś, kto widzi, że bliski przyjaciel robi z siebie głupca. Wynalazła adwokata w Belasco, a kiedy trochę powęszył, zrozumiał, że będzie miał cholernie ciężko i pod górkę. Nasłała na mnie prywatnego detektywa, powiedziałem o tym policji, a gli-niarze pokazali mu, na czym polegają tutaj dobre maniery. Potem ściągnęła ciebie, kimkolwiek jesteś. Specem od odzyskiwania spadków?

– Nowoczesnym Robin Hoodem. Kradnę to, co ukradli złodzieje.

– To niewielu musi was być.

– Jass, czy to nie jest oczywiste jak cholera, że ten strzał był wymierzony w ciebie?

Dźwignął się z fotela i podszedł do zawieszonych na ścianie byczych rogów. Wisiały na długiej płycie, która z jednej strony była ruchoma. Przekreślił rogi do góry. Mignął mi ścienny sejf w kształcie walca, zanim Yeoman zasłonił go ciałem. Usłyszałem szcęknięcie, kiedy zamykał drzwiczki i obracał tarczę. Wrócił na fotel, po czym bez ostrzeżenia cisnął mi w twarz plik banknotów. Uniosłem rękę, pieniądze odbiły się i spadły na podłogę. Były to owinięte papierową taśmą pięćdziesiątki z nadrukiem „pięć tysięcy dolarów” i parafką osoby, która je przeliczyła.

– Nie udawajmy, że interesujesz się tą sprawą z jakiegoś innego powodu, McGee. Zaoszczędzę ci zachodu, nie musisz już starać się mnie wykiwać.

Wstałem i ustawiłem się tak, by wziąć zamach do kopniaka. Mierzyłem w kominek, ale plik nie doleciał. Jednak upadł w pobliżu.

– Nie będziesz mi mówił, co mnie interesuje, a co nie, Jass.

Banknoty znajdujące się na wierzchu zaczęły się zwijać i zmieniać kolor. Uniosła się z nich smużka dymu.

– Masz ciekawy sposób targowania się, chłopcze.

– Niech mi pan podrzuci większy plik, panie Yeoman, następnym razem wymierzę dokładniej.

– Forsę masz w nosie, co?

– Cholernie ją lubię, ale jestem wybredny, jeśli chodzi o sposób, w jaki mi się ją proponuje.

Siedzieliśmy w milczeniu. Nie mogłem nic wyczytać z jego twarzy i indiańskich oczu. Róg górnego banknotu poczerniał, zajarzyły się na nim czerwone iskierki, które ułożyły się w malutki półokrąg i zaczęły wżerać się w papier.

– Boże drogi, twardy masz kark, sukinsynu.

– Powiedziałem, że zgodnie z miejscowym zwyczajem muszę się pod kogoś podczepić. Nie mówiłem, że jestem na sprzedaż.

Po długiej chwili Yeoman wstał i poczłapał do kominka. Podniósł plik banknotów za zimny koniec i klepnął nim o spodnie, zostawiając na nich czarną smugę. Podszedł do mnie.

– Travis, tak masz na imię, dobrze zapamiętałem?

– Zwykle skraca się do Trav.

Gospodarz ostrożnie położył pieniądze na skórzanym podłokietniku fotela.

– A więc Trav, jeśli zechcesz mi pomóc, chętnie skorzystam z twoich usług. Bądź łaskaw przyjąć ten drobny wyraz mojego szacunku i wdzięczności. Gdybym miał dwadzieścia lat mniej, wyszlibyśmy na dziedziniec i przez dwadzieścia minut okładali się pięściami do krwi. Tylko w taki sposób można się zaprzyjaźnić z takim skurczybykiem jak ty.

Wrócił na fotel i podniósł szklanę.

Włożyłem pieniądze do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjąwszy z pliku nadżarty ogniem banknot. Oddarłem szerniały róg i umieściłem pięćdziesiątkę w portfelu. A potem jak gdyby nic się nie stało, opowiedziałem Yeomanowi wszystko, czego się do tej pory dowiedziałem.

– Buckelberry nie powiedział ci prawdy, bo bał się, że odbije ci korba – zakończyłem.

– Czy zdrowy na umyśle mężczyzna pochowałby zająca pod chusteczką z irlandzkiego lnu?

– Ona by to z pewnością zrozumiała, Jass. I nie sądzę, by uznała cię za nienormalnego.

– Jeśli odbije mi korba, to od głowienia się, kto jej to zrobił i dlaczego.

– Mówiła mi, że ostatnio ktoś ją śledził. Myślała, że to twoja sprawka.

– Moja? A gdzie tam!

– Dwóch ludzi przesłuchało jej pokojówkę, tę, która się zwolniła i wyszła za mąż.

– Dolores. Dolores Canario. Chwileczkę, teraz nazywa się inaczej. Estobar. Pani Juanowa Estobar. Czego, u diabła, tamci mogli chcieć od Dolores?

– Wypytywali ją o osobiste finanse twojej żony. Dolores i Mona doszły do wniosku, że usiłujesz się wywiedzieć, czy odłożyła na boku tyle, żeby móc prysnąć i z tego żyć.

– Synu, ja nigdy nie musiałem się o to dopytywać. Nauczyłem się, że nie wolno dawać jej dostępu do kont. Pierwszego dnia każdego miesiąca dostawała tysiąc pięćset dolców na osobiste wydatki, a przecież nie musiała ich przeznaczać na utrzymanie. I piętnastego zawsze, ale to zawsze była spłukana.

– Tak czy inaczej, ktoś przesłuchał Dolores.

– Tego rodzaju pytania mogli zadawać kontrolerzy podatkowi. Kiedy prześwietlają cię, muszą się dowiedzieć, ile wydajesz na życie. Kapujesz?

– Nie za bardzo, niestety.

– Trav, założmy, że dziesięć lat temu byłeś wart sto tysięcy dolarów, a teraz twój majątek jest sześć razy większy. Przypuśćmy, że każdego roku twój dochód netto po zapłaceniu podatków wyniósł pięćdziesiąt kawałków. I przypuśćmy, że na życie wydawałeś rocznie trzydzieści tysięcy. W takim razie twoja wartość netto wynosiłaby trzysta tysięcy, a nie sześćset. Dla kontroli skarbowej jest to dowód, na podstawie którego mogą przyjść i oznajmić ci, że miałeś trzysta tysięcy dochodu, którego nie zgłosiłeś. Oszustwo. W takich sprawach kontrolerów nie obowiązuje przedawnienie. Mogą sięgać wstecz do roku tysiąc dziewięćset trzynastego, kiedy wprowadzono podatek dochodowy. Do licha ciężkiego, myślałem, że jestem pod ciągłym audytem i mam czystą kartę. Ale wygląda na to, że kręcą dla mnie małą niespodziankę. I mogą mnie zaskoczyć, synu. Kontrolerzy mają dwa lata na zebranie materiału dowodowego, a ty masz dwa miesiące na przygotowanie obrony. To zabawne, wiesz?

– Co mianowicie?

– Próbuję się nakręcić i nie mogę. Powinienem chwycić za słuchawkę, zadzwonić do Charliego Bakera i postawić go na nogi, żeby uruchomił swoje kontakty i wybałał, co knują te urzędasy. Ale jakoś mnie to nie wzrusza. Bałagan w podatkach akurat teraz diabelnie by mi dopiekł, i to na wielu polach. A ja za cholerę nie mogę się tym przejąć.

– Jass, czy kontrolerzy mogli wszcząć przeciw tobie postępowanie?

Jego usta z wolna ułożyły się w grymas uśmiechu.

– Jak wszyscy diabli, synku. Właściwie to od lat się tego spodziewałem.

– Czy to postępowanie mogłoby, częściowo lub w całości, zostać wszczęte na podstawie tego, że przejąłeś spadek Mony?

– Synu, pozbierałem forszę, którą Cube zostawił rozproszoną to tu, to tam. Nie mogłem zgłosić tego jako dochodu, prawda?

– Zdaniem Mazzariego Mona tak się rozkochała w tamtym, że gotowa była wykorzystać każdą możliwość, żeby ci dopiec. Dopiero później cholernie by tego pożałowała.

Popatrzył na mnie, jakby chciał zapytać, co to znaczy, lecz nagle sam to sobie uprzytomnił.

– Na Boga, gdyby ściągnęli ją do urzędu i nakłonili do mówienia, a ona ze szczegółami opowiedziałaby, co się stało z tą i ową częścią spadku po tatusiu, bez dwóch zdań byłbym ugotowany.

– Nie zrozum mnie źle, ale czy to nie mogłoby stanowić dla ciebie motywu, żeby się jej pozbyć?

Posłał mi takie spojrzenie, że aż ucieszyłem się z tego, że nie musiałem się z nim mierzyć – ani dwadzieścia lat temu, ani nawet teraz. Tak patrzy facet, który ma grube twarde kości, a na nich długie płaty zahartowanych mięśni, starych muskułów jeźdźca z zachodu, spalonych słońcem, żylastych i zaprawionych w wysiłku. Dał popalić niejednemu i w niejednym miejscu, i taki pozostał, bo inaczej by nie przetrwał. Cube Fox i Jass Yeoman musieli stanowić tandem z piekła rodem.

– Rozumiem cię bardzo dobrze, w lot pojmuję, co chodzi ci po głowie – wyszeptał ze śmiertelną groźbą w głosie.

– Zwolnij trochę, bo to nie pozwala ci jasno myśleć. Jeśli to mógłby być motyw dla ciebie, to i dla kogoś innego, kogo fortuna jest ściśle powiązana z twoją. I kto poszedłby na dno, gdyby ciebie udało się zwalić z nóg.

Widziałem, jak zмага się z gniewem, wpycha go w głęb i odsuwa na bok. Ściągnął brwi.

– Większość swoich interesów prowadzę sam, synu.

– Powiedziałeś, że przypominasz klauna, który biega po linie z talerzami kręcącymi się na kijkach.

– Owszem, tak to mniej więcej wygląda, bo zamierzam wypuścić z rąk wiele klocków naraz. Jeśli starasz się coś sprzedać, to musisz to jakoś pod-

rasować. Trzeba sypnąć kasą, żeby wyglądało elegancko i atrakcyjnie. Sprzedajesz starą chałupę, a chcesz ją opchnąć za dobrą kasę, to musisz zainstalować nową kuchnię, żeby babkę zatkało z wrażenia. Wtedy nie usłyszy gderania męża, który ogląda zbutwiałe parapety. Mam ze cztery takie sprzedaże na głowie i musiałem się mocno zakręcić, żeby zebrać kapitał na podrasowanie obiektów. Myślałem, że wygrzebię się z tego w ciągu roku. Ranczo hodowli koni, które prawie samo na siebie zarabia, ta chałupa i sześć czy siedem milionów płynnej gotówki, wszystko to razem pozwoliłoby mi dokonać transakcji o tej wysokości plus pięciokrotność całej sumy, na którą dostałbym pożyczkę. Chodziło mi po głowie, żeby zebrać wszystkie jajka w jednym koszyku, to znaczy przejąć pewną bardzo fajną firemkę, której nazwy nawet przed samym sobą nie śmiem wyszeptać, synu. Mają podstawowe patenty w pięciu różnych branżach przemysłu wydobywczego, ze dwadzieścia milionów rezerwy gotówkowej i tylko krótkoterminowe zadłużenie. Robię się zbyt powolny na manewry i kombinacje, więc wymyśliłem, że załatwię sobie osobistą mennicę. Zaprząłem paru bystrzaków, żeby rozpracowali rzecz na wszystkie strony, ale nikt nie wie, o co idzie gra.

– Dobrze. Skoro mówimy o władzy i wpływach, mówimy także o parciu do władzy. Kto rządzi na tym terenie oprócz ciebie?

– Pewnie chłopaki, z którymi w środowe wieczory siadam przy stoliku do pokera w klubie Cottonwood. Boone Kendrick, Joe Gay, Tom O'Dell, Fish Ellery, Jaimie DeVrees, Paul Tower. I jeszcze ze dwóch takich, którzy nie grywają. Wally Rupert i Sonny Madero. Kontrolujemy górnictwo, banki, gazetę, radio i telewizję, hodowlę bydła, transport, budownictwo, mieszkalnictwo i energię elektryczną. Kilkuset innych bije się o ochłapy, które pozostają. Planuję przydusić paru z tych chłopaków klockami, które będą sprzedawał.

– Mazzari powiedział mi, że Rupert to twój wspólnik.

Jass uniósł brwi.

– Synku, aż tak blisko ze sobą nie współpracujemy. Wciąż ma udziały w moich dwóch spółkach, ale kiedy je puszczę, nie będą nas już łączyć żadne interesy.

– Jednak dawniej byliście powiązani znacznie bliżej, prawda?

– Boże drogi, tak! Urabialiśmy sobie ręce po łokcie, zasuwaliśmy obaj w pocie czoła. – Roześmiał się bezradośnie. – Połowę czasu marnowaliśmy na wzajemne obserwowanie się. Związialiśmy się ze sobą z desperacji, moż-

na by rzec. A kiedy wyszliśmy na prostą, trzeba było delikatnie się wyplątać, żeby nie wypruć sobie flaków. Obaj jesteśmy samotnikami.

– Jass, mogę w tej chwili mówić tylko o tym, co przychodzi mi na myśl. Spojrzenie z zewnątrz pozwala czasem inaczej ocenić sytuację. Możesz mi przerwać, jeśli moje pytanie będzie absurdalne. Gdyby Mona złożyła szczegółowe zeznanie przed kontrolerami skarbowymi i gdyby na podstawie zeznań podatkowych, o których wspomniałeś, postawiono ci zarzut oszustwa, czy musiałbyś dowodzić, że skradzione pieniądze poszły na wasze wspólne przedsięwzięcia, twoje i Ruperta, po to, by cały kram nie zwałił ci się na głowę?

Yeoman wlepił we mnie wzrok. Potem wychylił drinka, wstał i powoli podszedł do baru. Zaczął nalewać sobie następną porcję, lecz nagle odwrócił się w moją stronę.

– Tylko nie Wally, synu. Nie on. Wybij to sobie z głowy.

– Jass, jeśli kontrola skarbową powoli gromadzi dowody mające świadczyć przeciw tobie, to czy nie byłoby logiczne, żeby uderzyli do Wally’ego Ruperta?

– Nie wiem. Może tak, może nie.

– Gdyby się z nim skontaktowali, powinien się domyślić, że namierzają ciebie, i ostrzec cię, prawda?

– Na Boga, tak właśnie by zrobił!

– Wspomniałeś o jakimś Charliem, który ma znajomości, gdzie trzeba. A gdyby ten Charlie dowiedział się, że ktoś nawiązał kontakt z Rupertem i go przesłuchał, tylko że on nic ci o tym nie wspomniał? Czy to by coś znaczyło, Jass?

Gospodarz nalał sobie drinka.

– Wally zrobiłby wszystko, żeby ocalić własną skórę. Chryste, przecież starannie zatarliśmy ślady. To było lata temu. Wielu z tych, którzy brali w tym udział, poumierało. Czasem byliśmy twardzi, ale co można by nam udowodnić?

– Byliście twardzi?

Yeoman usiadł, miał trochę niewyraźną minę.

– Jako wykonawca testamentu sprzedałem kawał ziemi Cube’a firmie XYZ za pięćdziesiąt tysięcy. Za firmą XYZ staliśmy ja i Wally, jednak w papierach nic o tym nie było. Firma XYZ pottrzymała ziemię jakiś czas, a później sprzedała ją firmie ABC za czterdzieści pięć tysięcy. To także by-

liśmy ja i Wally. Potem sprzedawaliśmy ją komuś, komu na niej naprawdę zależało. Sprzedawaliśmy znów za, powiedzmy, pięćdziesiąt tysięcy, bo taka cena się utarła, pięćdziesiąt tysięcy braliśmy oficjalnie, a sto tysięcy pod stołem.

– Jak na tym wychodziłeś, Jass?

– Zrozum, synu, szamotaliśmy się, walcząc o życie, ja i Wally. Zaczynaliśmy od niczego i mogliśmy wszystko stracić, bo nie mieliśmy gotówki na to, żeby się wybronić.

– Jakie sumy krążyły w obiegu?

Milczał tak długo, że zważyłem, czy usłyszę odpowiedź.

– Powiedzmy, że około miliona czterystu tysięcy. Ja zgarnąłem jakieś siedemset osiemdziesiąt tysięcy, Wally może ze czterysta. Reszta poszła na wydatki i drobne upominki dla tego lub owego, jeśli były potrzebne. Musisz jednak zrozumieć, że nie od razu mogliśmy zgarnąć forszę. Wykorzystywaliśmy ją jako zabezpieczenie przed pójściem na dno i tak naprawdę trafiła do nas, kiedy znaleźliśmy się po drugiej stronie górki. Równie dobrze mogliśmy wrzucić wszystko do garnka i zostać z niczym. Ale gdy inwestycje zaczęły się spłacać, mieliśmy coś ekstra.

– Czy Mona mogła zeznać, że Rupert siedział w tym razem z tobą?

– Mogła się dowiedzieć od Mazzariego. To bystry gość. Parę miesięcy temu, kiedy się na siebie wydzieraliśmy, Mona wrzasnęła coś o tym, że ja i Rupert to parka złodziei. Rupert był mi potrzebny, sam nie dałbym rady postawić takiej zasłony dymnej. A on miał tyle biznesów, że mieszaliśmy w papierach, ile wlezie, i później czasem sami nie mogliśmy dojść, gdzie co trafiło. Jedną rzecz chcę ci powiedzieć, Trav.

– Tak?

– Grałem ostro i szorowałem po bandzie. Ale to był jedyny okres w moim życiu, kiedy kradłem. Po prostu nie miałem innego wyboru. Pieniądze leżały i wiedziałem, że Cube dałby mi wolną rękę. Bo on z kolei wiedziałby, że bez względu na wszystko nigdy nie dopuściłbym do tego, żeby Monie czegoś brakowało.

Uśmiechnął się. To był na poły uśmiech, na poły grymas.

– Mimo to zadzwonię do Charliego Bakera, choćby po to, by dowieść, że tracimy czas, głowiąc się nad Wallym. – Wstał. – Chodź, zobaczysz mój nowy telefon, niezła zabawka.

Podszedłem z nim do biurka. Do telefonu podłączone było poważnie wyglądające pudełko zbudowane tak, jakby stanowiło część aparatu. Jass wyjął z małego segregatora plastikową kartę, wsunął ją do otworu i nacisnął klawisz. Telefon błyskawicznie wybrał dziesięciocyfrowy numer.

Kiedy operatorka poprosiła, podałem jej swój numer, a potem posłał mi zębiasty uśmiech.

– Utrudniają człowiekowi zatelefonowanie do kumpla, który mieszka daleko, a potem łaskawie dają ci gadżet, który sprawia, że jest to prawie tak samo łatwe jak dawniej. Nalej sobie drinka, idź tam i rozsiądź się wygodnie.

Jass miał specjalną słuchawkę, która prawie uniemożliwiała podsłuchanie tego, co mówił. Rozmawiał około pięciu minut. Wrócił i oznajmił:

– Charlie to sprawdzi. Lubi gadać tak, by człowiek pomyślał, że podejmuje się niemożliwego. Że niby nie bierze forsy za nic. A kiedy później przekazuje informacje, brzmi to tak, jakby ryzykował karierę tylko po to, żeby wyświadczyć mi przysługę.

– Jaki jest Wally Rupert?

– Ma teraz sześćdziesiątkę. Wspomniałeś o systemie feudalnym. Ten skurczybyk to jest dopiero feudalne panisko, powiadam ci. Nie ma przyjaciół na tym świecie, ale jest pewny, że Bóg mu to wynagrodzi w niebie. W ciągu ostatnich paru lat wszedł mocno w usługi. Wynajem samochodów, pralnie, hotele i motele, centra handlowe. Do tego stary niedźwiedź hoduje sobie własną siłę roboczą. Na jego starej działce, osiemnaście kilometrów na północ stąd, stoi tyle chałup, że nazywają ją teraz Rupertville. Wcześniej się ożenił. Jego żoną była Helen Holmes, miał z nią szóstkę dzieci. Kiedy zmarła, wziął sobie jej młodszą siostrę Catherine. Była wdową, miała dwoje własnych dzieciaków. Przygarnął je i zrobił jej jeszcze pięcioro. Dwanaście lat temu, po śmierci Catherine, te Holmesówny nie miały mocnego zdrowia, Wally ożenił się z siedemnastoletnią Meksykaneczką, która u niego pracowała. Rosa. Krągła, cycata, wielkie błyszczące czarne oczy. Według ostatnich rachunków ma z nią dziewięcioro małych. Jeśli się nie mylę, jego najstarszy chłopak musi mieć teraz trzydzieści dziewięć lat, a najmłodsze dziecko ze trzy, cztery miesiące. Dwadzieścioro własnych i dwoje przybranych. Jeśli podliczyć te wszystkie żony, mężów, dzieci i wnuków, Wally musi mieć ze siedemdziesięciu pięciu krewniaków, z czego trzydziestu albo czterdziestu jest u niego zatrudnionych. Wystarczy, że beknie, i całe to to-

warzystwo podskakuje i uwija się jak w ukropie. To on jest tam prawdziwym bonzem, filarem kościoła. Stary twardziel i cwaniak, szeroki jak wrota stodoły, z brzuchem niczym kamień młyński. Bóg mi jednak świadkiem, że zupełnie pozbawiony talentów towarzyskich. Jeśli się do ciebie odezwie, to masz wrażenie, że każde słowo pali go w język. W dawnych czasach, kiedy ja i Cube używaliśmy życia, Wally siedział jak trusia i po cichu mnożył dzieciaki. Oraz forszę. Ale tak jak powiedziałem, gdyby nie spadek po Cubie, obaj dawno temu poszlibyśmy na dno i śladu by po nas nie było. Nie, chłopcze, Wally nie może mieć z tą aferą nic wspólnego.

Powtarzał mi to i opowiadał o Wallym. I pił. A im bardziej był pijany, tym uważniej mówił i za każdym razem ostrożniej podchodził do baru.

Wypuszczając mnie, zapytał:

– Naprawdę chciałeś kopnąć tę forszę w ogień?

– Naprawdę.

– To byłby pamiętny wyczyn.

Szturchnął mnie w ramię pomarszczoną pięścią.

– Ale i tak będzie co rozpamiętywać, synku. Jesteś w drużynie, ruszaj na łowy. Ja zrobię to samo.

7

Mały domek Juana Estobara znalazłem przy spokojnej ulicy w upale późnego poranka. Konstrukcja szkieletowa, ściany świeżo pomalowane na różowo i biało. Stał blisko wyboistego chodnika. W cieniu dużych zakurzonych drzew przebijały się przez ubitą ziemię wątle źdźbła trawy. Na obudowanym ściankami ganku stały nowe aluminiowe meble. Domy przy uliczce ustawione były blisko siebie, na chodniku bawiło się mnóstwo małych dzieci, na gałęziach drzew hałasowały ptaki, a z wnętrza dobiegały dźwięki muzyki i porannych seriali telewizyjnych.

Dolores Estobar podeszła do siatkowych drzwi i spojrzała na mnie pytająco. Bez zażenowania zlustrowała mnie kobiecym spojrzeniem. Miała dwadzieścia kilka lat, ciemne włosy okalały pociągłą i bardzo ładną twarz. Ubrana była w granatowe bermudy i obszerną różową bluzkę, pod którą prężył się brzuch zaawansowanej ciąży.

– Pan sobie czegoś życzy?

– Pani jest Dolores Estobar?

– Tak, dlaczego pan pyta?

– Nazywam się McGee. Chcę z panią porozmawiać o Monie Yeoman.

– Musicie przestać mnie nachodzić.

– Tym razem to coś innego.

– Czyli co?

– Jeśli zechce pani zadzwonić do pana Yeomana, poprosi, żeby porozmawiała pani ze mną chwilę w ramach przysługi dla niego. Jeżeli nie jest pani teraz zbyt zajęta.

– Nie mam pojęcia, gdzie jej szukać.

– Zatem wie pani, że zniknęła?

– Pewnie wszyscy już o tym wiedzą. Chyba z dziewiętnaście osób nie omieszkało mnie poinformować, że przedwczoraj Mona uciekła z panem Webbem. Panie, w tym mieście nie potrzeba gazet. Nie wiedziałam, że taki ma plan. Nic się pan ode mnie na ten temat nie dowie.

– Chciałbym zapytać o parę innych rzeczy.

– Akurat prasowałam, niech pan wejdzie.

Meble były nowe i w jasnych kolorach, w małym domku panowała nadzwyczajna czystość. Kuchnia okazała się zaskakująco duża i wyglądała jak ekspozycja sprzętu gospodarstwa domowego; upakowano w niej bodaj wszystkie znane elektryczne gadzety.

– Niezła kuchnia, co? To był mój prezent ślubny od Mony. Wymyślili ją z Johnnym, moim mężem. Niespodzianka. Wróciliśmy z podróży, a tu masz. Musieli usunąć ściankę, żeby zrobić miejsce. Pan spojrz na tę niesamowitą lodówkę. Wielka jak hotel. Napije się pan zimnego piwa?

– Dziękuję.

Podawała mi napój. Usiadłem przy wyspie kuchennej z wiśniowego drewna. Gospodyni stała twarzą do mnie, prasując białe koszule.

– Nie wiem, co mogę panu powiedzieć.

– Na przykład, czy zdziwiła się pani na wieść o ucieczce Mony. I dlaczego to panią zaskoczyło.

– Owszem, byłam zaskoczona. Wiedziałam, że jest związana z tym facetem. Ale zdaje mi się, że chodziło jej głównie o to, by mąż potraktował ją poważnie. Wie pan, o czym mówię?

– Niezupełnie.

– Hm, pan Yeoman odnosił się do niej jak do dziecka. Pod wieloma względami ona jest dzieckiem. On jest od niej o wiele starszy, a kiedy naprawdę chciała być poważna, wyśmiewał się z niej. Och, tak, bardzo ją lubi, proszę mnie źle nie zrozumieć. Wie pan, często czułam się od niej starsza, mimo że jestem o sześć lat młodsza. – Zmarszczyła czoło, spoglądając na mankiety, które prasowała. – Ma różne wyobrażenia na swój temat, jakby żyła w operze mydlanej. A życie takie nie jest. Wielka szkoda, że nie może mieć dzieci. Poza tym, że ich nie mają, to jest całkiem udany związek. Dobrze się ze sobą bawią. I mimo że facet jest stary, to kawał męża z niego, mówię panu. Nie sądziłam, że Mona pryśnie. O rany, jakie to głupie! Uważałam, że głupio robi, idąc do łóżka z tym profesorkiem. Myślę, że gdybym nadal u niej pracowała, przekonałabym ją, żeby dała sobie spokój. Ale mu-

siałam odejść w kwietniu zeszłego roku, żeby wziąć ślub. Kiedy wróciliśmy z podróży poślubnej, Mona zjawiała się tutaj praktycznie nazajutrz, płakała i plotła o tym, że John Webb to wielka miłość jej życia, że traktuje ją jak prawdziwą kobietę i tak dalej. Powiedziała, że nigdy przenigdy nie może ujawnić przed Jassem, że była niewierna. A ja nie miałam cienia wątpliwości, że przy następnej kłótni rzuci mu to w twarz, i tak zrobiła. Gdy przyszła następnym razem, nie mogła usiąść na tyłku bez jęku. Dziwię się, bo jestem pewna, że Jass nie sfinansował tej wycieczki, a ona wie o sobie przynajmniej tyle, że nie może się obejść bez pieniędzy, i to w dużych ilościach. Jass przykręcił jej kurek wiele miesięcy temu. Przypuszczam, że się pokłócili i zrobiła to, żeby mu dopiec. Mogę się jednak założyć, że w tej chwili jest przestraszona i się zamartwia.

– Rozumiem, że były panie na bardzo przyjacielskiej stopie.

– O tak. Wiedziała, że nie zrobię z tego użytku i że nie będę się zbyt spoufalać w obecności innych. Ale nie miałyśmy przed sobą sekretów. Nie mogłyśmy się naprawdę przyjaźnić, bo przecież u niej pracowałam, rozumie pan. Mimo to dużo rozmawiałyśmy i miałyśmy do siebie zaufanie. Ona wróci, niech pan przekaże panu Yeomanowi, że może być tego pewnym. Zresztą chyba sam to już wie. Mona wróci, mąż da jej trochę w kość, ale ją przyjmie z powrotem. Sprawi jej pierwszorzędne lanie, bo zasłużyła, ale ją przyjmie. Nie wiem, dlaczego Mona tak się wydurnia. Dlaczego odchodzi od faceta, z którym tak dobrze jej się układa? Przysięgam, bo to widziałam: wystarczy, że ją muśnie, a jej miękną kolana i zaczyna dyszeć.

– Może nie uciekła z Johnem Webbem.

– Och, wszyscy wiedzą, że tak.

– Dolores, niektórzy są przekonani, że wcale nie uciekła. Są dowody świadczące o tym, że oboje zostali zamordowani, a ich ciała ukryto.

Kobieta skierowała na mnie wzrok, żelazko znieruchomiało. Nagle podniosła je i z niepokojem spojrzała na koszulę. Odstawiła żelazko na podstawkę, po czym podeszła do wyspy kuchennej. Po obu jej stronach znajdowały się stołki. Usiadła naprzeciwko mnie i popatrzyła mi w oczy.

– Pan Yeoman nigdy by czegoś takiego nie zrobił!

– Ja też tak uważam.

Zagryzła wargę.

– W takim razie kto? To bez sensu! – Spróbowała się uśmiechnąć. – Zdziwaczała młodsza siostra Johna Webba... Mona mi o niej opowiadała...

Nie zdobyłaby się na coś takiego. – Kobieta pokręciła głową. – Musi pan się mylić, panie McGee, naprawdę. Wszyscy mówią, że Mona i profesor polecili razem do El Paso.

– Poleciało dwoje ludzi, którzy z grubsza ich przypominali.

Mierzyła mnie wzrokiem. Była niesłychanie atrakcyjną kobietą: złotawa skóra, wyraziste rysy, wspaniałe ciemne oczy.

– Wydaje mi się, że nie ma pan powodu opowiadać mi kłamstw. Ale po prostu nie mogę sobie wyobrazić, że Mona umarła... W niej jest tyle życia!

– Dolores, przykro mi, że panią martwię. Liczyłem, że dowiem się od pani czegoś użytecznego.

– Mona zaglądała do mnie i opowiadała o swoich problemach. Ci kontrolerzy podatkowi ją niepokoili. Bo to byli właśnie oni, wie pan. Jestem pewna, że byli tymi, za których się podawali. Choć myślała, że mogą pracować dla Jassa. Zawsze chciała wszystko udramatyzować. Biedny Jass. Jeśli to okaże się prawdą, załamie się.

– Dlaczego ktoś chciał, żeby wyglądało to tak, jakby Mona uciekła?

Wzrok Dolores nic nie wyrażał.

– Jezus, nie wiem. Pewnie po to, żeby mu było łatwiej się wywinąć.

Wyszła ze mną na ganek. Miała ładny uśmiech.

– Życzę pani potomka na medal, Dolores.

Wyraz jej oczu nagle się ochłodził.

– Tylko białym Amerykanom wolno tak długo czekać, prawda? Niech to będą bliźnięta. Zamierzamy zrobić sobie piętnastkę.

– Proszę się tak nie gorączkować.

– Może nie lubię, kiedy poklepuje się mnie po ramieniu.

– Pani Estobar, nie chciałem pani w żaden sposób urazić.

– Wierz mi pan, przez wiele lat zginałam kark, gdy pracowałam u Yeomanów, a teraz z tym skończyłam. Mówię to, co mi się podoba, i tyle.

Patrzyła na mnie pałającym wzrokiem. Żelazo i ogień, krew i duma. Jakaś domieszka indiańskiej krwi. Nie mogłem się powstrzymać i parsknąłem śmiechem. Po chwili kąciki jej ust drgnęły i ona także się zaśmiała. Ale ucieszyłem się, że nie miała noża pod ręką.

– Spróbuję jeszcze raz. Życzę pani szczęśliwego dziecka. Może być?

– Może być. Będzie szczęśliwe, ma pan moje słowo.

Jednak nawet teraz, gdy wrócił jej dobry humor, sprawiała wrażenie lekko roztargnionej. Spojrzała nad moim ramieniem. Chyba ucieszyła się, że

odchodzę.

Idąc do samochodu, zauważyłem zakurzonego terenowego pick-upa o mocnej konstrukcji, który stał po drugiej stronie ulicy jakieś trzy domy dalej. Dwaj młodzi rośli mężczyźni opierali się o tylne błotniki. Mieli na sobie ubrania robocze i wyglądali na wysportowanych. Szerokie brązowe indiańsko-latynoskie twarze były czujne i niewzruszone.

Mijając ich, zrozumiałem, dlaczego pani Estobar chciała, żebym sobie poszedł. Na tej ulicy, o tej porze dnia, obcy *gringo* odwiedzający ładną młodą żoneczkę stanowił powód do podejrzeń. Akwizytor, inkasent, gliniarz, a może kochaś? Trzeba poczekać, obserwować i zbadać sprawę.

Zbyt wielu jest takich, którzy żerują na mniejszościach etnicznych, dlatego ich członkowie znajdują sposoby i sposobiki, by zadbać o swoje. Skręcając w boczną ulicę, pomyślałem, że nie chciałbym, aby tych dwóch źle zrozumiało moje zamiary.

Obejrzałem się, Dolores pomachała mi z ganku. Minąłem kilka skrzyżowań i zadzwoniłem do Yeomana z apteki. Jakiś mężczyzna powiedział, że zastanę go w biurze, i podał numer. Odebrała kobieta i zaciągając nosowo, oznajmiła, że szef przyszedł wcześniej do pracy i jakiś czas temu wyszedł. Zapytała mnie o nazwisko, a kiedy się przedstawiłem, poinformowała, że znajdzie go w klubie Cottonwood. Gmach Kendrick, blok trzysta przy East Central Avenue, wjazd prywatną windą.

To był nowy biurowiec, już wcześniej zwróciłem na niego uwagę. Szkło i aluminium na kolumnach, dziurkowany beton, który miał neutralizować palące pustynne słońce. W holu stał nadnaturalnych rozmiarów posąg poszukiwacza złota prowadzącego obładowanego osiołka, wykonany ze srebra. Klubowa winda z bardzo drobnymi srebrnymi napisami zabrała mnie na trzynaste piętro. Wsiadłem i znalazłem się w klatce z grubej stalowej siatki. Windziarz zostawił mnie w środku i powiedział coś cicho do telefonu. Następnie wcisnął klawisz, drzwi klatki się otworzyły. Jakiś mężczyzna drobnej postury poprowadził mnie przez wypełniony dostojną ciszą korytarz do małej windy i zawiózł na piętnaste piętro. Szliśmy najpierw obok pryszniców, a potem obok mniejszych i większych sal gimnastycznych, aż dotarliśmy do takiej, w której siedział Jass Yeoman. Ubrany w spodnie od dresu, goły do pasa, podnosił ciężarki. Oddychał ciężko, jego klatka piersiowa spływała potem, twarde mięśnie przesuwwały się pod owłosioną brązową skórą.

Przestał, kiedy podszedłem; zdjął ręcznik z haczyka i otarł twarz.

– Wypacam najlepszego bourbona, synu – rzekł. – I czekam na telefon od Charliego. Jak ci się tu podoba? Mieliśmy stylowy stary klub, ale stał na terenie, który był dla nas zbyt cenny. Sprzedaliśmy go więc, zerwawszy wcześniej boazerię i wykończenia, wydzierzawiliśmy trzy najwyższe piętra biurowca od jednej z firm Boone’a Kendricka i nigdy nie mieliśmy się lepiej. Najlepsze żarcie w promieniu stu kilometrów. Co ja mówię: dwustu. Największe porcje i największe drinki. Co tam ci chodzi po głowie?

– Że to może być gra w dublety, Jass. Najpierw Mona, potem ty. Żeby zgarnąć wszystkie twoje zabawki. Zasłona dymna ma utrudnić rozszyfrowanie ich zamiarów. Powiedzmy, że twoja żona zginęła w zwyczajnym wypadku drogowym. Wtedy zaczęłbyś myśleć o spisaniu nowego testamentu.

Jass osuszył ręcznikiem pierś, powoli i z namysłem.

– Nawet jeśli się mylisz, i tak zapracowałeś na swoją przypieczoną kasę, Trav.

– Kto by po was dziedziczył?

– Gdybyśmy umarli oboje i nie dałoby się stwierdzić, które z nas odeszło z tego świata pierwsze, forsa trafiłaby do niewielkiej fundacji, pod warunkiem że zostałyby coś po tym, jak każdy uszczknąłby kawałek dla siebie. Ale to nie jest ten wypadek, Mona zmarła przede mną. Nawet nie wiem, czy ubezpieczenie to obejmuje. Nie miała ani jednego bliskiego krewnego. Najbliższą moją krewną jest stara panna, kuzynka pierwszego stopnia z Yumy. Gdybym zszedł, nie pozostawiwszy testamentu, gdyby ktoś mnie teraz sprzątnął, jej roszczenie zostałoby uwzględnione. Zakładając, że postanowiłaby ubrudzić sobie ręce, wyciągając je po moją forszę. Poza tym istnieje około dziewięciu rodzajów ubezpieczeń handlowych. Musiałbym to sprawdzić. Powiem ci, co zrobimy. Zbliża się pora lunchu, idź do baru na samej górze i każ Armandowi, żeby zrobił ci gorzkiego bourbona, takiego jak ja piję. Wkrótce przyjdę.

Z niewielką pomocą trafiłem na najwyższe piętro. Fotele były głębokie, drinki wyborne, a widok spektakularny. Sączyłem drinka i zastanawiałem się, czy powinienem był zadzwonić do szeryfa i podsunąć mu wskazówkę, żeby rozszerzył swój krąg podejrzeń. Ja sam nie próżnowałem. Wyprowadziłem się z motelu Latigo i przenieśliśmy do Sage. Poszedłem do banku i włożyłem do schowka dziewięćdziesiąt banknotów pięćdziesięciodolarowych; zapłaciłem siedem dolarów siedemdziesiąt centów za roczne wynaję-

cie skrzynki. Lubię takie schowki. Zanim dobierzesz się do swojej forsy, masz czas na to, żeby się rozmyślić. Zadzwoiłem do Isobel Webb. Niespokojnym głosem oznajmiła, że spała zbyt twardym snem. Dodała, że czuje się bardziej zmęczona niż wtedy, gdy kładła się spać. To była dziwna i bezcelowa rozmowa, przerywana długimi pauzami, gdy żadne z nas nie wyowiadało słowa. Powiedziałem, że odwiedzę ją, jeśli będę mógł, na co bezcienia entuzjazmu odparła, że mogę przyjechać.

Myślałem o Buckelberrym, o jego poszukiwaniu samochodu oraz wysokiego chudzielca z szyją oszpeconą bliznami, o Indianach przeszukujących skalisty teren w pobliżu chaty, obok której zginęła Mona. W porannej gazecie nie znalazłem ani strzępu informacji.

Do baru zaczęli napływać mężczyźni wyglądający na zdrowych i zamożnych, pojedynczo i grupkami. Zapytałem kelnera, gdzie jest najbliższy telefon. Przyniósł mi aparat, podłączył do gniazdka i podał książkę telefoniczną. Zawahałem się, a potem wybrałem numer Buckelberry'ego.

Zawołali go, kiedy miał wyjeżdżać na lunch.

– Gratuluję, McGee.

– Co to znaczy?

– Odbyłem krótką pogawędkę z Jassem dziś rano. Zamierzałem pana namierzyć i poprosić, żeby pan nie przeginał.

– Żeby nie przeginał?

– Człowieku, na litość boską! Twój glejt jest ważny tylko w ograniczonym zakresie i Jass nie ma tu nic do gadania. W granicach miasta musi się pan liczyć z komisarzem Kitteringiem. W terenie jestem ja. Jeśli któryś z nas stwierdzi, że zachowuje się pan jak prywatny detektyw, przyskrzynimy pana za działanie bez licencji stanowej i bez zgody władz okręgowych. Jeszcze jeden taki numer jak z tą stewardesą...

– Niech pan przestanie bębnić w swoją klatę, szeryfie.

Pan reprezentuje wymiar sprawiedliwości i ja to uznaję. Chciałem się dowiedzieć, jak panu idzie. I coś zasugerować.

– Chyba powinienem rozpląnąć się z zachwytu.

– Przyszło mi na myśl, że nie zawadziłoby zapewnić Jassowi dyskretnej ochrony.

– Jassowi? Niby po co?

– To tylko moje przeczucie.

– Mam dosyć na głowie.

– Trafił pan na coś?

– Dlaczego miałbym panu mówić... No cóż, z godzinę temu zlokalizowaliśmy jej auto. Tompkins tam teraz jest. Stało jakieś dziesięć kilometrów od chaty w kierunku przeciwnym do Cotton Corners. Przy małej drodze pod drzewami. Proszę przekazać Jassowi, jeśli jest pan z nim umówiony. Po oględzinach odstawię samochód do jego posiadłości. Poza tym nic nowego, ale nigdy nie wiadomo, co się może wydarzyć.

– Jak długo może pan trzymać tę sprawę pod korcem?

– Tak długo, aż po należytych rozważeniach dojdę do wniosku, że istnieją wystarczające dowody, by uznać, że popełniono morderstwo, mądralo.

– Jeśli będzie pan chciał zostawić dla mnie wiadomość albo coś przekazać, przeprowadziłem się do Sage.

– Dlaczego nie? Teraz pana stać.

Szeryf trzasnął słuchawką. Kelner odniósł telefon. Zobaczyłem Jassa, który nadchodził szybkim krokiem; jego twarz wyrażała intensywny namysł. Ciemne włosy sterczały po przysznicu. Dał ręką znać Armandowi i klapnął na fotel obok mnie.

– Trwało to dłużej, niż myślałem. Charlie wreszcie zarobił na swoje honorarium.

– I co?

– Jeden z zespołów specjalnych pracuje nad tą sprawą od niemal dwunastu miesięcy. Zaplanowali, że zaatakują mnie w lutym przyszłego roku. Charlie zdobył listę. Są na niej odhaczeni ci, którzy już złożyli zeznania, i puste miejsca obok nazwisk osób, które dopiero mają być przesłuchane. Nazwisko Wally'ego Ruperta jest odhaczone. Mona dopiero miała być przesłuchana. Jest wiele innych nazwisk ludzi, których znałem dawno temu. Parszywe drobne urzędnicy, synu. Pętaki, które nie mają powodu lubić starego Jassa Yeomana. Które uwielbiają człowieka obsmarować. Charlie mówi, że jak tylko uderzą, opieczętują wszystko, co mam, że bym nie mógł wyprowadzić majątku za granicę. Konta bankowe, papiery wartościowe, sejfy, wszystko. Mówi, że działają niezależnie od tych, którzy zazwyczaj zajmują się moimi podatkami, ale mają dostęp do wszystkich istniejących dokumentów podatkowych.

– Barman podał mu drinka. Jass pociągnął łyk, odchylił się i uśmiechnął. Pokręcił głową. – Mówię ci, chłopcze, próbuję się tym przejąć, ale nijak mi to nie wychodzi. Wiesz, co mi się śniło dzisiaj w nocy? Byłem na drodze na

pustkowiu i szukałem miejsca, w którym pochowałem zająca. Zagrzebałem razem z nim w ziemi coś, co musiałem odzyskać. Coś ważnego, nie mogłem jednak sobie przypomnieć, co to takiego. A jeśli był to mój instynkt samozachowawczy?

– Nie mam pojęcia.

– Szlag by to trafił, tak bardzo brakuje mi tej idiotki!

– Dzisiaj rano znaleźli jej samochód, stał w tej samej okolicy schowany na bocznej drodze. Obejrzą go i zostawią obok twojego domu. Poza tym nic nowego.

– Powiedziałem Buckelberry’emu, że razem rozpracowujemy tę sprawę.

– Wiem.

– Nie był ucieszony.

– To też wiem. Jass, jedna rzecz nie daje mi spokoju. Wszyscy w tym mieście wiedzą, co jest grane. Ale w gazetach nie ma na ten temat ani słowa.

Wzruszył ramionami.

– Niepotrzebnie się tym przejmujesz. Jaimie DeVrees jest właścicielem gazety, telewizji i radia. Pracują u niego same młode bystrzaki. Pierwsza rzecz, której się uczą, to że mają zdobyć te informacje, których się od nich oczekuje, ani mniej, ani więcej. Jaimie lubi, kiedy okazują inicjatywę przy obróbce informacji, ale przykraca cugli każdemu, kto wychodzi z roli i próbuje węszyć. Jego zdaniem to strata czasu. Po co dogrzebywać się do czegoś, co i tak samo do ciebie trafi, gdy ludzie będą gotowi?

– A jeśli policjanci znajdą któreś z ciał...

Twarz Yeomana wykrzywił nagły ból.

– Wtedy szeryf zadzwoni do Jaimiego, a jego ludzie wycisną wszystko z tej informacji. Chcę, żeby znaleziono moją małą dziewczynkę, chcę ją pochować, jak się należy. A ten skurwiol, który mi to zrobił... – Jass zadrżał, a potem rozluźnił zaciśnięte dłonie. – Zejdźmy na dół i zjedźmy porządny krwisty stek, synu.

Milczał przez większość czasu, gdy jedliśmy lunch i piliśmy smaczną kawę.

– Muszę rozpracować parę szczegółów. Może wieczorem wybralibyśmy się razem do Wally’ego Ruperta?

– W taki sposób chcesz się do tego zabrać?

– Tak, po mojemu. Mam punkt zaczepienia, to, czego wywiedział się Charlie. Od tego zacznę i mocno go przycisnę. Zobaczymy, czy dowiem się czegoś więcej.

– O której godzinie?

– Przyjedź do mnie około ósmej wieczór. – Wstał i rzucił serwetkę na stół. – Szepnąłem słówko na dole. Możesz korzystać z tego przybytku jak zarejestrowany członek tak długo, jak długo tu pozostaniesz.

– Dziękuję.

– Omal nie spaliłeś mojej forsy, wolno ci jeździć pierwszą klasą.

8

Miałem sześć godzin przed ponownym spotkaniem z Jassem Yeomanem. Wychodząc z biurowca Kendricka w słoneczne popołudnie, poczułem ten dziwny dreszcz, który mógł oznaczać tylko jedno: że jestem śledzony.

Wykonałem wszystkie obowiązkowe manewry, wszedłem do apteki i wyszedłem, skręciłem za róg ulicy i zawróciłem. Nikogo jednak nie udało mi się zauważyć. Wszyscy mieli ten sam wyraz twarzy zajętych sobą nieznajomych. Czasem dzwonek alarmowy włącza się przypadkowo i wprowadza w błąd. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego czuję się lekko rozczarowany, że alarm okazał się fałszywy.

Nagle uświadomiłem sobie, że chcę, aby coś się zdarzyło. Potrzebowałem nowego czynnika, który coś zmieni.

Sytuacja jak dotąd nie układała się w sensowną całość. Stałem w strumieniu, którego nurt urywał się pomiędzy skałami. Ludzie Jassa Yeomana powinni uganiać się po Meksyku w poszukiwaniu Mony i Johna Webba.

Dlaczego Jass miał wierzyć, że jego Mona żyje? Dlaczego komuś zależało na jej śmierci? Dlaczego zostawiono mnie przy życiu i pozwolono pokrzyżować starannie przygotowany plan? Nie miałem najmniejszej pewności, że Jass jest ze mną szczery. Sprawa wyjdzie na jaw, i to niebawem. Piekło rozpęta się, kiedy zostanie znalezione jedno z ciał. Buckelberry prowadził bardzo rzetelne poszukiwania. Szukał karabinów i mężczyzn z bliznami na szyi, a także roślących blondynek – żywych i martwych.

Nie wierzę w zbiegi okoliczności. Wierzę, że jeśli pozostajesz w ruchu, stwarzasz sobie lepszą szansę, że zdarzą ci się jakieś przypadki, jedne lepsze, drugie gorsze. I trzeba mieć dobre oko na trefniaków. W policyjnym slangu słowo to oznacza osobę, która miała kłopoty, ma je teraz lub będzie je miała, albo jako ofiara, albo jako napastnik. Mądry gliniarz potrafi kogoś

takiego wyłowić z gęstego tłumu przechodniów, ponieważ w jakiś sposób się odróżnia.

W drodze do hotelu musiałem przejechać obok dużego dworca autobusowego. Na rogu złapały mnie światła. Nagle zobaczyłem wysoką blondynkę, która pojawiła się, mrużąc oślepione słońcem oczy. Zawahała się, zawróciła i z determinacją ruszyła w przeciwną stronę. Miała pomięte ubranie, potargane włosy i szła chwiejnym krokiem.

Dopiero po kilku sekundach odnotowałem, w co jest ubrana. Jasnoniebieski kostium z chesanki, na nogach czerwone sandały na wysokich obcasach; niosła czerwoną torebkę. Szła w innym kierunku niż ten, w którym jechałem, a ja stałem na środkowym pasie. Po zmianie świateł przedarłem się przez strumień pojazdów i objechałem kwartał. Szła nadspodziewanie szybko, toteż musiałem przejechać jeszcze jeden kwartał. Zaparkowałem przed rogiem ulicy, wysiadłem pośpiesznie i wyszedłem jej naprzeciw. Zmierzała w moją stronę, potykając się i zataczając.

Nie wiedziała, że na nią czekam aż do chwili, w której zastąpiłem jej drogę. Twarz kobiety była poszarzała i spocona, obrzmiała skórę wokół oczu pokrywały smugi. Pod jasnymi włosami widać było kilkucentymetrowe czarne odrosty. Spojrzała na mnie bez zaskoczenia, oburzenia czy odruchowej gotowości do flirtu. Po prostu patrzyła i czekała na mój ruch.

– Podwieźć cię?

– Nie, wolę się przespacerować w palącym słońcu. Czterokilometrowa przechadzka w butach na obcasach dobrze mi robi na kondycję.

– Przyjechałaś autobusem?

– Tak. Spałam mocno, a jakiś skubaniec ogołocił mi torebkę do ostatniego centa. Owszem, chętnie skorzystam z podwózki. Nie zostawił mi nawet miedziaka, żebym mogła po kogoś zadzwonić.

– Mój wóz stoi za rogiem.

Kiedy doszliśmy i otworzyłem jej drzwi, znieruchomiała na chwilę i zapytała:

– Ale nie chcesz mi wywinąć jakiegoś numeru, co, kolego?

– Zawiozę cię tam, gdzie chcesz się dostać.

Przyglądała mi się chwilę, skinęła do siebie głową i wsiadła. Obszedłem samochód i usiadłem za kierownicą. Podała mi wskazówki. W zamkniętej przestrzeni kabiny samochodu dało się wyczuć kwaśną woń jej potu. Kostium był z przodu poplamiony, a kostki palców umorusane ziemią.

Skierowała mnie do miejsca znajdującego się nieopodal motelu, w którym się wcześniej zatrzymałem. Mieszkała przy ulicy biegnącej równoległe do głównej arterii, trzy przecznice od niej. Blok mieszkalny przypominał budynek administracyjny; był długi na pół kwartału, miał jedno piętro i szerokość jednego pomieszczenia. Kobieta kazała mi wjechać na parking za blokiem. Tylne schody prowadziły do wspólnego tarasu, który biegł wzdłuż całego budynku.

Wysiadła z samochodu, zmierzyła mnie wzrokiem i ściągnęła usta tak, że wyglądały jak posiniaczona kokarda; przechyliła głowę. Mówiliśmy sobie po imieniu, nazwisk nie wymieniliśmy.

– Trav, nie będę bawiła się z tobą w żadne gierki, hm? Jestem prawie nieżywa, nie będzie ze mnie żadnej pociechy dla nikogo, jasne? Muszę się porządnie wymoczyć w gorącej wodzie, przespać i nastawić budzik, żeby zdążyć na dziewiątą do roboty. Nie ucieszyli się, że musieli mi dać dwa dni wolnego, a jak pokażę się zmarnowana, będzie kiepsko. Ale całkiem nieźle do siebie dochodzę. Pomyślałam, że możesz wpaść jutro koło szóstej, będę czekała z drinkiem. Możemy wyjść i coś zjeść, podwieziesz mnie do pracy. Mówię ci, będę wyglądała o niebo lepiej, prawie mnie nie poznasz.

– Myślałem, że ugościsz mnie zimnym piwem.

Wydała długie westchnienie i wzruszyła ramionami.

– No to chodź, tylko ostrzegam, że jestem cholernie zmęczona.

Poprowadziła mnie do małego mieszkanca; łóżko było nieposłane, nijakie meble wyglądały jak wypożyczone. Otworzyła mi zimne piwo, a sobie nalała czystego ginu i wrzuciła do niego kostkę lodu; poczekała chwilę, przechyliła szklanekę, zakrztusiła się i skrzywiła okropnie. Do małej wanny wbudowanej w narożnik łazienki z szumem lała się gorąca woda. Gospodyni krążyła po pokoju, zrzucając z siebie buty, żakiet i jasną bluzkę. Od razu mnie zapytała, czy – skoro ją okradziono – nie mógłbym jej pożyczyć trochę pieniędzy, żeby przebiedowała do wypłaty. Odparłem, że owszem, mogę. Zagryzła wargę.

– Ze trzydzieści dolarów? – spytała z wahaniem.

– Może być trzydzieści.

Wzięła banknoty i wepchnęła je do torebki. Nalała sobie drugą szklanekę ginu i zabrała do łazienki, drzwi zostawiła uchylone. Dopilem piwo i wziąłem kolejne z wnęki kuchennej; pchnąłem drzwi i stanąłem, opierając się ramieniem o futrynę. Piłem piwo prosto z butelki.

Siedziała w kucki w małej wannie, woda dochodziła do wierzchów białych naprężonych ud. Zacisnęła powieki i międlila namydloną głowę.

– Wiesz, Betty, próbowałem sobie coś przypomnieć.

– Hm?

– Próbowałem sobie przypomnieć, gdzie cię widziałem.

– Mieszkam w tym mieście od trzech lat, od kiedy przyjechałam z Cleveland. Prawie od roku robię nocki w barze dla zmotoryzowanych, skarbie.

– Parę dni temu. Popraw mnie, jeśli się mylę. Leciałas samolotem z Carson w poniedziałek albo we wtorek?

Opadła na kolana, opuściła białą od mydlin głowę i energicznie ją spłukała. Jej okazałe ciało o bladej skórze miało dość toporne kształty, ale było umięśnione, wytrzymałe i w miarę atrakcyjne. Podniosła się ponownie, namacała ręcznik, odgarnęła włosy do tyłu i osuszyła oczy. Potem wysunęła nogi spod siebie i usiadła w mętnej wodzie.

– To było we wtorek – odparła. – Nie zauważyłam cię, milasku.

– Czy nie byłaś z takim wysokim chudzielcem? Ciemne włosy.

– Zgadza się, ma na imię Ron. Leciliśmy do El Paso. Powiem ci, że to był niezły odjazd. Uwaliliśmy się w samolocie. Ron zna tam wszystkich miejscowych. Ale zrobiło się dziwnie, wiesz? Jak faceci się rozbujają, to sami nie wiedzą, co robią. To dla mnie za dużo szczęścia. Trzeba znać granice, nie? Człowiek potrzebuje czasem odrobiny prywatności.

Przyznałem jej rację. Ziewnęła, przystawiając pięść do ust niczym senna lwica.

– Mówię ci, od wtorku rano ani chwili się nie zdrzemnęłam, nie licząc jazdy autobusem, kiedy mnie okradli. Ten cholerny kierowca ani myślał mi pomóc.

– Często tam latasz? – spytałem.

– Nie, to był trochę dziwny układ. Przedtem nigdy w życiu nie widziałam Rona. Chodziło o przysługę dla jednego gościa. Ron miał znaleźć wysoką blondynkę i w Carson wsiąść z nią do samolotu. Mieli lecieć pod lipnymi nazwiskami na biletach. To chyba było coś w rodzaju przykrywki. Ron poznał tego faceta w barze. A co tam, miałam urlop za darmo.

– Ron też wrócił?

– Nie, powiedział, że stamtąd pojedzie na wybrzeże. Dał mi część forsy, którą zgarnął. Pięć dych. Nic nie uszczknęłam, a później w autobusie mnie

oskubali. Gdybym wydała, tobym je uratowała. Ale kto mógł wiedzieć. Człowiek uczy się przez całe życie.

Uznałem, że nie ma sensu jej dłużej sondować. Buckelberry może to zrobić znacznie skuteczniej i szybciej.

– Trav, słodziutki, może wyjdź i się rozgość, a ja zaraz przyjdę, dobra? Nie będzie ci przeszkadzało, że mam mokre włosy?

Spojrzałem na zegarek.

– To może wpadnę do ciebie jutro?

Znowu ziewnęła i skinęła głową.

– Tak będzie najlepiej, milasku, wierz mi. Dosłownie lecę z nóg.

Wyszedłem i sprawdziłem numer. Mieszkanie numer 11, Fairlea Road 1010. Na dole wisiała skrzynka na listy. Na kartce w kremowym kolorze widniało pięknie wykaligrafowane nazwisko: Elizabeth Kent Alverson.

Pojechałem do hotelu i zatelefonowałem z pokoju do Buckelberry'ego. Nie było go. Oznajmiłem, że to ważne. Powiedzieli, że spróbują do niego dotrzeć. Zadzwonili dziesięć minut później. Podałem mu nazwisko i adres kobiety, poinformowałem, że jest w domu i że to ona udawała Monę Yeoman.

– Na miłość boską, McGee, czy byłbyś łaskaw nie wtykać nosa...

– Wiem, że wolałbyś ją sam znaleźć, Fred. Jasne.

Nastąpiła cisza; wyczuwałem, że gliniarz siłą woli bierze się w karby.

– Jestem wdzięczny za informację – rzekł w końcu szorstkim głosem.

– Ależ nie ma za co. Jednak nie sądzę, żebyś wiele na niej skorzystał.

– Sam to ocenię.

– Oczywiście, panie szeryfie. Udało się dokonać jakichś innych przełomowych odkryć w śledztwie?

– Nie!

– Podjął pan jakieś kroki, żeby zapewnić ochronę Jassowi?

Z trzaskiem odłożył słuchawkę.

Nie byłem z siebie zadowolony. Potraktowałem protekcyjnie funkcjonariusza policji, który wyrastał ponad przeciętną. Czasem bywa tak, że źle się z kimś zacznie i później nie sposób powrócić do równowagi. Jeżyliśmy się na siebie niczym dwa kocury; miałem wrażenie, że gdybyśmy dali sobie po razie w zęby, później wszystko byłoby cacy. Drażnienie się z glinami to durny i niebezpieczny nawyk.

Rozebrałem się, wziąłem prysznic i pomyślałem o Elizabeth Kent Alver-son. Nieco toporny, ale życzliwy egzemplarz, jedna z rzeszy półprofesjonalistek. Chciała balować na okrągło, a powtarzała sobie, że trzeba znać granice, no nie? Jednak z każdym rokiem granica przesuwała się ciut dalej.

Dowiedziałem się przynajmniej tyle, że zamordowanie Mony Yeoman nie było dziełem licznego gangu, jak wcześniej sądziłem. Betty i Ron byli stosunkowo niewinni. Drobną inwestycją w zasłonę dymną. Istniało rzecz jasna ryzyko, że Ron schowa forszę do kieszeni i nie odpłaci się przysługą. Szacunkowa liczba sprawców wydawała się teraz łatwiejsza do ogarnięcia. Może wystarczyło dwóch.

Motywem musiały być pieniądze, cały rewir zalatywał forszą. Widać było, jak ją sobie wyrrywają. Widziałem to w holu hotelu Sage, w oczach dziewczyny sprzedającej w kiosku.

Trzeba ustalić, kto skorzysta na tym finansowo, to zaprowadzi cię do strzelca albo tego, kto go wynajął, pomyślałem. W tym mieście krąży obłąkańcza kasa. Może obawiają się, że woda oligoceńska wyczerpie się niebawem? Zgarniaj forszę i bądź gotów na ewakuację.

Włożyłem świeże szorty i rozciągnąłem się na łóżku; wtedy zadzwonił telefon. To była Isobel Webb.

– Travis?

– Jak sobie radzisz, Isobel?

Westchnęła głęboko.

– Trudno powiedzieć. Najgorsze jest to czekanie. Człowiek nie wie, co myśleć. Nie mam pojęcia, co ze sobą począć, dlatego tu przyjechałam.

– Jesteś w mieście?

– W holu. Pożyczyłam samochód. Pomyślałam, że... Jeśli go znajdą, to gdzieś w okolicy Esmereldy. Możesz zejść i ze mną pogadać?

– Za pięć minut. Czekaj na mnie w barze koktajlowym.

– Posiedzę w holu i zaczekam.

Kiedy do niej podszedłem, wstała niczym posłuszne dziecko. Miała na sobie mysioszary sweter, bezbarwną spódnicę i grzeczne buty. Skryła się za wielkimi ciemnymi okularami. Uśmiechała się niepewnie, nerwowo. Zapro-

wadziłem ją do mrocznego kąta baru koktajlowego, gdzie doszła do wniosku, że napije się sherry.

– W domu jest tak okropnie pusto – zaczęła. – Chodzę w tę i z powrotem koło telefonu. Żony wykładowców starają się być miłe, ale nie znoszę, jak do mnie gruchają.

– Policja znalazła samochód Mony.

– Wiem. Masz mi za złe, że przyjechałam?

– Skądże znowu! Ale będę musiał wyjechać za kwadrans ósma.

– Dokąd się wybierasz?

– Złożę komuś wizytę z Jassem Yeomanem.

– Pewnie wolisz mi o tym nie mówić.

– To trochę skomplikowane.

Zdjęła okulary i napiła się sherry.

– Pracujesz teraz dla niego?

– W pewnym sensie.

– Żeby mu pomóc wyciszyć burzę po tym, co stało się z nią i Johnem?

– Nie. Żeby dowiedzieć się, kto to zrobił.

– A jeśli zrobił to Jass?

– To by znaczyło, że jest najlepszym łgarzem, jakiego w życiu spotkałem.

– A jeśli... A jeśli niczego nigdy się nie dowiemy? – Jej głos nieco się załamał. – Chybabym tego nie zniosła. Tej wiecznej niewiedzy. Nie mam pojęcia, co by się ze mną stało. Nie patrz na mnie z takim smutkiem, nie wpadnę w szal tak jak wczoraj. Śniło mi się, że widzę Johna martwego. Obudziłam się i wciąż go wyraźnie widziałam. Nie żyje, to jasne. Dlatego mogłam wyjechać z naszego domu. Wiem, że nigdy tam nie wróci.

– Spokojnie, Isobel.

– Nic mi nie jest. Chcę tylko wiedzieć.

– Dowiemy się.

– O tak. Ty, pan Yeoman i ten szeryf. Dowiecie się, prawda? A może już wiecie.

– Ta twoja paranoiczna podejrzliwość, Isobel. Świat nie uwziął się na ciebie, nikt przeciwko tobie nie spiskuje.

– Wczoraj przejrzałam papiery Johna. Miał polisę ubezpieczeniową opiekującą na dwadzieścia tysięcy dolarów, grupowe ubezpieczenie academic-

kie. Jestem beneficjentką. Kiedy znajdą ciało i dostanę pieniądze, dam ci połowę, żebyś dowiedział się, kto go zabił.

– To nie jest konieczne.

– Chcesz wiedzieć, co zrobię z tą forszą?

– Nie.

– Wciąż mam tę dzierżawę, której nie można na nikogo przenieść. Wrócę na wyspę. Ojciec zmienił jej nazwę na Webb Cay. Załatwię remont domu, mogę tam żyć z odsetek od tych dwudziestu tysięcy i nigdzie się stamtąd nie ruszać. Boże, jak ja mam dosyć ludzi. Wystarczy mi po kres moich dni. Tam będę zadowolona. W tym wcieleniu mi się nie powiodło. Będę liczyła dni i czekała na następne.

Wyjąłem z kieszeni marynarki tubkę, którą kupiłem w aptece, i położyłem przed Isobel.

– Mały podarunek. To jest krem ochronny do twoich ust.

Ujęła tubkę w dłoń, spojrzała na etykietkę i rozplakała się.

9

Powiedziała, że wcale a wcale nie jest głodna. Zabrałem ją na danie z grilla i pochłonęła ogromny stek; wytłumaczyła, że to na pewno z powodu wypitego sherry. Nakarmiona zaczęła ziewać, głowa jej opadła. Za kwadrans dwudziesta dałem jej klucz do mojego pokoju, żeby przeczekała czas, kiedy będę z Jassem.

Spóźniłem się o kilka minut. Yeoman przechadzał się po podjeździe. Mruknął gderliwie na powitanie, a następnie potraktował swojego wielkiego chryslera niczym wóz sportowy. Wystrzeliliśmy z miasta jak z procy i pomknęliśmy na północ w kierunku rewiru klanu Ruperta. Noc miała granatowy odcień i była chłodna, nad zachodnim horyzontem majaczył nikły pasek czerwieni.

Doznałem dziwnego wrażenia nierealności; czasem spada nagle na człowieka poczucie, że nie wie, skąd się wziął w danym miejscu i co tam właściwie robi. Nie znałem tego starego szorstkiego łobuza, nie znałem jego żony, nie zamierzałem tak głęboko angażować się w jego poczynania. I raptem nieumyślnie zrzekłem się części mojej niezbywalnej suwerenności. Poczuję się nieswojo w roli kryptopracownika. W łóżku w moim pokoju hotelowym spała bardzo dziwna dziewczyna. A gdzieś tam w granatowej ciemności wysoka blondynka i wykładowca uniwersytecki spali o wiele twardszym snem.

- Nie wie, że przyjadę – mruknął Jass.
- Hm.
- Nigdy nie wychodzi z domu, wieczorem zawsze jest u siebie.
- A co ja mam robić, Jass?
- Być obok, przyglądać mu się i słuchać. Później powiesz mi, w co uwierzyłeś, a w co nie.

– To ty go znasz, ja zobaczę gościa po raz pierwszy w życiu.

– W przypadku Ruperta nie robi to wielkiej różnicy.

Posiadłość leżała dwadzieścia kilometrów od miasta; musiałem wysiąść, otworzyć wielką bramę rancza i zamknąć ją, kiedy Jass wjechał. Przejechaliśmy jeszcze z pół kilometra i dotarliśmy do rozległego kompleksu domów ranczerskich, stodół, budynków dla robotników oraz innych obiektów. Jass zaparkował przed największym domostwem i wysiedliśmy. Panowała tam atmosfera nocnego życia i krzątaniny. Paliły się światła, grała muzyka, słychać było bawiące się dzieci, ludzie szwendali się między budynkami. Droga, którą przybyliśmy, odjechały dwa samochody.

Jakiś mężczyzna wynurzył się z cienia i skierował na nas światło latarki.

– Pan Yeoman, prawda?

– Chcę się widzieć z Wallym.

– Niech pan chwilę zaczeka, proszę pana.

Upłynęło dobre pięć minut, nim wrócił.

– Pan Rupert kazał zaprowadzić panów do głównego domu i powiedział, żeby tam panowie na niego czekali. Skończy robotę i przyjdzie.

Weszliśmy za nim do domu i znaleźliśmy się w długim salonie z dwoma kamiennymi kominkami, trofeami myśliwskimi na ścianach i głębokimi skórzanymi fotelami. Mężczyzna wskazał nam mały barek w kącie pokoju.

– Proszę się częstować, panowie. – Potem wyszedł.

Nalałem drinka sobie i Jassowi.

– Sęk w tym, że nigdy nie wiadomo, jak daleko Wally się posunie w jedną lub drugą stronę – rzekł, biorąc ode mnie szklankę. – Gdybyśmy dalej ze sobą blisko współpracowali, pożarłby mnie bez dwóch zdań, choć pomału. Niby dlatego, że każda najmniejsza rzecz kosztuje go masę wysiłku. Musiałem się od niego uwolnić. Nadal mamy parę małych biznesów, kontaktujemy się jednak wyłącznie przez prawników, a oni wiele nie ujawniają. Ale, na Boga, powinien mieć tyle przyzwoitości, żeby mnie ostrzec. Choćby nie wiem co.

Zadałem pytanie, lecz Jass pominął je milczeniem, jakby do niego w ogóle nie dotarło. Odpuściłem. Po chwili usłyszałem, że ciężkie drzwi się zamykają. Stojący przy nich rosły mężczyzna popatrzył w naszą stronę. Miał szerokie bary, wielkie brzuszysko i pałkowate nogi. Jego garnitur był czarny jak u wiejskiego diakona, do tego nosił białą koszulę i ciemny krawat. Stał z opuszczoną brodą i spoglądał na nas spod krzaczastych siwych

brwi; światło odbijało się od jego łysiny. Miał zakrzywiony nos, duże, ale wąskie usta. Roztaczał aurę męskiej siły, której źródłem było wewnętrzne poczucie własnej władzy. Zachowywał się jak założyciel dynastii, byk na pastwisku. To, że miał trzy żony i tabun dzieci, stanowiło naturalne następstwo działania kontrolowanej energii, którą w sobie nosił.

– Nie cierpię przeszkadzać komuś, kto trzusi się pomnażaniem forsy – odezwał się Jass.

Rupert popatrzył na mnie i powoli wszedł do pokoju. Poczujęm się w jego obecności tak, jakbym chciał go za coś przeprosić.

– Poznaj Trávisa McGee – przedstawił mnie Jass. – Pracuje dla mnie.

Rupert gapił się dopóty, dopóki nie zakończył tego swoistego przeglądu, a potem podszedł do barku i nalał do wysokiej szklanki wody sodowej bez lodu.

– Usiłowałem sobie przypomnieć, kiedy tu ostatnio byłeś, Jasperze – powiedział głosem, którego brzmienie mnie zaszokowało. Najwyraźniej chorował na gardło; każde słowo wydostawało się z niego osobno, miało równy ton i nacisk. Wally Rupert mówił jak maszyna, którą nauczono ludzkiej mowy.

– Po śmierci Catherine.

– Czyli dawno temu – stwierdził Rupert. Usiadł na skórzanym fotelu, jego twarz skrywał cień.

Jass nachylił się ku niemu.

– Dotarła do mnie pewna informacja, Wally. Władze zbierają przeciwko mnie dowody. To duża sprawa. Dowiedziałem się, że współpracowałeś ze śledczymi.

– Tak.

– Nie mogłeś mi dać cynku?

– Dlaczego?

– Tego wymaga przyzwoitość, do jasnej cholery.

Rupert milczał przez chwilę; wydawało mi się, że ta chwila trwa cholernie długo.

– Kiedyś sobie pomagaliśmy, Jasperze. Nie z miłości. Robiliśmy różne rzeczy, żeby przetrwać. To była niebezpieczna gra. W sprawach o oszustwo podatkowe nie obowiązuje przedawnienie. Teraz każdy musi sam o siebie zadbać, a nie liczyć na drugiego. Chciałbyś wiedzieć, czy poszedłem z nimi na układ. No pewnie. Jaki? Zeznałem pod przysięgą wszystko, co pamięta-

łem. Dokumenty znikły, wiesz o tym. Chcieli, żebym cię nie informował, zgodziłem się. Zawarłem z władzami ugodę. Lepszą, niż mógłbym się spodziewać, i teraz jestem czysty. Nie zniszczą mnie ani nie wsadzą do więzienia. Jeśli postawią ci zarzuty z Kodeksu karnego, będę zeznawał. To część układu.

– Ty skurwielu – wyszeptał Jass.

– Po co te emocje? Jak miałem postąpić? Być porządny i skrzywdzić rodzinę po to, żeby tobie nie zaszkodzić? Głupiec z ciebie, Jasperze. Gdybyś lepiej uważał, domyśliłbyś się, co zamierzają i do czego dążą, może zdążyłbyś się zabezpieczyć, póki był jeszcze czas. Nawet teraz wciąż masz szansę się wyślizgnąć, jeśli dobrze wszystko zaplanujesz i nie ściągniesz na siebie uwagi, spieniężając to, co trzymasz w garści.

– Zdaje się, że mam to wszystko gdzieś – odrzekł Yeoman.

Po raz pierwszy wyczułem, że Walter Rupert został lekko wytrącony z równowagi.

– Jak to?

– Przypuśćmy, że nie wyśpiewałeś im wszystkiego.

– Nie rozumiem.

– Mogłeś powiedzieć to, co przedstawia mnie w najgorszym świetle i zachować dla siebie te informacje, które czynią złodzieja także z ciebie. Może jeśli śledczy dowiedzą się więcej, zajdą do ciebie ponownie.

– Mów do rzeczy, Jasperze.

– Chcieli porozmawiać z Moną.

– I co z tego?

– Czy mogłaby cię trochę obsmarować? Ona i jej prawnik to i owo wygrzebali.

– No i co z tego?

– Nie udało im się z nią pogadać.

– Ale to zrobią. Powinieneś dopilnować, żeby trzymała buzię na kłódkę. Cokolwiek powie, bardziej zaszkodzi tobie niż mnie.

– Słyszałeś, że Mona uciekła z tym nauczycielem akademickim?

– Owszem, coś mi się obilo o uszy.

– Nie uciekła. Ktoś zabił oboje i postarał się, żeby upozorować ich ucieczkę.

– Teraz wiem, dlaczego zmarnowałeś czas i przyjechałeś tutaj – odezwał się po długim milczeniu Rupert. – Ja nie mam twoich wad, nie podniecają

mnie takie rzeczy. Odpowiedź brzmi nie. Gdyby ktoś stanowił dla mnie duże zagrożenie, gdybym nie miał innego sposobu, mógłbym go zabić. Ale nie byłoby w tym żadnej niezręczności. Skoro wiesz, że nie uciekła, to znaczy, że ten, kto zaplanował całą sprawę, coś spartaczył. Ja musiałbym mieć pewność, że nic nie wymknie mi się spod kontroli, bo inaczej bym nie ryzykował. Nie, Jasperze. Nie była dla mnie żadnym zagrożeniem. Widzisz, kiedy postanowiłem zawrzeć układ z władzami, stwierdziłem, że niczego nie będę ukrywał, nawet drobiazgów, które nie miały z tobą nic wspólnego, i o których nie wiedziałaś. Bo zdawałem sobie sprawę, że będziesz walczył. A tak nie możesz powiedzieć im o mnie nic, co by ich zaskoczyło. Wszystko sobie przemyślałem. Nie jestem przyjemniaczkiem, jeśli się nad tym zastanowić. Może ty też nim nie jesteś.

Jass wstał szybko i spojrzał z góry na Waltera Ruperta.

– Nie budzisz we mnie strachu, Wally, choć wielu się ciebie boi. Twoi ludzie są tacy spietrani, że zrobią wszystko, byle ci się podlizać. Wystarczy jedno twoje słówko i chwytają za sploty. Co ty na to?

– Nie, Jasperze.

– Skąd masz pewność?

– Wiem zawsze, co każdy z nich robi – odpowiedział Rupert; jego oczy były prawie zamknięte. – Poczytuję to sobie za obowiązek. Niektórzy moi synowie są bardzo cwani. Przykro mi, że twoja mała dziewczynka nie żyje. Ale to nie ma nic wspólnego ze mną i moim klanem. Dobranoc, Jasperze.

Nie wstał, nie odezwał się ani nawet nie poruszył swoją dużą głową, kiedy wychodziliśmy.

Spodziewałem się mrozącej krew w żyłach jazdy powrotnej, tymczasem Jass jechał wolno.

– I co o tym myślisz? – zapytał.

– Nie wiem, chyba mu wierzę... Wygląda na nietuzinkowego faceta.

Jass prychnął.

– Nietuzinkowego! Świat by nie przetrwał, gdyby było więcej takich jak on.

– Domyślam się, że mocno ci nabruździł w związku z tym śledztwem podatkowym.

– To będzie kłopotliwe.

– Tylko tyle?

– Może mi trochę dopiec. Może mnie trochę kosztować. Mam wielki kufer starych dokumentów. Będę przeciągał sprawę, ile się da, a kiedy zrobi się naprawdę gorąco, nagle je wszystkie odnajdę. Wiele z nich jest w porządku albo choć częściowo w porządku, a wiele innych nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Zanim rzecz zbliży się do rozstrzygnięcia, władze zaczną lawirować w stronę ugody. Jeśli ugoda nie przypadnie mi do gustu, może znajdę w jakimś magazynie jeszcze ze dwie skrzynki pełne starych papierów. Mogę długi czas zatrudniać dziesięciu księgowych i dziesięciu adwokatów. Nawet do końca życia. A potem, kogo to obchodzi?

– Musieliście stanować niezłą parkę. Lis i łasica.

– Waż słowa, synu.

– Jak wdowy i sieroty zdołały przeżyć, kiedy wy dwaj tutaj kłusowaliście?

– Same ustawiały się w kolejce, chłopcze, zawsze tak robią. Wystarczy zadzwonić dzwonkiem i frajerzy pędzą ile sił w nogach. Na tym świecie albo ty bierzesz, albo ciebie biorą. Figury łąą, ałgarze odgrywają figury. Jedynie, co warte jest zachodu, to szklanka dobrego bourbona, wygodne łóżko i baba. Codziennie na świecie pojawia się sto pięćdziesiąt tysięcy nowych łebków. Słońce zajdzie nad wszystkimi oprócz jednego czy dwóch, zanim zdążą unieść głowy. Dlatego trzeba zarzucać sieci, dopóki masz szansę.

– Filozofia życiowa Jaspera Yeomana.

– Jak dotąd się sprawdzała.

– Sprawdzała się bez pudła, Jass – powiedziałem, kiedy skręcił na podjazd i parkował samochód. – Wyglądasz jak okaz szczęścia i zdrowia.

Ruszyliśmy w stronę drzwi domu.

– Ale pomyśl, że żyłem jak król, i to długo.

– Podobałeś mi się trochę bardziej, kiedy opowiadałeś o grzebaniu zająca, panie Yeoman.

– Tak dla porządku, żeby wszystko było jasne – odparł Jass – kochałem tę kobietę.

Zatrzymał się oburzony, zwracając się lekko w moją stronę. W głębokim cieniu zalegającym wokół domu dostrzegłem niewyraźny kształt, który wystrzelił z wysokich krzewów i śmignął w stronę Yeomana. Był jakieś trzy metry od niego, trochę z boku. Uchwyciłem wzrokiem drobny refleks światła odbitego od wąskiej, nisko trzymanej klingi. Omal się nie zakrztusiłem. Widok noża potrafi wywołać taką reakcję, nagły bezwład w dolnej części

brzucha. To zdumiewające, jak niewielu ludzi zdobywa się na odwagę, by użyć tej broni. Ryknąłem głośno i rzuciłem się przed siebie. Krzyk to oręż psychologiczny, nierzadko paraliżujący. Uderzyłem ramieniem Jassa, zwalając go z nóg i strącając ze ścieżki. Udałem, że padam na lewy bok, a poleciałem na prawy. Przetoczyłem się i rąbnąłem uniesionymi nogami w ciemną postać intruza. Trafiłem go mocno obiema stopami. Krzyknąłem ponownie, a potem jeszcze raz przetoczyłem się i oparłem na palcach rąk i nóg. Zająłem pozycję twarzą do napastnika. Prawie leżał na ziemi, z trudem łapiąc oddech i stękając. Pozbierał się jednak i ignorując mnie, nisko pochylony znów rzucił się z nożem w kierunku Jassa. Ten wypalił mu z pistoletu dwa razy w twarz i zrobił unik jak matador. Ciemna postać zwała się ciężko na ziemię, zacharczała, drgnęła raz, po czym znieruchomiała. Nóż z metalicznym odgłosem potoczył się po ścieżce.

– Boże, jak ja nienawidzę noży! – wyszeptał chrapliwie Jass.

Zapalały się światła, podniecone głosy rzucały pytania. Dwóch mężczyzn nadbiegało podwórzem. Rozbłyśły reflektory włączone przez kogoś wewnątrz domu. Mężczyźni mieli na sobie mundury.

– Panie Yeoman! Panie Yeoman, nic się panu nie stało? Boże drogi, co to były za wrzaski?

– Nic mi nie jest. Myślałem, że Fred każe wam mieć oko na mój dom.

– Przysięgam, że go pilnowaliśmy.

– Zobaczmy, kogo tu mamy.

Reflektory świeciły mocnym światłem, lecz policjanci wspomagali się latarkami. Na podwórze wyległa służba domowa, przezornie trzymając się w pewnej odległości od leżącego ciała.

– Kimkolwiek jest ten człowiek, już nie żyje, to pewne – stwierdził jeden z zastępców szeryfa. – Pan go zastrzelił, panie Yeoman?

– Tak myślisz, bo widzisz pistolet w mojej dłoni i nóż, z którym ten tutaj się na mnie rzucił? Skąd ci przyszedł taki pomysł do głowy?

– Ja tylko...

– Zamknij się – przerwał mu Jass. Podszedłem bliżej. Policjanci przetoczyli napastnika na plecy. Był młody, jego fryzura ułożona z pomocą brylantyny straciła swój wymyślny kształt. Zmasakrowana twarz miała charakterystyczny wyraz latynoskiego zawadiaki. Pasowała do obcisłych spodni i brudnej zapinanej koszuli w prążki, którą okrywała ciemnozielona marynarka z syntetycznej satyny. Widywałem takich na setkach rogów ulic

w wielu miastach, spoglądali na mnie wyzywająco i głupawo zarazem, stojąc z leniwą kocią gracją.

Gliniarze przetrząsnęli jego kieszenie. Miał przy sobie sto dolarów, dziesięć dziesiątek zwiniętych w ciasny rulonik związany gumką, i osiemdziesiąt osiem centów w bilonie. Żółty plastikowy grzebień. Na jego rękę połyskiwał złoty zegarek pokazujący czas we wszystkich stolicach świata. Czarne zamszowe buty miały grube gumowe podeszwy. Nie nosił skarpet, na palcu miał tombakowy sygnet, talizman na szczęście z dwoma splecionymi wężami.

– Darł się jak opętany, może to jakiś wariat – spekulował jeden z zastępców szeryfa. – Znasz go, Carl? Bo ja go nie znam. Zna go pan, panie Yeoman...?

– Nikt go nie zna – wpadł mu w słowo Jass. – Wezwijcie kogoś przed radio, niech zabierze to ścierwo z mojego podwórza. To jest pan McGee, był świadkiem całego zajścia. Dom znajduje się poza granicami miasta, więc to jest sprawa dla komendy okręgowej.

– Panie Yeoman, powinien pan wejść do domu i...

– Fred dobrze wie, gdzie mnie szukać. Ja i pan McGee w każdej chwili będziemy gotowi odpowiedzieć na pytania. Przekażcie Fredowi, że pierwszy punkt jego programu zajęć polega na tym, żeby się dowiedzieć, co to za śmieć. Biegiem, do roboty! A wy tam wracajcie do chałupy, gdzie wasze miejsce! Miguel, przynieś tu duży kawał szmaty. Trzeba przykryć tego tutaj, tylko migiem. Trav, wejdźmy do domu i się napijmy.

Weszliśmy, Jass zatrzasnął za sobą drzwi. Pały się światła, w kominku czekały przygotowane szczapy. Przykucnął i je podpalił. Nie zmieniając pozycji, odwrócił głowę, spojrzał na mnie z ukosa i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Odblask płomieni rzucał cienie na jego surową twarz.

– Jak na swoje gabaryty, żwawo się ruszasz, synku. Szybko i sprytnie. Wystraszyłeś mnie na śmierć i zważyłeś z nóg, a basowałeś przy tym jak stary parowiec.

– A ty szybko się pozbierałeś.

– Żaden ze mnie rewolwerowiec. Dałeś mi trzy czy cztery sekundy na to, żebym się przygotował. Noszę go od paru dni w tej małej kaburze wpuszczonej za pasek.

Wstał, wyjął broń, sprawdził, czy jest zabezpieczona, i podał mi ją. Cofnąłem rękę.

– Nie utrudniajmy sprawy laborantom, Jass.

Odłożył pistolet i pokręcił głową.

– Te twoje ryki.

– Chodzi o to, żeby narobić rabanu i zbić delikwenta z tropu. Wtedy działa instynktownie, a instynkt czasami każe mu wziąć nogi za pas.

– Prawie go zabiłeś kopniakiem.

– Taki mniej więcej był mój zamiar.

Podszedł do baru, nalał drinki i podał mi szklanę.

– Widziałeś go, naprawdę był dla mnie groźny?

– Czaił się przy ziemi i nisko trzymał nóż, wydaje mi się, że chciał ci go wpakować prosto w krzyż.

– Zarobiłeś na premię.

– Wedle życzenia.

Na ścianach pokoju pojawiły się rytmicznie pulsujące odbłaski czerwonego światła. Gospodarz zbliżył się do okna i odsunął zasłony.

– Ładują go do samochodu. Obok takich domów jak mój policja nie włącza syren.

Spojrzał na zegarek, podszedł do radia stojącego na stole obok baru i włączył odbiornik.

– Wiadomości o dwudziestej drugiej zaczynają od lokalnych.

– ...został wstępnie zidentyfikowany jako profesor John Webb z Uniwersytetu State Western w Livingston, który jak dowiedzieliśmy się od szeryfa Freda Buckelberry'ego, zaginął w poniedziałek po południu. Zwłoki znaleziono dzisiaj wczesnym wieczorem, kiedy ekipa pracowników drogowych usuwała kamienie, które zatarasowały prywatną drogę na południowy wschód od miasta. Droga prowadzi do górskiej chaty, której właścicielami są państwo Yeoman. Prace porządkowe na szosie wykonywano na specjalne życzenia szeryfa okręgowego, aby umożliwić dojazd do chaty samochodem ze sprzętem laboratoryjnym. Mona Yeoman, atrakcyjna jasnowłosa żona Jaspiera Yeomana, mieszkańca naszego miasta, zaginęła we wtorek w południe. Ostatnio widziano ją w górskiej chacie Yeomanów. Policja żywi najgorsze obawy. W krótkim oświadczeniu szeryf Buckelberry oznajmił, że jednoczesne zniknięcie profesora Webba i pani Yeoman trzymane w tajemnicy, by policja mogła zbadać kilka tropów, które pojawiły się w tej sprawie. W każdej chwili spodziewane są następne odkrycia. Przyczyny śmierci profesora Webba nie zostały jeszcze ustalone. A teraz przechodzimy do wy-

darzeń ogólnokrajowych... Przepraszam, właśnie otrzymałem biuletyn. Przed kilkoma minutami zastrzelono zamachowca na dziedzińcu rezydencji Yeomanów. W tej chwili nie mamy dalszych informacji na ten temat.

Jass burknął i wyłączył radio.

– Nie ma już czegoś takiego jak prywatność, chłopcze. Mieszkamy na wystawie sklepu przy głównej ulicy. Znaleźli go pod osuwiskiem kamieni. To znaczy, że tamci wysadzili skałę, żeby go przywalić. To ci dopiero przyczyna śmierci. I dziwne miejsce na ukrycie zwłok.

W takich sprawach trzeba zakładać, że przestępcy kierują się jakąś logiką. Nie zasypali go kamieniami, ot tak sobie. Górską chatę stała na odłuziu, toteż można było zakładać, że droga nie od razu zostanie oczyszczona. Jednak prędzej czy później kamienie musiały być usunięte, a ciało zidentyfikowane. Widzicie, profesorek nie żyje! A więc nie czmychnął z panią Y. Czyli ona także jest trupem. A gdyby młodzian wsadził nóż tam, gdzie zamierzał go wsadzić, wyszłoby na to, że zgon żony nastąpił przed śmiercią Jassa.

10

Wyrwałem się z domu Yeomana dopiero dwadzieścia po jedenastej. Fred Buckelberry przyjechał ze swoim zastępcą i stenotypistką. Udawał bardzo zmęczonego. Trzy razy kazał mi opowiadać, co widziałem. I przyrzec, że w piątek po południu przyjadę do jego biura i podpiszę zeznanie. Jass Yeoman działał w samoobronie, trudno o bardziej oczywisty przypadek. Gdyby chybił, zamachowiec wpakowałby mu ostrze noża prosto w brzuch.

Denata nie udało się zidentyfikować. Biuro szeryfa zwróciło się z tym do Phoenix.

– Jass, gdyby był spłukany, to wiesz, jak to jest – powtarzał zmęczonym głosem Buckelberry. – Ładne domy, facet usiłuje gwizdnąć auto albo czyjś portfel. Ale miał przy sobie sto dolców.

– Fred, chciałbym ci pomóc – odpowiadał łagodnie Jass. – Ale wiem tyle samo co ty.

Tuż przed moim wyjazdem Buckelberry powiedział mi, że panna Webb zatelefonowała do niego po tym, jak znaleziono ciało profesora. Jej głos zdradzał wielkie zdenerwowanie; prosił ją, żeby do niego przyjechała, lecz odłożyła słuchawkę.

Nie marnowałem czasu, chciałem czym prędzej dostać się do hotelu. Szybka jazda po mieście to niebezpieczna i wymagająca sztuka, jednak mój umysł uparcie wdawał się w spekulacje o śmierci Johna Webba. Przypominał w tym szczeniaka, który podgryza brzeg dywanu. Kiedy wspinaliśmy się z Moną Yeoman po osuwisku kamieni, Webb już pod nimi spoczywał. Jass słusznie zauważył, że to dziwne miejsce na ukrycie zwłok. Było jasne, że droga zostanie uprzątnięta, a ciało znalezione. Zastanawiałem się, czy to był groteskowy wypadek. Może morderstwo zaplanowano tak, by przypo-

minało krwawą farsę filmową, w których wyspecjalizowali się Brytyjczycy. Wszystko idzie nie tak, jak powinno, z szaf co rusz wypadają trupy.

Jeżeli krył się za tym jakiś plan i jeśli ktoś nadal go realizował, to należało zadać tylko jedno pytanie: Jak przedstawiałaby się sytuacja, gdyby nóż pozbawił życia Jassa Yeomana? Kto by na tym skorzystał? Jakaś starsza pani z Yumy? Klan Ruperta? I czy ciało Mony spoczywa w osobliwym, rzucającym się w oczy miejscu?

Postawiłem samochód na hotelowym parkingu, poszedłem do recepcji i wziąłem drugi klucz do pokoju. Nie było dla mnie żadnych wiadomości. Wszedłem na górę i do pokoju. Isobel leżała na dalszym z dwóch szerokich łóżek. Lampa stołowa była zapalona, słaba żarówka jarzyła się za pomarańczowym abażurem. Isobel spała na kołdrze w ubraniu, zdjęła tylko buty i przykryła się żółtym kocem. Zauważyłem wiadomość napisaną na hotelowej papeterii; spoczywała na zielonym bloczku pod lampą. Postanowiłem jej nie budzić, nawet gdyby w liściku napisała co innego. Bezszelestnie zamknąłem drzwi i cicho podszedłem do biurka.

To była dziwna wiadomość, bez pozdrowienia i podpisu.

Nic już nie ma sensu. Może przy następnym podejściu bardziej mi się poszczęści. Kiedy wszystko zostanie załatwione, przekaz resztę pieniędzy na uczelniany fundusz stypendialny.

Z przerażeniem uświadomiłem sobie, co oznaczają te słowa, i w trzech szybkich krokach zbliżyłem się do niej. Dłonie spoczywały bezwładnie i były zimne jak lód. Serce biło bardzo słabo, oddech wydawał się boleśnie powolny. Potrząsnąłem nią, trzepnąłem ją w policzek. Jęknęła cicho na znak protestu jak osoba uśpiona lekami. Wziąłem słuchawkę do ręki i kazałem jak najszybciej przysłać na górę lekarza. Poprosiłem o dzbanek czarnej kawy. Przeklinając Isobel, zapaliłem wszystkie światła, a potem wziąłem ją na ręce i zaniósłem do łazienki. Była wiotka jak szmaciana lalka. Potrząsałem nią i krzyczałem. Posadziłem ją w kącie obok wanny, a następnie w pośpiechu przygotowałem kubek ciepłej wody zmieszanej z kremem do golenia. Ukłęknałem przy Isobel, siłą rozchyliłem jej usta, przechyliłem głowę w tył i wlałem miksturę do gardła. Część rozlała się na sweter, jednak gardło z powolnym wysiłkiem przyjęło płyn. Na szczęście odruch pozostał. Nie miałem pewności, czy ilość jest wystarczająca. Przygotowałem następną porcję i wmusiłem w nią pół kubka. Dźwignąłem Isobel i ułożyłem brzu-

chem na skraju wanny. Klęczałem obok niej, podtrzymując ciało; wsunąłem jej dwa palce do gardła. Uciskałem miękką nasadę języka i zacząłem wpaść w rozpacz, gdy nagle poczułem, że mięsień zaczyna się zaciskać. Nastąpiły głębokie łagodne torsje, rozległ się stłumiony odgłos wypływającej z żołądka mydlanej wody zakwaszonej przez treść żołądkową. Kiedy przestała wymiotować, pobudziłem ją ponownie i tym razem reakcja nastąpiła prędzej. Zadawałem sobie pytanie, gdzie, do jasnej cholery, podziewa się lekarz.

Zsunąłem Isobel z wanny, odwróciłem ją, oparłem plecami o ścianę, i zdarłem z niej ubranie, nie przejmując się tym, że pęka w szwach. Stanik, majtki i krótka halka były tak samo pozbawione ozdób i nijakie jak buty. Odkręciłem prysznic i zimną wodą spłukałem wannę, rozsuwając zasłonę. Następnie posadziłem Isobel w wannie, ustawiając nachylenie i otwory prysznica tak, by zimna woda solidnym szerokim strumieniem lunęła na twarz i tułów dziewczyny. Poruszała głową na boki i wydawała prawie niesłyszalne jęklive odgłosy, które ledwo przebijały się przez łoskot lejącej się wody.

Gdy rozległo się natarczywe pukanie do drzwi, poszedłem je otworzyć. Mijając biurko, wsunąłem kartkę do kieszeni. Lekarz miał zaokrągloną sylwetkę, na jego różowej twarzy malował się smutny uśmiech utrudzonego człowieka. Zaprowadziłem go do łazienki. Isobel osunęła się niżej na ściance wanny. Zakręciłem wodę. Lekarz wziął ręcznik i szorstko wytarł twarz dziewczyny. Kiedy mierzył jej puls i unosił palcami powieki, opowiedziałem mu szczegółowo, jakie czynności podjąłem.

– Co połknęła?

– Nie mam pojęcia.

– Proszę poszukać, może uda się znaleźć opakowanie.

W koszu obok biurka znalazłem plastikową buteleczkę.

Nie było na niej etykiety. Zaniósłem opakowanie lekarzowi. Na dnie została niewielka ilość białego proszku. Wytrząsnął go na dłoń, powąchał, wziął odrobinę na zwilżony palec i spróbował.

– Barbiturany – mruknął pod nosem. Dziewczyna pochrapywała. Lekarz wymamrotał coś do siebie, wsunął rękę do otwartej walizeczki i wyjął strzykawkę jednorazową oraz fiolkę z gumowym wieczkiem zawierającą jakiś bursztynowy płyn. Ułożył rękę dziewczyny na brzegu wanny, natarł

alkoholem miejsce nad łokciem, napełnił strzykawkę i zręcznie podał zastrzyk.

– Będzie jej lepiej w szpitalu – oznajmił, wstając z klęczek.

– Czy to konieczne?

– To pańska żona?

– Nie, doktorze. Jeśli grozi jej śmierć, oczywiście trzeba ją zawieźć do szpitala. Ale proszę posłuchać, ta mała ma silne skłonności neurotyczne. Nazywa się Webb, dziś wieczorem znaleziono zwłoki jej brata.

Lekarz uniósł brwi.

– Słyszałem o tym.

– Pracuję dla Jaspera Yeomana, poznałem tę dziewczynę. Myślę, że jeśli zrobi się z tego poważny przypadek wymagający hospitalizacji, ona uczyni wszystko, żeby sprostać diagnozie. Jeśli pan go zbagatelizuje, będzie dla niej lepiej. Oczywiście pod warunkiem, że jej życie nie jest zagrożone.

Mężczyzna oparł się o umywalkę i zmarszczył czoło. Chciał coś powiedzieć i wtedy przyniesiono kawę. To chyba przesądziło. Skinął głową na znak aprobaty.

– Podam jej środek stymulujący. Zobaczmy, czy uda się zmusić ją do chodzenia.

Unieśliśmy Isobel, okryłem ją moim szlafrokiem i zawiązałem pasek. Lekarz wymierzył dziewczynie trzy szybkie policzki, a potem przystawił usta do jej ucha i powiedział:

– Musisz iść! No, dalej! Nogi w ruch!

Podtrzymałem ciężar jej ciała. Isobel zrobiła kilka niepewnych kroków, kiwając głową i poruszając nogami cienkimi jak makaron.

– Dobrze – pochwalił lekarz – niech się rusza. Proszę napić ją kawą, żeby nie zasnęła. Niech pan skorzysta ponownie z zimnego prysznica, jeśli będzie trzeba. Proszę ją zmusić do mówienia, niech liczy do setki, recytuje alfabet. Niech robi cokolwiek. Nie wiem tylko, czy mogę na panu polegać.

– Może pan.

Przyglądał mi się, wydymając usta.

– Wróć tutaj o czwartej rano. Wtedy, jeśli wszystko będzie w porządku, pozwolimy jej zasnąć. Ale do tej pory powinna o to błagać.

– Dziękuję, doktorze.

– Dobrze się pan spisał, zanim przyszedłem. Po drodze zajrzę do recepcji, mają tam nietęgę miny. Zameldował się pan jako samotny mężczyzna.

– Lekarz pierwszy raz pozwolił sobie na nikły uśmiech. – Wypowiem magiczne zaklęcie: Yeoman. Dadzą panu spokój. Oto numer mojego telefonu. Jeśli pacjentka zacznie się panu przelewać przez ręce, jeśli nie będzie reagowała na bodźce, proszę mnie natychmiast wezwać. Ja także podejmuję ryzyko. Nie, proszę się nie zatrzymywać. Ona musi chodzić. – Ruszył w kierunku drzwi i zmierzył mnie niepewnym wzrokiem. – To bardzo ładna dziewczyna.

– Nekrofilia nigdy mnie nie pociągała, doktorze.

Trafność tego określenia dodała mu otuchy. Skinął głową i wyszedł. Przewadziłem Isobel, jakbyśmy byli na spacerze, popędzałem ją, zmuszając, żeby sama dźwigała ciężar swojego ciała. Łapałem ją, kiedy się osuwała, a potem policzkowałem i szarpałem. W którymś momencie wlałem jej do ust porcję parującej kawy, wepchnąłem ją pod prysznic. Jęczała głośniej i z większą irytacją. Wciąż była bezwładna jak szmaciana lalka. Była rzeczą. Denerwującym, męczącym obowiązkiem. Człapała, wyrywała się do przodu i mamrotała tak niewyraźnie, że nie rozumiałem ani słowa. Jej głowa kiwała się na wszystkie strony. Potworny obraz egoistycznej autodestrukcji. Niech ktoś inny pozbiera mnie do kupy.

Długo, przez godzinę lub dwie, budziły we mnie ironiczny uśmiech słowa lekarza, który określił ją mianem ładnej dziewczyny. Ja tymczasem musiałem się zmagać z kluchowatym, tłustawym, bladym zewłokiem o mokrych włosach, otwartych ustach i oczach jak ciemne szparki. Stawiałem ją pod prysznicem, a ona znosiła to jak posłuszna maciora, stercząc nieruchomo i ociekając strumieniami wody. Nabrałem wprawdy w pojeniu jej kawą. I zmuszałem do chwiejnego chodzenia, przytrzymując ją pod pachami. Nagle coś się zmieniło. Ponownie zwiotczała, toteż postawiłem ją pod prysznicem, ściskając jedną ręką za ramię, a wtedy zeszywniała. Ciało naprężyło się po raz pierwszy i ożyło, gdy zimna woda spłynęła po łuku pleców. Mięśnie się napięły. Naraz uświadomiłem sobie, że podtrzymuję cudowne kobiece ciało, gładkie, zaokrąglone, silne i nieskazitelne. Dojrzała pełność jej bioder, piersi i brzucha podkreślała kształt szczupłej kibici. Owinąłem ją wilgotnym szlafrokiem nieco prędzej, niż zamierzałem. Chwilę się trzęsła, uznałem to za powód, by nie stosować po raz kolejny kuracji prysznicowej.

O trzeciej nad ranem poczułem, że muszę przeprowadzić Isobel przez kolejną przeszkodę na drodze do odzyskania przytomności. Zachowywała się

jak pijaczka. Zrobiła się kłótniwa, złościła się i bełkotała zrędlawie. Wciąż jednak nie wiedziała, kim jest i gdzie się znajduje, ani kim ja jestem. Nacodziła mnie myśl, że powinienem za pomocą jakiegoś wstrząsu otworzyć jej oczy na rzeczywistość. Zatrzymałem ją w miejscu. Stała, kołysząc się z ledwo otwartymi oczami. Zamknąłem drzwi łazienki. Było na nich lustro. Ustawiłem Isobel naprzeciwko niego. Rozplątałem pasek, zdjąłem z niej szlafrok i go odrzuciłem. Stała i patrzyła na siebie nierozumiejącym wzrokiem. Dziwnie wyglądaliśmy: toporny drągal McGee stojący nieco z boku za piękną nagą dziewczyną o bladym ciele. Wydawała się malutka; jej stopy były bardzo drobne. Nic nie skrywało obnażonych piersi, gładkich ud i miękkiego ciemnego spojenia łuku bioder. Włosy Isobel zlepły się i splątały, do połowy zakrywając jedno oko. Uśmiechając się do obrazu w lustrze, przystawiłem usta blisko do jej ucha.

– Widzisz tę ślicznotkę? Widzisz tę uroczą ślicznotkę?

Oczy Isobel uparcie zwięzały się w szparki, gdy kołysała się i wzdychała. Naraz rozwarły się szeroko, ciało się naprężyło. Schyliła się lekko, zasłaniając płeć jedną ręką, a drugą kładąc płasko na piersiach. Przygarbiona odwróciła się i odsunęła ode mnie, sycząc cicho.

– Ładna dziewczuszka? – zapytałem.

– Co... Co ty ze mną robisz? – Twarz Isobel była blada jak kreda.

– Utrzymuję cię przy życiu.

Rzuciłem jej szlafrok, a ona pospiesznie wciągnęła go na siebie.

– Ale przecież połknęłam wszystkie!

– Owszem, moja droga.

– John nie żyje.

– No, ruszaj.

Nie drgnęła, póki nie zrobiłem kroku w jej stronę. Potem zaczęła dreptać w tę i z powrotem, gapiąc się na mnie podejrzliwie.

– Jestem bardzo zmęczona, Travis.

– Nie zatrzymuj się.

– Która godzina?

– Po trzeciej. Szybszy krok.

– Pozwól mi się położyć, tylko na minutę. Proszę.

– Nie zatrzymuj się.

– O mój Boże, jesteś okrutny. Okropnie się czuję, muszę się położyć. Naprawdę!

– Chodzisz sama albo będę cię prowadził.

Usiadłem w nogach łóżka. Isobel omijała mnie szerokim łukiem. Kiedy znów zaczęła się słać, a jej oczy się zamglily, klepnąłem ją w tyłek. To dodało jej energii.

Łkała i błagała o litość. Nie okazałem ani odrobiny. Udała, że mdleje, ale żwawo się ocknęła, gdy zacząłem ściągać z niej szlafrok. Przeklinała mnie. Nie spodziewałem się po niej tak urozmaiconego słownictwa. Klęła, zawodziła, płakała, udawała, prosiła. Ale chodziła na własnych nogach. Tak, właśnie tak. Szła, nie zatrzymywała się.

W rzeczy samej stanowiła obraz nędzy i rozpaczki z rozmazanymi ciemnymi smugami wokół oczu, w za wielkim szlafroku; nienawidziła mnie, krztusiła się kawą, wyzywała od degeneratów, wyrzucała mi, że nie pozwoliłem jej umrzeć. Pytała, czy muszę nią pomiatać, zawstydząć ją i policzkować, natrzęsać się z niej i naśmiewać. Tak, moja droga. Nie zatrzymuj się. Po prostu idź dalej.

Doktor Kuppler przyszedł kwadrans po czwartej. Kiedy Isobel zorientowała się, że jest lekarzem, ze łzami zaczęła szczegółowo relacjonować, jak ją traktowałem. Nie zwracał uwagi na wypowiedane przez nią słowa, za to zbadał ją i mruknął z aprobatą. Kazał jej usiąść na brzegu łóżka.

– Domagam się swoich praw! – oznajmiła Isobel. – Proszę wezwać policję!

Doktor Kuppler uśmiechnął się do niej słodko, przyłożył różowy palec do jej ramienia i pchnął. Opadła na plecy i westchnęła, a potem z jej ust popłynęły ciche regularne chrapnięcia przypominające mruczenie kota. Zasugerował, żebym ją podniósł. Odsunął koc, a ja położyłem Isobel na prześcieradle i przykryłem.

– Właściwa reakcja – orzekł. – Atrakcyjna młoda dama. Może to wszystko nie było konieczne, ale lepiej niczego nie zaniedbać.

– Ile jestem panu winien?

– Wziąwszy wszystko pod uwagę, sądzę, że sto dolarów będzie w sam raz.

Dałem mu pieniądze i zapytałem, jak długo Isobel powinna spać.

– Tyle, ile zdoła – odparł. – Jeżeli pośpi do popołudnia, bardzo dobrze. Zostanie pan tutaj?

– Jestem wykończony, doktorze, a jej obecność już się wydała.

Kiedy w oknach pojawiła się bladość świtu, zabezpieczyłem drzwi łańcuchem i umyłem zęby; pocałowałem Isobel w czoło i położyłem się spać. Już mnie nie irytowała, czułem się z niej dumny i zadowolony. Samarytanin McGee, zbawca zatraconej kobiecości. Naszło mnie osobliwe poczucie posiadania. Teraz należysz do mnie, drogie dziewczę, w przyszłości nie będzie miejsca na takie głupstwa, jakie popełniłaś. Słyszysz mnie?

11

Telefon hotelowy obudził mnie w południe, podniosłem słuchawkę, zanim wyrwał ze snu Isobel. Spała ułożona tyłem do mnie; jej postać wydawała się drobna pod żółtym kocem, widać było jedynie ciemny czubek jej głowy.

Dzwonił Jass, kazałem mu chwilę poczekać. Isobel leżała zbyt nieruchomo. Obszedłem łóżko i pochyliłem się nad nią. Spała słodko. Wróciłem do aparatu.

– O co chodzi, Jass?

– Dopiero się obudziłeś?

– Miałem pracowitą noc.

– Co takiego robiłeś?

– Później ci opowiem.

– Hm, dzwonię, bo... Sam nie wiem. Kiedy ktoś omal nie przebija cię nożem, zaczynasz się zastanawiać. Komu aż tak bardzo zależało za skórę? Leżałem w nocy i myślałem. Sporządzałem listy. Zabawna rzecz z tą nienawiścią. Może ci, którzy nie mają powodu cię nienawidzić, ci, dla których coś zrobiłeś, może właśnie oni nienawidzą cię najbardziej.

– Pomyślałeś o kimś konkretnym?

– Cube Fox i ja nieźle pohulaliśmy w tych stronach. Zawsze uważałem się za takiego, który się zabawi, a kiedy przyjdzie zapłacić rachunek, to go zapłaci.

Naraz przypomniałem sobie rodzeństwo ze stacji benzynowej, do której dotarłem po śmierci Mony. Zapamiętałem słowa mężczyzny: „W tej części stanu na bank lata ze czterdziestu dorosłych, którzy mają niebieskie gały Cube’a, a resztę meksykańską. Cube miał kręćka na punkcie meksykańskich lasek”.

– Nie mogłem się równać z Cube'em, ale w te długie gorące noce z tańcami przy muzyce country, zapachem płonących gałęzi cedrowych i mescalem... – opowiadał Jass. – Jeździliśmy wielkimi kabrioletami i nigdy nie brakowało małych gorących ślicznotek o brązowej skórze, rozchichotanych przytulaneek, a ja i Cube gadaliśmy w ich języku...

Jego głos powoli zamilkł.

– Kojarzy ci się jakiś konkretny bękart? – zapytałem.

– Nie, wcale nie śledziłem tych spraw. Wczoraj w nocy próbowałem sobie przypomnieć. Z pięć czy sześć razy kontaktowano się ze mną, żebym pomógł. Inne pewnie szybko wychodziły za mąż, jak tylko nabrały podejrzeń. Jeszcze inne były zbyt dumne, by prosić. Te, które zwracały się do mnie, wyciągałem z biedy. Załatwiałem wszystko po cichu, pieniądze brały prosto z banku. Trzy razy zdarzyło się tak, że nie wzięły od razu całej sumy, tylko wypłacały po trochu. Pięćdziesiąt dolarów na miesiąc, czterdzieści. Na dziecko. To było dawno temu, ale chyba namierzylibym te dziewczyny. Sanchez, Fuegos, jedynie te dwa nazwiska przychodzą mi na myśl. Urodziły chłopców. Powinni dobijać teraz do trzydziestki. Nie wiem, synu. Takie myśli nachodziły mnie w nocy. Niewykluczone, że tu i ówdzie zostało trochę złej krwi.

– Niewykluczone.

– No i jest jeszcze ta, z którą nie zerwałem kontaktu, jednak wolałbym nie wymieniać nazwiska przez telefon. Poza tym nie można powiedzieć, że mnie nienawidzi, nic z tych rzeczy. Zróbmy tak, przyjedziesz do klubu Cottonwood, powiedzmy za godzinę. Pałętam się po chałupie, rozmyślam o starych czasach i diabelnie tęsknię za moją małą dziewczynką. Ubiorę się i spotkamy się w klubie.

Ledwo odłożyłem słuchawkę, telefon zadzwonił ponownie. Isobel poruszyła się i stęknęła cicho przez sen. To był Buckelberry, poinformował mnie o zniknięciu panny Webb. Zapytał, czy wiem, gdzie może przebywać. Zawałałem się i odparłem, że mieszka w hotelu Sage. Chciał z nią mówić. Powiedziałem, że dostała środki uspokajające, i obiecałem, że każę jej się do niego odezwać. Był trochę oporny, ale przyjął to do wiadomości. Potwierdziłem, że później przyjadę i podpiszę zeznanie dotyczące nożownika. Oznajmił, że dostał odpowiedź z Phoenix, prawie na pewno udało się zidentyfikować denata. Był to Francisco Pompa, lat dziewiętnaście, karany, nar-

koman i alfons. Znalaziono jego odciski palców na kradzionym samochodzie, który stał zaparkowany czterysta metrów od domu Jassa.

Isobel spała dalej. Ogoliłem się i ubrałem, a następnie zebrałem jej rzeczy łącznie z grzecznymi butami i wpakowałem wszystko do tobołka, który zrobiłem z jej koszmarnej swetra. Wewnątrz buta zauważyłem wytłoczony numer. Pięć B. Zagadnąłem pokojówkę, która sprzątała w pokoju nieopodal, i poprosiłem, żeby nie budziła dziewczyny śpiącej w moim pokoju. Wręczyłem jej ubrania Isobel i oznajmiłem, że po wypraniu i zreperowaniu mogą się przydać którejś z jej znajomych.

Była zachwycona.

Szybko zjadłem śniadanie, poszedłem do recepcji i oficjalnie zameldowałem Isobel. Swoją kuzynkę. Recepcjonista potraktował mnie wyniośle. Uśmiechnąłem się sennym uśmiechem. Mężczyzna zrobił się nieco nerwowym. Kiedy odzyskał dawną grzeczność, odwróciłem się. Miałem trochę czasu, toteż zszedłem do sklepów na dole. W twarzy drobnej pracownicy hotelu dostrzegłem niekłamana chęć sprawiania klientowi przyjemności. Stwierdziła, że rozmiar dziesięć będzie w sam raz. Wybraliśmy fikuśny kostium z orlonu, parę ozdobnych seksownych drobiazgów z bielizny oraz bluzkę z prostokątnym dekoltem pasującą do kostiumu. Dziewczyna poszła ze mną do sąsiedniego sklepiku i wybrała czółenka na obcasach, które dobrze komponowały się z całością. Zostawiłem zapakowane rzeczy w pokoju wraz z wiadomością, że wrócę przed wpół do czwartej; napisałem, że jeśli obudzi się wcześniej, ma zamówić sobie coś dojedzenia i zatelefonować do Buckelberry'ego. Wyraziłem nadzieję, że zawartość pudełek będzie na nią pasowała.

Kiedy ja oddawałem się frywolnym zabawom z podtekstem erotycznym w wyperfumowanym świecie damskich fatalasek, Jasper Yeoman zmagał się z tym, co czasem określa się mianem śmiertelnej ziemskiej powłoki. Nie poszło mu łatwo. Odtworzyłem przebieg wydarzeń na podstawie relacji, które później do mnie dotarły. Sunąc swoim krążownikiem szos z domu do klubu, doznał nagłych duszności. Przestraszony zjechał na parking ogromnego luksusowego centrum handlowego i ruszył prosto do apteki, by tam szukać pomocy. Zaparkował fatalnie i wygramolił się z auta. Nagle doznał niekontrolowanych skurczów mięśni. Gospodynie domowe wiozące zakupy do samochodów prawdopodobnie uznały go za faceta, który upił się w środ-

ku dnia. Ot, jakiś szczupły żylasty dryblas trzęsie się i podskakuje na wszystkie strony, łapiąc powietrze otwartymi ustami.

Pierwsze potężne konwulsje dopadły go, gdy znajdował się na szerokim chodniku przed apteką. Podskoczył i zgiął się wpół, a potem runął na ziemię niczym kukielka rzucona przez rozgniewane dziecko. Na szarych betonowych płytach, wśród papierków od gum do żucia i niedopałków z filtrami jego głowa drgnęła, ciało wygięło się w pałąk, szyja zesztyniała. Ciało znieruchomiało oparte na głowie i piętach, twarz zastygła w wyrazie lęku. Oczy wyszły z orbit, blade usta ściągnęły się, a szczęki zacisnęły.

Gapie zebrali się w bezpiecznej odległości i obojętnie przyglądali agonii. Któryś z pracowników apteki wybiegł na ulicę, wrócił czym prędzej do środka i wezwał karetkę. Drgawki ustały i ciało Jassa się rozluźniło. Odpoczął chwilę, a potem słabym, lecz wyraźnym głosem zapytał, czy ktoś może mu wstać. Podniesiono go i wprowadzono do apteki. Kilka minut później nadeszła druga fala konwulsji, Jass wyrwał się z rąk aptekarzy i naprężonym ciałem rąbnął o podłogę pokrytą wzorzystymi płytkami z tworzywa sztucznego.

Tym razem także przemówił wyraźnie, lecz był już słabszy. Trzeci atak nastąpił, kiedy wnoszono go do karetki. Później następowały w regularnych odstępach na oddziale intensywnej terapii w szpitalu; konwulsje przybierały na sile, on zaś coraz bardziej słabł. Po czterdziestu minutach, mimo wszelkich wysiłków personelu, umarł z powodu ciężkiego niedotlenienia organizmu i wyczerpania. Toksykolog był prawie pewny, co wykaże autopsja. Po sekcji zwłok, badaniu zawartości jelit, treści żołądkowej, mózgu, wątroby, moczu, po pobraniu próbki włosów i zapakowaniu ich do szklanych pojemników w celu przeprowadzenia późniejszej analizy, okazało się, że denat wprowadził sobie do ustroju około dwustu miligramów strychniny, czyli podwójną śmiertelną dawkę trucizny. Prawdopodobnie połknął ją niespełna pół godziny przed pierwszym atakiem drgawek. Zażył ją przypuszczalnie wraz z substancją, która zneutralizowała ostry gorzki smak; możliwe, że była to bardzo mocna czarna kawa.

O tym wszystkim dowiedziałem się jednak później. Pojechałem do klubu i tam czekałem na Jassa. Nagle jakimś tajemniczym sposobem wszyscy wiedzieli, że zachorował, i że zawieziono go do szpitala. Zmarł, zanim tam dotarłem.

12

Powstała rozbieżność zdań co do jurysdykcji, urzędnikom z magistratu bardzo zależało, żeby wyjaśnienie zgonu Yeomana powierzono tym z okręgu i vice versa. Kiedy umiera ważna osobistość, można sobie złamać karierę, popełniając błąd w najbliższym szczególe. Ostatecznie sprawą obarczono urzędników okręgowych i Freda Buckelberry'ego.

Złapał mnie na szpitalnym parkingu. W jego spojrzeniu dostrzegłem coś, co można by nazwać czułą aprobatą. Wiedziałem, co się za tym kryje. Yeoman nie żył, a to oznaczało, że straciłem protektora. Szeryf patrzył na mnie jak kot na świeżą rybę. Przekazał mnie w ręce swojego zastępcy Homera Hardy'ego, kazał mu pojechać ze mną do hotelu i zabrać stamtąd pannę Webb. Następnie mieliśmy się oboje udać do siedziby sądu okręgowego – dobrowolnie, rzecz jasna – i czekać, aż Buckelberry znajdzie dla nas czas.

Dotarliśmy do hotelu o piętnastej dziesiątej. Hardy ani myślał czekać w holu, usadowił się na korytarzu naprzeciwko drzwi pokoju. Pudełka z zakupionymi rzeczami były puste, a drzwi łazienki zamknięte. Słyszałem szum wody. Zapukałem, Isobel kazała mi chwilę poczekać.

Wyszła po pięciu minutach, wyglądało na to, że wszystkie rzeczy na nią pasują. Prezentowała się jak dziewczyna pierwszej klasy od szyi do samego dołu, kostium i bluzka podkreślały to, co tak usilnie maskowała. Czoło znów zakryte było niezgrabnie rozdzielonymi włosami, oczy osłaniały wielkie ciemne okulary. Usta miała pozbawione koloru, twarz lekko obrzmiała. Patrzyła na mnie przez nieprzeniknione szkła.

- Gdzie jest moje ubranie?
- Jak się czujesz?
- Gdzie moje ubranie?
- Wywaliłem je.

– I kupiłeś mi te tanie, wulgarne i wyzywające łachy. Wielkie dzięki.
– Nie były tanie.
– Są tanie w sensie, którego zapewne nie rozumiesz, Travisie.
– Kotku, skoro nie zależy ci, czy żyjesz, czy nie, jakie to ma znaczenie, co na siebie włożysz? Zamówiłaś sobie coś do jedzenia?

– Nie.

– Musimy pojechać do biura Buckelberry’ego.

– Nic z tego, jadę do domu.

– Na korytarzu czeka jego zastępca, który ma tego dopilnować.

Patrzyła na siebie w lustrze, pociągając za spódnice. Raptem przestała i spojrzała na mnie.

– Z jakiego powodu?

– Jass Yeoman nie żyje.

– A co to ma wspólnego ze mną?

– Być może nic. Buckelberry chce się upewnić.

– Nie rozumiem.

– Wczoraj czyjś najemnik usiłował załatwić Jassa nożem. Chybił. Dzisiaj w południe ktoś go otruł.

– Otrul? – spytała słabym głosem Isobel.

– To nie była łatwa i przyjemna śmierć.

Dotknęła palcami gardła.

– Przykro mi. Nienawidziłam go za to, że nie miał tyle poczucia dumy i przyzwoitości, żeby trzymać żonę z dala od mojego brata... Ale trucizna to coś straszego.

Wsiedliśmy do windy z zastępcą szeryfa. Powiedziałem mu, że musimy coś zjeść. Uznał to za bardzo wątpliwy pomysł. Isobel oznajmiła, że jeśli nie dostanie czegoś do jedzenia, położy się na ziemi, a on będzie ją musiał zanieść do sądu na rękach.

Poszliśmy na danie z rusztu. Usiadł z nami. Poprosiłem, żeby przeszedł do innego stolika. Bardzo go to ubodło i zasmuciło. Zajął miejsce przy drzwiach. Zamówiłem kanapkę ze stekiem. Isobel wzięła duży sok pomarańczowy, dwa pieczone hamburgery ze wszystkimi dodatkami, a oprócz tego porcję pieczonych ziemniaków i dzbanek kawy.

Obserwowałem, jak metodycznie pochłania posiłek. Cisza zalegająca między nami z każdą chwilą stawała się coraz bardziej wymowna. Wyciągnąłem szybko rękę i zdjąłem jej ciemne okulary. Usiłowała mi je wyrwać.

– Proszę – powiedziała. Jej wzrok był niespokojny, spłoszony, rozbiegany.

– Przestań się kryć, to je odzyskasz.

– Kryć się? Co mam powiedzieć? Jeszcze nawet tego nie przemyślałam. Nie potrafię. Uwierz mi, staram się pomyśleć, ale mój umysł... się przed tym wzbrania.

– Nadal chcesz się zabić?

Rozejrzała się pospiesznie.

– Ciii... Nie, raczej nie. Nie wiem.

– Cieszysz się, że cię powstrzymałem?

– Chyba tak. Dzięki. Głupie słowo. Myślałam, że... Połknę kapsułki, usnę i to będzie koniec. Przypuszczam, że nawet jeśli zrozumiałeś, to skoro znalazłeś mnie w porę, nie mogłeś na to pozwolić. Nie gniewam się na ciebie, bo musiałeś podjąć próbę. Każdy by tak zrobił.

Nagle przestało mi zależeć, żeby pojęła sedno sprawy. Mężczyzna, który chciał żyć, zginął. Ona chciała umrzeć, a teraz siedzi i wsuwa hamburgera. Zapewne nie powinienem jej mieć za złe tego egotyzmu, który w nowej perspektywie załatywał skrajną głupotę. Jednak abstrahując od ocen moralnych, można było powiedzieć, że Jasper Yeoman to wyjątkowy facet. Był mężczyzną w każdym calu, a ja miałem przed sobą połowę dziewczyny.

Wyczuwała niuanse, każdy odcień dezaprobaty; przechyliła lekko głowę i uniosła brwi.

– Coś się stało?

– Wszystko gra, Iz.

– Nie znoszę tego zdrobnienia. Nie pamiętam wszystkiego dokładnie... – Jej policzki się zaróżowiły. – Byłam naga?

– Potocznie mówi się, że latałaś z gołym tyłkiem.

Teraz już cała stanęła w pąsach.

– Jak możesz być tak niegrzeczny i obojętny?

Odwróciłem głowę i wzruszyłem ramionami.

– Wcinaj te tłustości, kotku. Pan zastępca się niepokoi. Nie zważając na efekty uboczne, chciałem cię obudzić za pomocą wstrząsu. Metoda się sprawdziła. Tylko nie myśl, że to było dla mnie coś wielkiego. Masz standardowe wyposażenie w odpowiednich miejscach. Obeszło się bez kiczowatych zajęć. Ratowałem ci życie. Twoje bełkotanie, krztuszenie się i parskanie nie nastrojały mnie szczególnie romantycznie.

Siedziała przygaszona i blada ze spuszczonej oczami. To było tanie zwycięstwo, tak jak wszystkie, które przychodzą łatwo. Oddałem jej okulary, ale straciła apetyt. Kiedy wychodziliśmy, jej nogi były tak ściśnięte, jakby trzymała monetę między kolanami. Homer Hardy zabrał nas do małej salki w gmachu sądu. Powiedział, że jeśli czegoś będziemy potrzebowali, mamy zadudnić w drzwi. Zamknął je i nas zostawił.

Niewiele pozostało do powiedzenia. Czas upływał bardzo powoli. Na korytarzu sądu panował spory ruch, słychać było wiele głosów.

Odezwałem się po długim milczeniu:

– Trzeba będzie zająć się pogrzebem twojego brata.

– Myślałam o tym. Ciała naszych rodziców zostały skremowane, John także by tego chciał. W Weston w New Hampshire jest stara rodzinna działka. Myślę o prostym nabożeństwie w kaplicy uniwersyteckiej. W Livingston jest ktoś, kto może się tym zająć. Poproszę władze o wydanie mu zwłok i powiem, o co mi chodzi. Ale nie wiem, jak przewieźć urnę stąd do Weston. Choć tamten człowiek pewnie wie. No i pozostaje jeszcze kwestia ubezpieczenia.

– Mogę ci w jakiś sposób pomóc?

– Nie, dziękuję.

– Jak się czujesz?

– Zmęczona. I pusta w środku.

Można było odnieść wrażenie, że w pokoju bez okien czas płynie wolniej. Fluorescencyjne światło padało z góry przez kratkę przypominającą karton na jajka. Zielone metalowe krzeselka, stare, rozpadające się kolorowe magazyny, mdląca woń miętowego odświeżacza, który maskował pomniejszych zapachy urzędowej władzy. Isobel siedziała schowana za wielkimi ciemnymi okularami, jej białe kolana i białe łydki przylegały do siebie równiutko, splecione ręce spoczywały na torebce.

Mój zegarek wskazywał pięć po piątej, kiedy wszedł Hardy i zabrał ją na rozmowę z Buckelberrym. Pół godziny później szeryf przysłał po mnie. Bardzo się zdziwiłem, zastawszy go samego. Zeznania były gotowe. Przeczytałem jeden egzemplarz i podpisałem wszystkie trzy, bo tego wymagały przepisy.

Buckelberry niespiesznie zapalił fajkę, przydusił ją i ponownie zapalił, wydając przy tym odgłosy ukontentowania.

– Wszyscy domagają się krwi – zaczął. – Kendrick, Gay, O’Dell, DeVrees, Madero, wszyscy... Jass był jednym z nich.

– A jeśli staniesz przed nimi z pustymi rękami, pokrzyżuje ci to plany na przyszłość, co, Fred?

Zmierzył mnie ostrym nieprzyjaznym spojrzeniem.

– O to za bardzo się nie martwię. Narobiło się jednak zbyt dużo bałaganu. Pytanie brzmi, jak znaleźć w krótkim czasie haka na kogoś wścibskiego. Jeśli zarzuty będą dęte, sprawa weźmie w łeb. Aleja wiem, czego szukać, McGee. Doskonale to wiem.

– Co masz w zanadru?

– Bardzo luźne przepisy o włóczęgostwie i paru wyrozumiałych sędziów. Możesz machać miotłą w słońcu przez dziewięćdziesiąt dni. Podobają mi się te przepisy, cholernie ułatwiają robotę.

– Wyobrażam sobie – odparłem, wstając.

– Dokąd to?

– Pogadajmy z którymś z tych sędziów.

– Siadaj, na miłość boską!

Usiadłem.

– Nie pozwolę się w ten sposób naciskać, szeryfie. Przyjrzał mi się.

– Odwaliłbyś te dziewięćdziesiąt dni? – Westchnął. – Zdaje się, że tak.

– Jak podano Jassowi truciznę?

– W mocnej kawie. Lubił parzoną, czarną i gorzką. Wlano ją do termosu, żeby miał gorącą. Krzątał się jak to z rana, brał prysznic, golił się i tak dalej. Fusy były nafaszerowane strychniną. Zaparzyła ją kucharka i podała mu. Jest czysta. Znasz rozkład pomieszczeń w jego domu. Miał swoje prywatne sprawy, a niektórzy nie chcieli, by widziano, jak do niego wchodzi albo potem wychodzą. Boczne drzwi do gabinetu. Zaniósł tam kawę i stamtąd do ciebie zadzwonił. Mówił, że ktoś z nim jest?

– Nie.

– Miał jakieś hipotezy, kto zagiął na niego parol? Przez długą chwilę siedziałem bez słowa w ciasnym gabinecie i myślałem. Nie miałem powodu robić z tego tajemnicy przed Buckelberrym. Ale przesłanki były bardzo niskie, sprowadzały się do niejasnych przeczuć.

– A więc? – powiedział Fred.

– Nachodziły go myśli o dzieciach.

Szeryf gapił się na mnie.

– Nie baw się w cwaniaka. Yeoman nie miał dzieci.

– Oficjalnie.

Powtórzyłem mu to, co Jass opowiedział mi o dawnych czasach. Buckelberry słuchał z wytężoną uwagą. Instynkt gliniarza podsunął mu myśl, na którą sam wpadłem.

– A ta, z którą utrzymywał kontakty i która jego zdaniem nie miała powodu go nienawidzić?

– Nie podał jej nazwiska. Kto może je znać?

Buckelberry nie odpowiedział. Patrzył przed siebie i stukał zaciśniętą pięścią w blat biurka.

– Przypuśćmy – zaczął – że już wcześniej znaleźlibyśmy zwłoki Mony. Chowamy ich oboje, Jassa i jego żonę. Testament przechodzi urzędową weryfikację i nagle pojawia się jakiś sukinsyn z dowodem, niepodważalnym dowodem świadczącym o tym, że jest nieślubnym dzieckiem Jassa. Czy mógłby po nim dziedziczyć? Nie znam się na prawie spadkowym. A jeśli ten ktoś miałby listy od Jassa? Z pewnością byłby jego najbliższym krewnym.

– I wolno by mu było odwiedzać go o dowolnej porze.

Buckelberry ponuro skinął głową.

– Na przykład dziś w południe.

– Może teraz nie odważyłby się ujawnić – rzuciłem.

– Dlaczego nie?

– Elementy planu za bardzo się pochrzaniły, Fred. Nic nie poszło zgodnie z zamysłem. Może nie pozostało między nimi nic oprócz nienawiści.

– Tak czy inaczej, to jest jakiś punkt zaczepienia – rzekł z westchnieniem szeryf.

– A masz jakieś inne?

Pokręcił głową.

– Nie mogę znaleźć tego Rona, nie mogę znaleźć drugiego ciała. Karabinu także nie udało się namierzyć. Ta babka, Alverson, okazała się ślepą uliczką. Przy zwłokach Webba nie znaleźliśmy żadnych wskazówek.

– Przeciągnął się, potarł twarz i sięgnął po słuchawkę telefonu. – Zobaczmy, czy któryś z jego starych rozgorączkowanych koleśi coś wie. – Zamilkł na chwilę. – Poczekaj na zewnątrz, McGee.

– Chcę pomóc w tym śledztwie, na ile mogę. Jass mi zapłacił, a ja jeszcze nie zarobiłem na tę forszę. Daj mi szansę.

Buckelberry zdjął rękę ze słuchawki i obrzucił mnie baczным spojrzeniem.

– Niektórzy mają smykałkę. Gdzie się pokażesz, cholera jasna, tam coś się dzieje. Ty i tak będziesz wtykał nos w nie swoje sprawy, co?

– Chyba że mnie przymkniesz na trzy miesiące. Otworzył dolną szufladę i pogmerał w niej hałaśliwie; wyłowił jakiś błyszczący przedmiot i rzucił mi w twarz. Uniosłem w porę dłoń i wylądowała w niej chromowana odznaka.

– Podnieś prawą rękę i powtarzaj za mną.

– Tak jak w westernach?

– Właśnie tak, McGee. Jestem do tego upoważniony. Złożyłem oficjalną przysięgę. Ja, Travis McGee, zostałem tymczasowym zastępcą szeryfa. Gdybym zginął w trakcie wykonywania obowiązków służbowych, moi spadkobiercy otrzymaliby pośmiertne wynagrodzenie od Urzędu Okręgowego w Esmereldzie. Aż do chwili wypowiedzenia ze strony szeryfa wyżej wymienionego okręgu miałem pobierać wypłatę w wysokości pięciu dolarów miesięcznie bądź jej ułamek. Podpisałem się na oficjalnej liście pracowników biura szeryfa. A następnie wyszedłem na korytarz, żeby tam poczekać.

Isobel wstała z ławki, pokorna i grzeczna.

– Czego chcesz?

Odprowadziła mnie na bok.

– Travis, czy mógłbyś mnie odwieźć na uniwersytet? Jeśli nie jest to dla ciebie za duży kłopot.

– Są autobusy.

– Proszę cię. Jeżeli tego nie zrobisz, będzie to dziwnie wyglądało... Powiedziała szeryfowi, że mnie odwieziesz. Nie wspomniałam o tym, co zrobiłam. – Rumieniec rozlał się aż po dekolt jej nowej bluzki. – On myśli, że ja... że my... On tak uważa.

– Musi mieć bogatą wyobraźnię.

– Nie bądź okrutny... Podjęłam pewne kroki w związku z Johnem. Nie chcę, żeby... – Odrzuciła pokorę na bok, cofnęła się i uniosła brodę. – Niech cię szlag, nie chcę być sama. Jeśli nie potrafisz tego zrozumieć...

– Dobrze już, dobrze. Ale muszę się tu chwilę pokręcić. Odwiozę cię. Możesz także wrócić do hotelu, jesteś zameldowana jako moja kuzynka.

– Twoja kuzynka?

– Coś musiałem powiedzieć recepcjoniście.

Podeszła do ławki i usiadła raptownie.

– Nigdy tam nie wrócę, dopóki Kocham... dopóki żyję!

– Freudowskie przejęzyczenie, proszę, proszę.

– To pusty, oklepany frazes. A ty jesteś gburem.

– Widzę, że wracasz do dawnej formy, kotku. Zapytała, czy jestem aresztowany lub zatrzymany.

Pokazałem jej swoją nową odznakę. Pokręciła głową, jakby doszła do wniosku, że świat zwariował.

Czekaliśmy. Wziąłem dwie coli z dystrybutora i kupiłem gazetę. Jass trafił na pierwszą stronę. Spostrzegli nas reporterzy i otoczyli; zaczęli błyskać fleszami i zasypali gradem pytań. Pchnąłem dziewczynę do pomieszczenia, w którym mieściło się centrum komunikacyjne, tam nie mogli nas ścigać. Isobel była dla nich siostrą zamordowanego profesora, a ja tajemniczym nieznanym.

W końcu pojawił się Buckelberry z kawą w papierowym kubku. Oparł się o ścianę i popatrzył na nas.

– Powiedziałaś jej, jaką hipotezę sprawdzamy? – spytał.

– Nie.

– Kiedy Travis może mnie odwiedzić do domu? – chciała wiedzieć Isobel.

– Panno Webb, czy pani brat dzielił się z panią tym, co mówiła mu pani Yeoman? O nieślubnych dzieciach, które mógł mieć Jass Yeoman?

– Z całą pewnością nie!

– Proszę się tak nie oburzać z powodu drobiazgów, panno Webb. Mógł to pani powiedzieć, żeby usprawiedliwić swój romans z panią Yeoman.

– Nie dałabym posłuchu takiej pokrętnej argumentacji.

– Zapewne ma pani słuszość. – Szeryf się odwrócił. – McGee, chodź ze mną, pokażę ci mapę.

Wszedłem do jego gabinetu. Położył kciuk pod nazwą małej miejscowości na północny wschód od Livingston. Nazywała się Burned Wells.

– Skoro odwozisz ją do domu, zajrzyj tam. Nasłuchałem się tylu plotek i gadania, że sam nie wiem, co z tym zrobić. Jutro zaczniemy sprawdzać rachunki bankowe Jassa, może nie zatarł dokładnie wszystkich śladów. Fish Ellery mówi, że mieszka tam jedna babka, którą Jass traktował poważniej niż inne. Meksykanka z dużą domieszką krwi indiańskiej, bardzo harda i dumna. Prawdopodobnie było to dwadzieścia pięć lat temu, przed śmiercią

Cube'a. Teraz miałyby jakieś czterdzieści dwa lata. Pamięta, że wołano na nią Amparo. Mówi, że Jass prawie stracił dla niej głowę. Zabierał ją w podróże, kupował dużo prezentów i trzymał przy sobie chyba z rok. W sumie to żadne namiary, ale to bardzo mała miejscowość.

– Widzę, że droga do tej miejscowości też w sumie żadna.

– Dwadzieścia pięć kilometrów od trasy stanowej numer sto. To taka wiocha zamieszkała przez ludzi, którzy pracują na ranczach sięgających poza granice mojego okręgu. Hughes, Robischon, Star B. Kiedyś było ich tam więcej, młodzi uciekają. Szopy i jeden sklep. Pompa z paliwem i murywany kościółek. Ta Amparo mogła dawno umrzeć lub się wyprowadzić. A może wciąż tam mieszka i nikomu nic nie mówi. Mimo to warto zarzucić haczyk.

– Obyś miał lepsze tropy.

– Owszem, już pchnąłem ludzi. Dowiedz się, ile zdołasz, i przyjeżdżaj. Zastaniesz mnie tutaj.

13

O dwudziestej trzydzięci zatrzymaliśmy się z Isobel w motelu z restauracją na południowym skraju miasta. Opowiedziałem jej o nowym kierunku śledztwa, o zwierzeniach Jassa i o zleceniu szeryfa. Jej reakcja była nikła, prawie żadna.

– Nie ciekawi cię to? – zapytałem.

– Raczej nie, Travisie. Jestem wyżęta emocjonalnie. To był taki dziwny dzień, tyle wyczekiwania. Czułam się jak na lotnisku, gdy ogłoszono, że wszystkie samoloty są uziemione. Owszem, chcę wiedzieć, kto zabił mojego brata. Ale mam wrażenie, jakby zginął przed wieloma laty. A nawet że wiedziałam, iż zginie. Wydaje mi się, że był w tej aferze niewinnym przypadkowym świadkiem. – Siedzieliśmy przy stoliku naprzeciw siebie, jej okulary spoczywały na blacie; ściągnęła brwi. – W próbie samobójczej jest coś osobliwego. Bez względu na to, czym się kończy, człowiek zabija część siebie. Może zdolność do głębokiego odczuwania. Nie wiem. Czuję się jak obca wobec samej siebie. Muszę się dowiedzieć, kim jestem, kim zamierzam być. Czuję się taka... odcięta od wszystkiego. I towarzyszy temu dziwne uczucie... nieprzyzwoitej satysfakcji. Pojawia się co jakiś czas niczym iskra elektryczna. Jakbym wiedziała, że wkrótce wyjadę na wakacje. Nie powinnam się tak czuć bez powodu. Zastanawiam się, czy coś jest nie tak z moją głową.

– Rzucę absurdalny domysł. Może cieszysz się, że żyjesz.

– Niezupełnie. Ale nie będę więcej próbowała się zabić.

Na mojej mapie drogowej dwudziestopięciokilometrowa trasa do Burned Wells zaznaczona była nikłą kropkowaną niebieską linią, która odchodziła na wschód od drogi stanowej numer sto, jakieś dziewięć czy jedenaście kilometrów na północ od Livingston. Zwolniłem, żeby nie przegapić zjazdu,

wypatrzeć jakiś znak orientacyjny, który pozwoli mi odnaleźć drogę, kiedy będę wracał.

– Zabierz mnie tam ze sobą – zaproponowała.

– Po co?

– Nie wiem, będę miała zajęcie. Jeśli ją znajdziesz, może ze mną porozmawia chętniej niż z tobą.

Pojechaliśmy więc. Wąska piaszczysto-żwirowa droga prowadziła przez spaloną słońcem ziemię; niebo było tak gwiazdziste, że widziałem zarys terenu po obu stronach. Znaleźliśmy się w okolicy, która wyglądała jak dżungla ogromnych głązów, wieżyczek wyrastających z porośniętego kaktusami piasku. Droga wiła się wśród tego marsjańskiego pastwiska. Samochód stuknął o coś, ześlizgiwał się i włókł dalej, snop światła z reflektorów tu i ówdzie wydobywał z mroku puszkę od piwa lub czerwone oczy zajaca. Później szlak zaczął schodzić w szeroką dolinę, za oknami przesuwwały się wysokie kaktusy meksykańskie; dalej prowadził po równiejszym terenie ku iskierkom światła błyszczących na tle przeciwległego brzegu doliny.

Osada Burned Wells biegła wzdłuż nieutwardzonej ulicy i miała szerokość dwóch przecznic. Mieszkańcy zdążyli już położyć się spać. Światła, które dostrzegliśmy z daleka, pochodziły z białych syczących latarni gazowych. Jedna wisiała na dachu ganku sklepu; niewielka grupka mężczyzn siedziała na stopniach, poręczy i składanych krzeselkach. Pili piwo. Na barierce stało przenośne radio, którego głośność ustawiona była tak, że wysokie tony piszczały, a basy dudniły. Grano muzykę country.

Zatrzymałem samochód przed dystrybutorem paliwa i wysiadłem. Kiedy znajdowałem się w połowie drogi do sklepu, muzyka nagle zamilkła. Mężczyzn było dziewięciu, wszyscy w średnim wieku lub starsi. Jaskrawy blask latarni tworzył głębokie cienie i pozbawiał wszystko kolorów. Milczący i nieruchomi mężczyźni wyglądali jak na czarno-białym zdjęciu zrobionym tak, by maksymalnie uwydatnić kontrast.

Zatrzymałem się tuż przed gankiem.

– Dobry wieczór.

Nikt nie odpowiedział. Chyba że za odpowiedź uznać splunięcie przez barierkę.

– Może któryś z panów mógłby mi pomóc.

Cisza.

– Poszukuję pewnej kobiety, która mieszkała tutaj dwadzieścia pięć lat temu. Nie znam nazwiska, miała na imię Amparo. Była znajomą Jaspera Yeomana.

Tym razem splunęło dwóch mężczyzn. Może oznaczało to, że nawiążę z nimi kontakt. Wyglądali na twardzieli, mieli na sobie zgrzebne ubrania robocze; ich twarze były ogorzałe, ciała zahartowane od pracy.

– Jasper Yeoman został wczoraj zabity.

Moje słowa wywołały poruszenie, ten i ów coś szepnął do sąsiada.

– Pracowałem dla niego – ciągnąłem – pomagałem mu w sprawach prywatnych. Może lepiej, żebym nie musiał tu wracać z szeryfem okręgowym i zasięgać języka z jego pomocą.

Jeden z mężczyzn siedzący na krześle schylił się w cieniu i coś mruknął. Mały chłopiec, którego wcześniej nie zauważyłem, zerwał się na równe nogi, przeskoczył żwawo przez barierkę i popędził drogą w ciemność. Jego bose stopy plaskały na ubitej ziemi.

– Ona nadal tu mieszka? – zapytałem.

– Poczekaj pan – odparł najstarszy z mężczyzn.

Czekałem i czekałem. Malec wrócił po pięciu minutach, podszedł od razu do najstarszego z towarzystwa i coś do niego wyszeptał. To była bardzo długa wiadomość.

– Może pan pogadać z tą kobietą – oznajmił mężczyzna. – Jej chłop daje pozwolenie, mały pana zaprowadzi.

Zawołałem Isobel i razem poszliśmy za chłopcem środkiem szerokiej ciemnej drogi. Kiedy moje oczy przywykły do ciemności, zobaczyłem kościółek przy końcu głównej ulicy. Psy wychodziły z ukrycia i szczekały, wyczuwszy woń nieznanym. Przy kościele skręciliśmy w lewo. Malec wskazał murowany dom i odbiegł bez słowa. Drzwi były otwarte, ze środka sączyło się pomarańczowe światło. Malutkiego ogródka od frontu strzegły poskręcane kije, które pomalowano na biało. Zapukałem do drzwi.

Stała w nich jakaś kobieta, spojrzała na nas i cofnęła się.

– Proszę wejść – powiedziała szorstkim głosem. To było polecenie.

Weszliśmy do małego i pustawego pokoju, z którego przechodziło się do innych pomieszczeń.

– Jestem pani Sosegado – przedstawiła się. – Dawno temu byłam z Jassesem Yeomanem. Proszę usiąść.

Była niska, szerokość jej ciała prawie dorównywała wzrostowi, lecz wyglądała na muskularną, a nie otluszczoną. Miała połyskliwe czarne włosy i twarz o barwie miedziaka. Jej rysy były tak ostre i wyraziste, że nadawały jej męski wygląd. Piersi i mocny brzuch wypychały wyblakłą kwiecistą bawełnę sukienki.

– Jak go zabito? – zapytała.

– Został otruty.

Gospodyni się skrzywiła.

– Kto zrobił coś takiego?

– Policja jeszcze tego nie wie. Na razie.

Wyczułem jakiś ruch obok drzwi. Odwróciłem się w porę, by zauważyć dwóch mężczyzn, którzy bez słowa weszli do pokoju. Byli barczyści i poruszali się jak duże koty. Oparli się o ścianę przy drzwiach. Jeden odezwał się do kobiety, mówiąc szybko potoczną hiszpańszczyzną. Nie zrozumiałem ani słowa. Odpowiedziała mu gniewnie.

– Dwaj z moich synów – rzuciła pogardliwie. – Pracował pan dla Jassa?

– Tak.

– Powiedział panu, żeby w razie jego śmierci przyjechał pan do mnie i coś mi dał?

– Nie.

– To chyba nieważne. Czyja kiedyś go o coś prosiłam?

Nie! Dawał, bo taka była jego wola. – Zamilkła i przechyliła głowę. – W takim razie dlaczego pan tu jest?

– Usiłuję się dowiedzieć, kto zabił Jassa i jego żonę – odparłem, po czym się zawahałem. – Wspomniał mi raz o pani.

Jej twarz się rozpromieniła.

– Tak? I co powiedział?

– Że była pani dla niego bardzo ważna dawno temu.

– O tak. Mój Boże, byłam piękna! Kto by teraz pomyślał? A on był prawdziwym mężczyzną, miał w sobie szaleństwo. Wie pan? I głębokie uczucie do mnie. Mogłam go skłonić, żeby się ze mną ożenił. Wielki błąd.

– Westchnęła, a potem znów zmierzyła mnie intensywnym spojrzeniem.

– Kim jest ta kobieta obok pana?

– To jest panna Webb. Ja nazywam się McGee. Możliwe, że jej brat zginął z rąk tych samych ludzi, którzy zabili Jassa.

Twarcz mojej rozmówczynie pociemniała.

– Uważa pan, że mogę coś wiedzieć. Czy ja mogłabym zrobić coś złego takiemu mężczyźnie? Był dla mnie dobry! Kto go zmuszał, żeby dawał pieniądze na dziecko? Nikt! Kochał ją tak jak ja. Czy nie wziął jej do siebie do domu? Wyszła za porządnego człowieka. Zawsze dawał jej pieniądze na ubrania, szkołę, leczenie, wszystko. Ma taką wielką kuchnię, jakiej nigdy nie widziałam. Myślał o niej jak o córce. Mam jego listy, pisze, że jest jego córeczką. Ufał mi, nigdy bym go...

Potok jej wymowy przerwało kilka głośno wypowiedzianych po hiszpańsku słów, które dobiegły mnie z tyłu. Jak na *gringo* nie najgorzej rozumiem ten język, lecz kiedy władający nim nie chcą być zrozumiani, można wyłapać zaledwie pojedyncze niezwiązane ze sobą wyrazy. Kobieta wsłuchiwała się w wypowiedź, spojrzała z powątpiewaniem, a potem gniewnie. Coś odrzekła, młody mężczyzna znów przemówił. Gospodyni odpowiedziała łagodniej.

– Co czuła do niego Dolores? – zapytałem.

– Kochała go – odparła z wielką godnością Amparo. – Co innego można czuć do ojca? – Zagryzła wargę i zerknęła na syna. – Nikt nie wie o tym, że pan do mnie przyjechał?

Tego rodzaju pytanie uruchamia wszystkie dzwonki alarmowe. Było nadzwyczaj niezręczne i nie ulegało kwestii, że podpowiedział je kobiecie syn. Jednak z drugiej strony wszystko, co się do tej pory zdarzyło, było niezręczne. Morderstwo to nie zabawa dla amatorów, dla nieślubnej służącej i jej przyrodnych braci. Zbyt dużo czasu zajęło mi dopasowywanie w myślach fragmentów układanki i moja odpowiedź padła za późno.

– Przysłał mnie tutaj szeryf Buckelberry. – Wypowiedziałem te słowa z opóźnieniem i niezręcznie; zabrzmiały równie fałszywie, jak pytanie. Indolencja bywa zaraźliwa.

Isobel wyczuła, co się dzieje; wsparła mnie pospiesznie i ze zbyt silnym przekonaniem:

– O tak, szeryf wie, że do pani przyjechaliśmy. Usłyszałem ruch, obejrzałem się i zobaczyłem, że chłopcy zniknęli. Poczułem dotknięcie lodowatego zimna na szyi. Amparo patrzyła ze zdziwieniem. Było dla mnie jasne, że nie uczestniczyła w tym, co się do tej pory wydarzyło.

– Czy pani synowie mieszkają tutaj? – spytałem grzecznie.

– Hę? Nie, ci dwaj nie. Charlie i Pablo. Przyjechali mnie odwiedzić. Chyba nie mają pracy. Mieszkają w Phoenix. Mój pierwszy mąż nazywał

się Canario. To jego synowie. To samo nazwisko daliśmy Dolores. Mam trzy córeczki o nazwisku Sosegado. *Senior* Canario umarł. Porządny człowiek. Teraz moim mężem jest Esteban Sosegado, przeleży w łóżku resztę życia. Jest w innym pokoju. Ciągnik go przygniół, nie ma ubezpieczenia. Dajemy radę. Gdyby Jass coś zostawił, byłoby teraz łatwiej. Ale skoro nie... – Wymownie wzruszyła ramionami.

– Ma pani listy Jassa?

– Oczywiście! – odparła, prostując się.

– Mogę któryś zobaczyć?

Wstała bez słowa i wyszła z pokoju. Isobel spojrzała na mnie nerwowo.

– Będą kłopoty?

– Nie wiem, nie przejmuj się tym.

Raptem gdzieś na tyłach domu rozległ się krzyk Amparo. Po chwili wpadła do pokoju sztywna ze złości; po jej miedzianozłotej twarzy płynęły łzy.

– Znikły! – zawołała. – Wszystkie. Pudełko jest puste. Listy i zdjęcia, na których uśmiechamy się i jesteśmy szczęśliwi. Zdjęcie Jassa z małą Dolores w ramionach. Wszystko znikło. Kto mógł coś takiego zrobić?

Wiedziałem, że nic więcej z niej nie wydobędę, była zbyt wstrząśnięta utratą skarbu. Jednak pożegnała się z nami, kiedy ruszaliśmy w kierunku kościoła i jedynej uliczki osady Burned Wells. Wróciliśmy do sklepu. Latarnia wciąż syczała, lecz nikogo nie było w pobliżu. W nieruchomym chłodnym powietrzu wiejskiej nocy zawisła przedziwna cisza. Otworzyłem Isobel drzwi samochodu, usiadłem za kierownicą i odwróciłem się do dziewczyny. Ująłem ją za rękę.

– Mogą być kłopoty – powiedziałem cicho. – Ci dwaj wcale mi się nie podobali. Pytanie, które zadała Amparo, także. Pryskamy stąd, jakby nas gonili wszyscy diabli, więc mocno się trzymaj. Jeśli powiem ci, żebyś położyła się na podłodze, schowaj głowę pod skrytkę.

– D-dobrze.

Uruchomiłem silnik i zawróciłem, wciskając gaz, aż zabuksowały koła. Ruszyłem tą samą drogą, którą przyjechaliśmy. Wyciągnąłem rękę, żeby zapalić światła, ale się rozmyśliłem. W blasku gwiazd widziałem jasny pas drogi biegnącej jak strzełił po równym terenie. To był zacny mały samochódzik, ja zaś wyciskałem z niego, ile się dało. Spodziewałem się, że Isobel będzie histeryzować, wzięła się jednak w garść i siedziała nieruchomo. Nie zdradziłem jej, co mnie niepokoiło. Zauważyłem niewyraźną mgiełkę snu-

jąca się tuż nad poziomem ziemi po prawej stronie drogi i równoległe do niej. Prawie wcale nie było wiatru, mógł to być tuman kurzu pozostawiony przez przejeżdżający wcześniej pojazd.

Musiałem znacznie zwolnić, kiedy dotarliśmy do zbozka, po którym droga wiała się w labiryncie kamieni. Moje oczy zdążyły już przywyknąć do ciemności, widziałem więc wyraźnie ciężkiego pick-upa, który stał ze zgaszonymi światłami i całkowicie blokował drogę. Isobel także go zauważyła. Usłyszałem, jak wzdycha. Wybrali dobre miejsce, po obu stronach wznosiły się strome skały. Nacisnąłem hamulec, wrzuciłem wsteczny i wystawiłem głowę przez okno. Z obłąkańczą prędkością pędziłem w dół na wstecznym biegu. Rozległ się potężny trzask i poczułem ostre pieczenie na ręce, którą trzymałem kierownicę, i z tyłu na szyi. Wystraszyłem się i straciłem panowanie nad wozem, który uderzył w kamień, wpadł z powrotem na drogę, a następnie prześlizgnął się na jej przeciwną stronę. Wciskałem hamulec, aż samochód omal nie przekoziółkował. Znow znalazł się na drodze, wpadł w zakręt i go ściał, a potem ze zgrzytem zatrzymał się na wybrzuszeniu gruntu. Tylne koła zawisły w powietrzu.

Chwyciłem Isobel za nadgarstki i wywlokłem ją z auta przez drzwi od strony kierowcy. Gwiazdy świeciły aż nazbyt jasno. Pchnąłem ją byle dalej od drogi, prosto ku piętrzącej się masie głazów, na których zalegały głębokie cienie. Isobel stękała i parła przed siebie w butach na obcasach. Kiedy znaleźliśmy się w mroku, pociągnąłem ją w dół, a potem przykucnąłem na piętach i spojrzałem w kierunku samochodu. Wysiadając z niego, obejrzałem się za siebie i zobaczyłem dziurę wybitą w przedniej szybie po mojej stronie prawie na samym środku. Siatka pęknięć odchodzących od centralnego otworu sprawiła, że niemal cała owiewka z wyjątkiem kawałka po stronie pasażera stała się matowa. Isobel oddychała z wysiłkiem. Popatrzyłem na zbocze i dostrzegłem niepokojąco wyraźne ślady, które zostawiliśmy na łasze nawianego przez wiatr piachu. Musieliśmy czym prędzej stamtąd odejść w stronę skał. Zdjąłem z nóg Isobel czółenka i oddałem je, dopiero gdy oderwałem obcasy.

– Jakoś sobie poradzisz. Musimy ruszać.

Zaczynała mi się podobać, trzymała się dzielnie. Ruszyliśmy w stronę ocienionego zbozka; co jakiś czas przemykaliśmy przez plamy światła gwiazd, by po chwili zniknąć w mroku. Słyszałem, że jeden z mężczyzn coś krzyknął, a drugi mu odpowiedział. Głosy dochodziły z niebezpiecznie ma-

łej odległości. Mozolnie oddalaliśmy się od drogi i od samochodu. Dotarliśmy do skalistego podłoża, ocenilem, że damy radę. Kazałem Isobel złapać mnie ręką za pasek. Posuwałem się na skos ściany. Miała jakieś pięćdziesiąt metrów. Wdrapałem się na grzbiet skalny i po chwili znalazłem po drugiej stronie na rozległej połaci piachu o szerokości około dwunastu i długości osiemnastu metrów. Miała podłużny kształt i tworzyła lekkie zagłębienie; piasek wydawał się zadziwiająco jasny w nocnym blasku, czerwone skały były nakrapiane czernią.

Obejrzałem się i zobaczyłem błysk latarki i jej ruch obok ścieżki, którą podążaliśmy. Kończyła się przy zboczu wzgórza. Tamci weszli na górę, a był to ich teren, nie mój. Mieli broń, a ja miałem ze sobą zdysznaną kobietę. Wokół dwóch boków piaszczystej niecki wznosiły się nierówne skaliste zbocza. Można było po nich wejść, biegły w górę na wysokość około dziesięciu metrów. Trzecią stronę zamykało niemal pionowe urwisko tej samej wysokości. W ścianie znajdowało się wejście do jaskini, wąskie i wysokie.

– Rób dokładnie to, co ci każę – powiedziałem cicho do Isobel.

Podążała obok mnie długimi krokami prosto ku otworowi groty. Jaskinia sprawiała wrażenie głębokiej. Podniosłem z piasku grubą gałąź. Wróciliśmy po swoich śladach odbitych w sypkim piasku i dotarliśmy do krawędzi, którą pokonaliśmy wcześniej. Spojrzałem nad nią i stwierdziłem, że nie damy rady ująć pogoni. Po zboczu wspinały się szybko dwie ciemne postaci. Dostrzegłem nikły refleks światła na metalu. Mimo to musiałem podjąć próbę. Kazałem Isobel pędzić do miejsca, w którym kamienie wyglądały na łatwiejsze do sforsowania, i powiedziałem, że ma wspiąć się na samą górę. Ruszyłem za nią, szerokimi machnięciami zacierając gałęzią nasze ślady. Jednak w każdej chwili zza grzbietu mogła wynurzyć się głowa i bylibyśmy widoczni jak na dłoni.

– Stój! – rzucił ostro jeden z naszych prześladowców. Usłyszałem daleki warkot hałaśliwego silnika, który musiał wzbudzić ich niepokój.

Głosy braci Canario niosły się daleko w nieruchomym powietrzu.

– To pewnie stary Tom wraca z Quintana. Nasz cholerny pick-up zastawia drogę.

– Zostań, nie wchodź wyżej. Ja przestawię samochód.

Pobłogosławiłem starego Toma i zamiotłem drogę aż do kamienistego stoku. Rzuciłem gałąź i wspiąłem się na górę. Isobel już tam była. Formacja skał wyglądała tak, jakby olbrzym wziął w dłonie sto ton kamiennych kloc-

ków domina i usypał z nich nieregularny stos. Były między nimi setki kryjówek. Zaprowadziłem Isobel do jednej z nich i kazałem się nie ruszać.

– A ty co zrobisz?

– Jeśli się nie uda, wgramol się w najgłębsze miejsce, jakie znajdziesz, i ani mru-mru. Prędzej czy później Buckelberry przyjedzie cię szukać. Trzymaj się życia.

Zatoczyłem krąg i wróciłem na szczyt skalnej ściany ponad otworem jaskini. Z wielką ostrożnością spojrzałem w dół na przyczajonego tam mężczyznę. Siedział w kucki, na tle krępego cienia jarzył się czerwony ognik papierosa. Posuwałem się dalej, aż znalazłem się wprost nad jaskinią. Widziałem nasze ślady. Wyglądały przekonująco. Wymacałem ręką trzy kamienie. Pięciokilogramowy odłamek długości około czterdziestu centymetrów i dwa wielkości małych piłek. Usłyszałem warkot uruchamianego pick-upa. Kierowca wrzucił niski bieg. Po chwili odgłos ucichł, gdy samochód zjechał z drogi. Przybliżał się za to łoskot hałaśliwego silnika. Teraz pracował swobodniej, bez wysiłku. Usłyszałem ludzkie głosy, a zaraz potem samochód popyrkotał przez noc do osady Burned Wells.

Trzymałem głowę nisko. Umysł ludzki jest dziwny.

Mimo strachu zachciało mi się śmiać. Kobieta, jaskinia, ucieczka oraz arsenał śmiertcionośnych kamieni. Sto tysięcy lat rozwoju ludzkiej cywilizacji. Oczami wyobraźni zobaczyłem kadr z kreskówki, na którym włokę Isobel za włosy, a ona peroruje o syndromie męskiej przemocy.

Nie odważyłem się wyjrzeć ponownie. Sylwetka na tle gwiazdzistego nieba rzuca się w oczy. Usłyszałem brzęk metalu o skałę, a potem cichą rozmowę. Byli teraz bliżej siebie niż przedtem, nie mogłem dosłyszeć, co mówią. Zasadniczo ich plan, tak jak go sobie wyobrażałem, był bez zarzutu. Ile razy można uciekać się do trucizny? Lepiej od razu załatwić tę gadatliwą parkę, zwlec ciała na dół i wrzucić do bagażnika samochodu. Ściągnąć go z piargu, na którym utkwiał, wybić kamieniem strzaskaną szybę. Przejechać nim przez dolinę i dalej. Wpakować do wąskiego *arroyo*, przysypać kamieniami, zamaskować gałęziami. I lec spokojnie w łóżku, zanim wędzie słońeczko.

Kiedy ponownie usłyszałem głos, był już niebezpiecznie blisko.

– Wbiegnij prosto do tej jaskini, Pablo.

– Może ma strzelbę?

– Gdyby ją miał, zaczęłby się na nas wśród tych głązów.

- Duży chłop i widać, że wredny.
- Ja też go widziałem. Hej, wy tam! Wyłaźcie, nic wam się nie stanie. Czekali. Cisza aż dudniła w uszach.
- Bo wejść do środka i rąbnę z karabinu.
- Charlie, może ta jaskinia ma wylot z drugiej strony.
- Daj latarkę, zajrzę tam.

Odczołgałem się odrobinę od krawędzi. Wziąłem w obie dłonie duży ostry kamień i na kolanach zbliżyłem się do skraju skały. Uniosłem go wysoko nad głowę, a potem cisnąłem na tego, który znajdował się wprost pod mną i ostrożnie schylony świecił latarką w głąb groty. Drugi stał jakieś pięć metrów za bratem i okazał się bardzo, bardzo czujny. W chwili gdy rzucałem kamień, strzelił z biodra. Kamień znajdował się na wysokości mojej klatki piersiowej, kiedy pocisk trafił w niego, zrykoszetował i z wizgiem śmignął w ciemność. Odczułem siłę uderzenia, kiedy wypuszczałem kamień z rąk. Momentalnie odtoczyłem się w tył; nie wiedziałem, czy strzał nie ostrzegł także tego, w którego mierzyłem, żeby czmychnął poza zasięg mojego rzutu. Usłyszałem jednak ciężkie, puste klapnięcie, jakby dojrzała dynia spadła na betonową posadzkę.

Leżałem płasko na skale. Tamten nie mógł wiedzieć, czy jego pocisk mnie nie musnął albo poważnie nie zranił. Jeśli kula uderzy pod odpowiednim kątem, odskakuje rykoszetem od czaszki.

Panowała cisza. Usłyszałem wrzask bólu i żalu, a potem dziki ryk:

– Zabiłeś go, ty skurwysynu! Rozwaliłeś głowę mojemu bratu, niech cię szlag!

– Wracaj do domu, Pablo. To cię przerasta.

Znów zapadła cisza, a potem z nieco większej odległości dobiegł następny wrzask:

– Wypruję ci flaki!

Wycofywał się, żeby uzyskać lepszy kąt strzału. Przemknąłem do miejsca, w którym kamieni było pod dostatkiem, i z zapałem jąłem nimi ciskać. Śmigały w powietrzu, zataczając łuki; mierzyłem w miejsce, w którym według mojej oceny powinien być przeciwnik. Pobiegłem trzy metry w bok i odważyłem się wyjrzeć. Pablo wdrapywał się po stoku wznoszącym się nad piaszczystą niecką, na który wspięliśmy się z Isobel. Wziąłem do ręki duży kamień i dobrze wymierzyłem. Trafiłem go w biodro i upadł na ziemię, ale mimo to zdołał oddać strzał. Pocisk, który przelatuje tuż obok gło-

wy, nie świszczcie i nie gwizdźcie. Wydaje słyszalny, podobny do nagłego sapnięcia odgłos, bardzo krótki i bardzo wymowny.

Odtoczyłem się na bok i rzuciłem jeszcze jeden kamień. Pozbierałem się szybko na nogi i znalazłem inne miejsce, z którego mogłem wyrzeć. Pablo zszedł na dół po zwalisku kamieni i przemierzał piaskową nieckę. Zbiegł jak kot po kawałku litej skały poniżej miejsca, w którym zaczynał się piach; na chwilę zatrzymał się obok ciała brata leżącego poza moim polem widzenia. Zszedł dość nisko, a potem odwrócił się, lekko przywierając plecami do zbocza.

– Słyszysz mnie tam?! – zawołał.

– Słyszę cię świetnie.

Teraz mówił spokojniej, kontrolowanym głosem.

– Nie zwariowałem, nie dam ci szansy, żebyś także mnie walnął kamieniem w łeb.

– W takim razie odejdz.

– To by ci pasowało. O świcie znów za tobą ruszę. Zabiłeś mojego rodzinnego brata. Coś ci obiecuję. Myśl o tym przez całą noc. Rano będziesz zdychał z bebechami na wierzchu i patrzył, jak zabawiam się z twoją kobietą.

– Dużo gadasz, Pablo. Tak samo jak twój brat.

– Dopekasz mi, żebyś wszedł na górę i żebyś mógł mi przywalić kamieniem. Znam miejsce, z którego mogę obserwować to wzgórze, całą jedną stronę. A drugą nie zejdziesz na dół. Dobrze widzę w ciemności, koleś.

Z początku rozmawialiśmy podniesionymi głosami, teraz jednak odnalazły swoje właściwe natężenie w ciszy pustkowia.

– Który z was zabił Monę Yeoman? Ty czy twój braciszek, który leży teraz jak karma dla kotów?

– Nie rozdrapuj moich ran, koleś. Ja ją rąbnąłem. Niezły strzał, co? Nie z tego karabinu. Chciałem przesunąć go ciut w bok i następną kulę wpakować w ciebie. Mniej kłopotu dla wszystkich. Ale łuska pierwszego pocisku pękła i zaklinowała się w komorze. Zahaczyła o zaczep wyrzutnika.

– Prawdziwi z was spryciarze, co? Nic nie zrobiliście jak należy.

– Od tej pory wszystko będzie jak należy, koleś.

– Tak mówi ci przyrodnia siostra, co? Stale ci to powtarza.

– Doe niezłe wszystko wykombinowała.

– Jest tak samo głupia jak ty, Pablo.

– Tak myślisz? Powiedziała nam, że Mona mogła cię wynająć, żebyś stuknął starego. Dlatego musiała zginać pierwsza, a on miał nie wiedzieć, że jego żonka już jest trupem, bo wtedy mógłby spisać nowy testament. Myślisz, że to głupie?

– Morderstwo to zawsze głupota.

– Doe nie jest głupia. Wyciągnęła od Mony, w jaki sposób najłatwiej zgarnąć tego profesorka. Wszyscy myśleli, że z nim prysnęła, no nie? Powiedziała nam, że Mona chce cię zabrać do tej chaty w górach. W sam raz miejsce, co? Szkoda, żeś nie słyszał tego pajaca, jak nam zawile tłumaczył, że nie powinniśmy go zabijać. Te jego uśmiechy. Ale przez ostatnie trzy minuty, zanim wysadziliśmy skałę i przywaliliśmy go kamulcami, darł się jak opętany.

– Masz klasę, Pablo, a i rozumu ci nie brak. Tak jak twojemu kumpłowi Pompe. Albo tym śmieciom, których wsadziliście do samolotu do El Paso. Jesteś takim samym truchłem jak twój braciszek, tylko jeszcze o tym nie wiesz.

– Mną się nie przejmuj. Wszystko gra. Rozwalę was oboje, ukryję zwłoki i wyjadę na parę lat. Doe ma cwane go adwokata, który trzyma dowody, że Yeoman był jej tatuśkiem. Pogrzebię was razem z moim bratem Charliem. Doe będzie bogata, koleś. Za parę latek wrócę i po cichu się z nią spiknę.

– Nie zastaniesz jej w tej okolicy i nie będzie bogata, Pablo. Podsypała staremu strychniny do kawy; Buckelberry sprawdza, skąd ją wzięła. Pewnie od was. Na ranczach używają jej jako trutki na szczury, co?

Gwiazdy świeciły jasno. Jakiś podobny do psa zwierz zawył w oddali. Ciarki przeszły mi po plecach.

– Myślisz, żeś pozjadał wszystkie rozumy? Kto widział Doe? Nikt!

W jego głosie zabrzmiała buńczuczność, ale taka, która płynie z niepewności, może lęku.

Nie mogłem zrozumieć tej trójki. Czyżby wymyślili sobie krucjatę? Mężczyzna, jego żona, jej kochanek, wynajęty zabójca i brat jednego ze sprawców – wszyscy nie żyją. Co nakręca sprężynę krwawej maszyny? A Pablo chciał powiększyć żniwo z pięciu do siedmiu ofiar. Gdyby państwo wymierzyło sprawiedliwość rodem z dżungli, jak to ma w zwyczaju, z siódemki zrobiłaby się dziewiątka. I po co to wszystko?

– Pablo?

– Szkoda, że nie załatwię cię nożem.

– Tak sobie myślę. Dolores wiedziała, że Jass był jej ojcem, pracowała u niego i Mony od lat. Potem się zwolniła i wyszła za męża. A wtedy nagle się zaczęło...

– Trafiłeś w sedno, koleś. Zaczęło się, i to na dobre.

– Namówiła was, żebyście jej pomogli.

– Chciała być bogata. Czemu nie?

– Czy Yeoman nie był dla niej dobry?

Pablo wydał z siebie śmiech, od którego zrobiło mi się zimno.

– Och, jaki on był dla niej dobry. Aż za dobry. W tym właśnie rzecz, koleś. Ile dobroci można wytrzymać?

Zrozumiałem, że w ten sposób nic już nie wskóram. Chłopak zaczynał bredzić.

– Gdzie jest ciało Mony?

– Znajdą je, nie będą mieli wyboru.

– Jeszcze o jedno chcę cię zapytać. W domu twojej matki było dość ciemno, nie mogłem się dobrze przyjrzeć tobie i twojemu bratu. Ale mam wrażenie, że już was gdzieś widziałem.

– Bywamy tu i ówdzie – odparł swobodnym tonem. – Ja widziałem cię dobrze przez celownik optyczny. Sześciokrotne powiększenie. Linie przecinały się na twoim brzuchu. Zero wiatru. Pięćset metrów.

– Czy to wy staliście na ulicy przy tym pick-upie w dniu, w którym odwiedziłem waszą siostrę?

– Przyśniło ci się?

– Co ci zależy, Pablo?

Odpowiedział po dłuższej chwili:

– Chciała nas zabić za to, że przyjechaliśmy do niej w biały dzień. Charlie opowiedział jej o Pompe, o tym, że chłopak super śmiga nożem. Popłakała się, wyobrażasz sobie? Poryczała się z powodu starego.

Ostrożnie macałem ręką w ciemności i znalazłem kamień, który świetnie leżał mi w dłoni. Był nieco zbyt ciężki na normalny rzut, ale mogłem go cisnąć wyprostowanym ramieniem, tak jak rzuca się granat. Szansa, że zrobi Pablowi jakąś krzywdę, była minimalna, jednak zawsze warto spróbować. Kąt nachylenia także był niekorzystny. Pablo znajdował się ze trzydzieści metrów ode mnie w dół stoku wzgórza. Musiałem się nieco wyprostować, narażając na to, że dostrzeże moją sylwetkę.

Policzyłem do trzech, uniosłem się i rzuciłem. Tuż po tym, jak kamień oderwał się od mojej dłoni, kiedy już opadałem, usłyszałem huk wystrzału i poczułem nieprzyjemne szarpnięcie za materiał koszuli obok ramienia. Szarpnięcie i słaby podmuch ciepła. Mój przeciwnik był diabelnie dobry, świadomość tego mogła przygnębić. Kamień stuknął o skalną ścianę i stoczył się na sam dół zbocza. Pablo krzyknął na mnie kilka razy. Milczałem, licząc na to, że go nabiorę. Pomyśli, że trafił, i przyjdzie, aby przekonać się naocznie. Przestał nawoływać. Usłyszałem jakiś odgłos w większej odległości. Podczołgałem się bliżej i spojrzałem na Pabla w blasku gwiazd. Był dziesięć metrów od podnóża stoku i oddalał się od niego. Dotarł do pagórka jakieś sto pięćdziesiąt metrów dalej i straciłem go z oczu, kiedy jął się wspinać. Istotnie miał dobry punkt obserwacyjny. Jeśli postanowimy zejść z wyższego wzgórza, chcąc nie chcąc znajdziemy się na płaskim terenie. Trudno liczyć, że niebo się zachmurzy, bo było to mało prawdopodobne, więc będziemy wyglądali jak muchy na talerzu ustawionym przed Pabłem i jego niezawodną flintą. Nie potrzebowałem dalszych dowodów świadczących o tym, że tą stroną wzgórza nie sposób jest zejść.

Przetoczywszy się na ręce i kolana i odwróciwszy od krawędzi skały, prawie wpadłem w pole zwierzęcego gorąca. Serce omal nie wyskoczyło mi z piersi. Zakradła się jak duch. Srebrny poblask na wilgotnych oczach i wardze, przyjemne ciepło oddechu.

– Usłyszałam jakieś wrzaski i pokrzykiwania – szepnęła.

– Jeśli nie mogę być pewny, że zrobisz to, co ci mówię...

– Przestań, proszę. Pomyślałam, że mogę ci się na coś przydać... – Wypuściła z ręki ostry kamień, który przyniosła. Zaterkotał na skale między nami. Odprowadziłem ją od krawędzi i przycupnęliśmy. Nie chciałem sterceć na widoku, kiedy Pablo spróbuje strzelić na ślepo, licząc na łut szczęścia. Powiedziałem jej, gdzie jest, i co spotkało drugiego prześladowcę. Podczołgała się dość blisko i słyszała większość mojej pogawędki z bratem zabitego. – Co możemy zrobić? – zapytała.

– Nie wiem, musimy coś wymyślić. Trzeba przygotować mu jakąś niespodziankę. Gdy wróci tutaj o świcie, nie popełni głupiego błędu. Załatwi sprawę na zimno.

– Tamten także miał broń.

– Pablo ją zabrał, słyszałem, jak jego brat kładł ją na skale. Zsunęła się nieco, a on ją złapał.

Kazałem Isobel okrążyć szczyt wzgórza i zaczekać na mnie w miejscu, do którego wspiealiśmy się poprzednim razem. Do rumowiska kamieni nad piaszczystą niecką, w której leżał zabity.

Spojrzałem w dół na jego rozciągnięte na piachu ciało. Zsunąłem się z krawędzi skały, odepchnąłem nogami i potoczyłem w dół. Na wszelki wypadek nie oddalałem się od skalnej ściany. Charlie nie zaliczał się do pedantów. W czystym pustynnym powietrzu silniejszy od odoru śmierci był zwierzęcy smród, który się nad nim unosił. Moje zmysły zareagowały atawistycznie, poczułem, że włoski na moim karku się unoszą. Tak działał zapach ubitego wroga.

Poszukiwałem narzędzi. Nieopodal otworu jaskini dostrzegłem niewielki cień, zbyt regularny w zarysie, aby mógł być pochodzenia naturalnego. Podeszedłem i zobaczyłem latarkę, tani model w czarnej metalowej obudowie. Wszedłem tyłem do groty, skierowałem latarkę na głowę Charliego i wcisnąłem przycisk. Ścisnęło mnie w żołądku i usłyszałem, że Isobel się krztusi. Wsunąłem zdobycz do kieszeni i odczekałem, aż znów zacznę dobrze widzieć w ciemności. Później ostrożnie niczym gospodyni domowa podnosząca z ziemi w ogrodzie martwego węża przeszukałem ciasne kieszenie spodni Charliego. Jedynymi rzeczami, które mogły się przydać, były składany scyzoryk i szeroki pas podtrzymujący brudne spodnie. Kiedy przetoczyłem zwłoki, żeby rozpiąć klamrę, z gardła trupa uwolniły się uwięzione gazy.

Gramoliłem się bezładnie w górę po stoku, byle jak najprędzej oddalić się od zabitego. Isobel czekała przy szczytcie wzgórza. Dotarliśmy do ogromnego spiętrzenia skał, jakoś przedarliśmy się przez nie i znaleźliśmy się w miejscu, w którym gruba warstwa litego kamienia oddzielała nas od czającego się w dali Pabla. Powoli mogłem się rozluźnić. Naukowcy są dziś w stanie zademonstrować za pomocą kamery stroboskopowej i zwolnionych zdjęć, co nowoczesny pocisk karabinowy robi z ludzkim mięsem. Wykorzystują do tego żelatynę o odpowiedniej konsystencji. Te obrazki zapadły mi w pamięć aż nazbyt wyraźnie.

Usiedliśmy pod ukośnie wznoszącą się ścianą na skalnym stopniu, który przypominał kształtem fotel.

- Co odczuwasz w związku z tym, że go zabiłeś?
- Cholernie głupie pytanie.
- Przepraszam, ale... czuję się z tobą dziwnie po tym, jak to zrobiłeś.

– Powiedzmy, że mam mieszane uczucia, kotku. Jest w tym odrobina satysfakcji, bo on miał strzelbę, a ja kamień. Wyprowadziłem go w pole, wykorzystując bardzo prosty fortel. Jest także ździebko smutku z powodu jego zmarnowanego życia. Do tego szczypta ironii. I wstrętu, jaki odczuwa dziecko po zabiciu wróbla.

Położyła dłoń na moim ramieniu.

– Cieszę się, że masz te wszystkie odczucia. I że starasz się być uczciwy.

– Zostań tutaj. Rzucę okiem na zbocze z tej strony.

Był to przykry widok. Znajdowaliśmy się na wypiętrzonych formacji skalnej przypominającej podnózek, obok którego z jednej strony nagromadziła się warstwa piachu. Podnózek o wysokości dwunastu pięter z wieńczącą go poszarpaną skałą o powierzchni około czterdziestu arów. Stanąwszy przy krawędzi i spojrzawszy w dół, zobaczyłem spory kawałek wijącej się drogi. Mój samochodzik przypominający żuka tkwił obok zakrętu, a półciężarówka braci Canario stała zaparkowana przy drodze jakieś sześć metrów za nim. Zdawało mi się, że gdybym splunął, ślina by tam doleciała. Położyłem się na brzuchu i wyjrzałem poza krawędź w kilku miejscach. Ani cienia szansy.

Wróciłem do Isobel. Siedziała, obejmując się rękami. Ciepło skał rozgrzanych za dnia przez słońce zaczynało ulatywać, a noc była zimna.

Usiadłem blisko dziewczyny i otoczyłem ją ramieniem.

– Musimy go jakoś wciągnąć w pułapkę, Iz.

– Może się uda, jeśli znajdziemy miejsce, w którym nie będzie mógł użyć broni.

– Iz którego nie zdoła nas wykurzyć. I w którym będziemy mogli przygotować dla niego niespodziankę.

Wstaliśmy i zaczęliśmy się rozglądać po naszym wielkim skalistym placu zabaw. Isobel zawołała mnie cicho. Podeszedłem i zobaczyłem, że z namysłem przypatruje się trójkątnemu otworowi, który utworzyły dwa ogromne głazy. Znajdował się na poziomie ziemi i był niewielki. Położyłem się i zaświeciłem latarką. W środku było sporo miejsca. Wczołgałem się i zobaczyłem, że metr dalej grotka ładnie się rozszerza. Nie była to właściwie grotka, lecz puste miejsce między głazami. Podłoże było nachylone pod kątem trzydziestu stopni, roilo się w nim od zakamarków, zagłębień i występów. Cztery metry od wejścia, za niewielkim załomem zauważyłem miej-

sce, w którym jedna osoba mogła się ukryć tak, że nie było jej widać od wejścia. Kryjówka, lecz także potencjalna pułapka.

Uzbroiliśmy ją. Zajęło to kilka godzin pracy. Isobel wpadła na kilka smakowitych morderczych pomysłów. Poświeciła mi latarką, a ja pociąłem pas zabitego na długie wąskie rzemyki. Człowiek to groźny myśliwy, ale jako zwierzyzna także bywa niebezpieczny. Znalazłem kawał suchego twardego drewna grubości mojego nadgarstka. Zaostrzyłem je i mocno wcisnąłem w szczelinę obok wejścia do groty w miejscu, w którym się rozszerzała. Zajmowało całą jego szerokość. Przywiązałem skórzany rzemień do końcówki pała, przeciągnąłem go nad sterczącą wypustką kamienia i umocowałem za pomocą węzła. Kazałem Isobel przycisnąć węzeł do kamienia, a sam wyteżyłem siły i wygiąłem twarde drewno tak, by znalazło się nad wejściem groty. Po ponownym przywiązaniu rzemyka do skały powoli zwolniłem nacisk. Skórzany pasek wytrzymał i był tak napięty, że brzdęknął jak struna, kiedy go trąciłem.

Przeczołganie się pod naprężonym drewnem kosztowało mnie sporo nerwów. Wyszedłem i usunąłem ślady, które zostawiliśmy obok otworu groty, ale niezbyt starannie. To również należało do mojego planu. Rozdarłem rękaw żakietu Isobel, wyrwałem jasną nitkę i zaczepiłem ją o krawędź skały tuż obok otworu. Pablo zauważy go w dziennym świetle, jeśli jest bystrym tropicielem. Mogłem zakładać, że tak właśnie sprawy się miały.

Nie spodziewałem się, by podjął próbę zaskoczenia nas w ciemności, ale i tak postanowiłem się zabezpieczyć. Wetknąłem w otwór patyk w taki sposób, żeby wchodzący do groty musiał go usunąć, i poprowadziłem od niego skórzany pasek, który przymocowałem do sterczącego fragmentu skały. Przywiązałem do niego metalowe części rozmontowanej latarki; ustrojstwo przypominało dzwonki wietrzne. Najlżejsze dotknięcie patyka powodowało słyszalny brzęk.

Kiedy zgromadziliśmy trochę kamieni do rzucania, odpowiednio ciężkich i dużych, nie pozostało nam nic więcej do zrobienia. Latarka została rozmontowana, toteż w grocie panowała całkowita ciemność. Przećwiczyliśmy, jakie pozycje będziemy zajmowali, a potem rozciągnęliśmy się na spadzistym skalistym podłożu, lekko zapierając się o nie stopami. Trzymałem Isobel w objęciach. Zaczynało jej doskwierać zimno. Pozycja była niezręczna i niewygodna. Po jakimś czasie poruszyłem się i zdjąłem marynarkę. Ułożyłem się w niższej części groty, opierając się plecami o kamienną ścia-

nę. Przyciągnąłem do siebie Isobel, otoczyłem ją ramionami i okryłem nas marynarką.

– Lepiej? – zapytałem.

– Chyba tak – odpowiedziała szeptem. Wciąż drżała z chłodu. Wtuliła się we mnie mocniej, przycisnęła twarz do mojej szyi i objęła mnie w pasie. Pachniała wanilią, co przywodziło mi na myśl smakołyki, jakimi raczyłem się po seansie w kinie dawno temu, kiedy byłem dzieckiem. Długo trwało, zanim przestała się trząść.

Rzecz jasna, należało także brać pod uwagę katalizatory. Wszystkie. Noc, czyjaś śmierć, strach, bliskość, bezpieczne odosobnienie groty. Samiec i samica w najprymitywniejszym rodzaju współdziałania. Była pokręconą dziewczicą, która lękała się mężczyzny, seksu, przyjemności, żądz – wszystko to uważała za elementy nikczemnego spisku wymierzonego w siebie. Teraz jednak pojawił się daleko większy strach. Nasze oddechy mieszały się, a ja wyczułem, że zaczyna w niej dojrzewać świadomość. Mocno trzymała mnie rękami. Jej oddech z wolna się pogłębił, w szczytowym momencie wdechu następowało trudne do uchwycenia zawahanie; temperatura ciała się podniosła. Wiedziałem, że mój najdrobniejszy agresywny ruch wszystko zniweczy. Jeśli zdołam udawać, że niczego nie dostrzegam, jej nowa świadomość będzie mogła się rozwinąć. My jednak leżeliśmy ściśnięci w zagłębieniu podłóża, jej bliskość mnie podniecała. Trudno mi było liczyć na to, że zataję przed nią moją narastającą fizyczną reakcję na jej ciało. Bałem się, że gdy stanie się dla niej oczywista, zmrozi ją. Odnotowałem chwilę, w której uświadomiła sobie, co się ze mną dzieje. Całkowicie przestała oddychać, jej ciało zeszywniało. A potem odetchnęła i rozluźniła się w sposób niemożliwy do opisanego. Biodra powolutku się wygięły, podczas gdy uda rozchyliły się jak płatki kwiatu, mimowolnie odsuwając się od siebie. Położyłem dłoń w zagłębieniu jej pleców. Westchnęła, a jej biodra dziwnie, prawie niezauważalnie drgnęły. Ruch ten podobny był do poruszenia skrzydeł ćmy, subtelny i zmysłowy niczym finałowa figura polinezyjskiego tańca. Westchnęła głośnie. Poszukałem miękkich ust i przez długie sekundy jej wargi były równie zmysłowe i gościnne jak ciało. Nagle o władnęły ją dawne lęki, znowu zeszywniała, po czym odepchnęła mnie i odwróciła głowę.

– Nie, nie, nie – wyszeptała.

Puściłem ją od razu. Wyczułem, że jest tym zaskoczona.

Z przesadną ostrożnością oparła się o mnie ponownie tułowiem, biodra zachowały umiarkowaną odległość. Poprawiłem marynarkę, a potem poklepałem Isobel po ramieniu.

– Iz, jeśli wyjdziemy z tego żywi... Jeśli ja wyjdę z tego żywy i jeśli kiedyś znów wezmę cię w ramiona, wystarczy jedno słowo. Zawsze, za każdym razem. „Nie”. Tylko tyle musisz powiedzieć. „Nie”. I koniec. Nie musisz wypowiadać go z nerwowego nawyku. Mów wtedy, kiedy tak czujesz. „Nie”. Z moim słuchem wszystko w porządku.

Przemyślała to.

– Zawsze wydawało mi się, że mężczyźni...

– To żarłoczne bestie? Nie podniecać go. Każdy chłop to gwałciciel. Kotku, to propaganda. Jest paru prymitywów, którzy tak postępują, ale niewiele. Odmowa wywołuje u mnie lekkie rozdrażnienie, nie muszę go jednak odreagowywać za pomocą agresji. Wystarczy to jedno słowo. „Nie”. Ono działa. Możesz je wypowiedzieć w każdej chwili, nawet wtedy, gdybyśmy byli, wybacz, że użyję tego słowa, złączeni. Od razu wszystko odpływa.

Isobel zadrżała.

– Nie byłabym w stanie, to dla mnie niewyobrażalne. – Zamilkła na moment, jakby się nad czymś zastanawiała.

– Ale nawet tak niewiele może sprawić przyjemność. Nigdy nie zdawałam sobie z tego sprawy. Jednak myślę, że byłby to niebezpieczny eksperyment, Travisie.

Ziewnęła tak szeroko, że aż zatrzeszczała jej szczeka. Po paru minutach zmorzył ją sen i powoli oparła się o mnie ciałem.

14

Przebudziłem się i drgnąłem, budząc Isobel. Odwróciła się, popatrzyła na szare światło w otworze grotu, a potem odsunęła się ode mnie. Podczołgałem się do wejścia i sprawdziłem naprężone drewno; przeczołgałem się pod nim, żeby wyrzeć na pierwszy brzask dnia. Słońce jeszcze nie wzeszło. Szarość światła i czerwone powierzchnie skał tworzyły razem odcień purpury. Opadło mi trudne do wytłumaczenia przygnębienie. Oto durny koniec parady wygłupów, czeka mnie purpurowa śmierć. O wiele za daleko od jasnych wód i jasnych łodzi. Opuściło mnie szczęście. Jego resztki wyczerpała się, kiedy pocisk wystrzelony przez Pabla trafił w kamień, a nie w moją pierś.

Nie powiedziałem Isobel o tym, czego obawiałem się najbardziej. Przeciwnik mógł odnaleźć naszą kryjówkę, pójść do samochodu i wrócić z garścią lasek dynamitu. Zdemontowałem system alarmowy, teraz już na nic nam się nie przyda. Potwornie kuśiło mnie, żeby wyjść z grotu, ale Pablo mógł zaciąć się w odległości dziesięciu metrów i rozwalić mi łeb jednym strzałem. Odwróciłem się i położyłem palec na ustach. W szarawym odbitym świetle zobaczyłem, że Isobel kiwa głową.

Nasz plan wydawał się dziecinnie naiwny. Zalatywał strategią królika. Byłem sztywny i zbolały po nocy spędzonej na kamieniach. Dwadzieścia minut wlokło się jak wieczność. Szarość powoli nabrała różowego odcienia, a potem okryła się złotem. Usłyszałem stuknięcie kamienia nieopodal wejścia do grotu. Po chwili dał się słyszeć chrzęst stóp na skalistym podłożu. Spodziewałem się, że Pablo coś krzyknie, on jednak milczał. Robiło się coraz widniej, przez otwór wpadało coraz więcej światła, które utworzyło dwie plamy we wnętrzu grotu.

Raptem usłyszałem szybkie tupanie i stłumione przekleństwo. Wspaniałe uczucie ulgi: pomoc przyszła na czas. Potem rozległ się długotrwały, uporczywy szmer. Pablo rzucał w coś kamieniami i obsypywał piaskiem. Owo coś wślizgnęło się do wnętrza groty z wysoko uniesioną głową, zatrzymało się w wejściu w plamie światła i zwinęło. Ogon zakołysał się i zagrzechał.

Rozwidlony język poruszał się błyskawicznie, smakując powietrze. Isobel Webb wrzasnęła z przerażenia.

Wąż miał ponad metr długości i był gruby jak kobiece przedramię. Nie musiałem dawać jej sygnałów, żeby wycofała się w głąb groty. Umknęła i wcisnęła się w najdalszy ciasny kąt. Chwyciłem kij, który poprzednio umieściłem w otworze wejściowym. Brzęczący metal już zdjąłem, lecz rzemyk wciąż był przywiązany do kija.

Grzechotniki nie potrafią zaatakować na odległość większą niż długość swojego ciała. Mają słaby wzrok. Wszedłem na stos kamieni zebranych przy wejściu obok miejsca, w którym skórzany pasek trzymał naprężony kawał drewna. Szybko zrobiłem pętlę z rzemyka przymocowanego do kija i zakołysałem nią nad głową węża, ale się poruszył. Spróbowałem ponownie.

W chwili gdy zacisnąłem pętlę i oderwałem wściekle wijące się ciało węża od podłoża, Canario oddał cztery szybkie strzały do wnętrza jaskini. Huk był ogłuszający. Domyśliłem się, że wsunął karabin do otworu i nacisnął spust. Kule gwizdały i terkotały, odbijając się od ścian i sufitu groty. Widziałem, że Isobel nie została trafiona. Wyglądała zza krawędzi skały.

Posłałem dziewczynie wariacki uśmiech, żeby dodać jej otuchy. Wspiąłem się wyżej na kamienie, trzymając w pętli konwulsyjnie rzucające się ciało węża. Jednocześnie wydałem długi, chrapliwy, gulgoczący jęk. Patrzyła na mnie z przerażeniem, a ja jęknąłem ponownie. Trzymając węża nieco z boku, otworzyłem jedną ręką scyzoryk; byłem przygotowany, by przeciąć rzemień i uwolnić naprężone drewno, kiedy Pablo wczołga się do otworu.

Isobel odczytała moją grę.

– Zabiłeś go! – wrzasnęła. – Jest cały we krwi!

Pablo bez wątpienia miał za sobą szkolenie piechoty. Wiedział, jak wejść do groty. Zauważył, że w oświetlonym miejscu obok otworu nie ma już węża, i doszedł do wniosku, że gdy znajdzie się w grocie, będzie się mógł

wyprostować. Zrobił wszystko jak należy. Rzucił się do środka schylony, trzymając karabin przed sobą. Zamierzał uklęknąć i wypalić do tego, co się poruszy – kobiety, węża lub mężczyzny.

Wskoczył tak szybko, że spóźniłem się z przecięciem skórzanego paska. Drewniany pał nie uderzył go w głowę, lecz potężnie zdzielił w siedzenie. Pablo ryknął z bólu, oburzenia i zdziwienia. Końcówka rzemienia smagnęła mnie w twarz, zachwiałem się i runąłem w dół razem ze scyzorykiem, węzłem i kijem. Isobel stanęła na wysokości zadania, chwyciła kamień i cisnęła go z całej siły. Trafiła mnie idealnie w prawe kolano. Wstając niezgrabnie, zatoczyłem się do tyłu. Chciałem chwycić karabin Pabla. Nagle zobaczyłem, że skrepowany pętłą wąż zwija się i atakuje. Duży trójkątny łeb wystrzelił w kierunku mężczyzny i dosięgnął go tuż pod brodą, w chwili gdy próbował się na mnie rzucić. Pablo zachwiał się i opadł na kolana. Jego twarz straszliwie pobladła. Powoli wyciągnął rękę w stronę grzechotnika i ciężko zwałił się na bok. Wystarczyła chwila, by naczynia krwionośne przeniosły jad do serca i mózgu, wyłączając je na wieki. Isobel momentalnie wpadła w histerię. Wąż odsunął się od Pabla. Przyglądał mu się przez chwilę i ocenił, że jest za duży do zjedzenia. Potem wyslizgnął się z luźnej pętli i skierował w drugą stronę, ku wyjściu, za którym świeciło poranne słońce. Isobel podbiegła do mnie z krzykiem, cała się trzęsąc, i wpadła mi w ramiona. Jej twarz była zaczerwieniona i pomarszczona jak buzia rozłoszczonego dziecka.

Kluczyki do pick-upa tkwiły w stacyjce. W połowie odległości do drogi stanowej napotkaliśmy dwa radiowozy, które pędziły w stronę Burned Wells. Na ich widok Isobel znów zaczęła kwilić.

Stojąc na pylistej drodze i wskazując, gdzie leżą ciała braci, zobaczyłem, że purpurowy odcień zbladł. W porannym słońcu rysowała się ciemna sylwetka wzgórza.

Było to miejsce śmierci, ale nie dla nas. Nie dla koleżki McGee, nie tym razem. Nagły dotkliwy cios kija w tyłek, smagnięcie rzemieniem w twarz, uderzenie kamienia niefortunnie ciśniętego kobiecą ręką, a potem porażająca skuteczność szybkiego jak błyskawica węża...

W niedzielę późnym popołudniem Dolores Canario Estobar siedziała w gabinecie Freda Buckelberry'ego. Obstawała przy tym, że nie potrzebuje adwokata. Szeryf wiedział, że musi podejść do sprawy z wielką ostrożnością. Była urodziwą kobietą, młodą mężatką w ciąży, żoną Johnny'ego Es-

tobara, który zapowiadał się na polityka, przedstawiciela mniejszości latinoamerykańskiej w okręgu Esmerelda. Musiał pozwolić mężowi, by jej towarzyszył. Johnny z oburzoną miną siedział obok żony i czule trzymał ją za rękę. Z twarzy Dolores biła powaga. W gabinecie zrobiło się ciasno. Oprócz szeryfa byli tam jego zastępca, stenotypistka, prokurator stanowy, osobisty adwokat Jassa, państwo Estobarowie oraz ja.

Spokój i godność Dolores wydawały się niezachwiane.

– Szeryfie, z tego, co słyszę, niewątpliwie wynika, że Pablo i Carlos naprawdę popełnili te straszne czyny. To musi być cios dla mojej matki. Nigdy nie czułam się związana z przyrodnimi braćmi. Ile razy mam to panu powtarzać? Jedyne wyjaśnienie, jakie przychodzi mi do głowy, jest takie: wpadli w jakieś tarapaty w Phoenix, wrócili stamtąd i uknuli ten szalony plan, żebym się wzbogaciła. Myśleli, że jeśli zdobędę pieniądze Jassa, duża część trafi w ich ręce. Zawsze wiedziałam, że jestem jego córką. Mona nie miała o tym pojęcia. Tak, pracowałam w jego domu, lecz nie miałam mu tego za złe. Przydałoby mi się lepsze wykształcenie, on by za nie zapłacił. Jednak zrezygnowałam. Był dla mnie dobry. Nie kochałam go, ale nie żywiłam do niego urazy. Był na swój sposób sprawiedliwy. Wielu nie zrobiłoby dla nieślubnego dziecka nawet tyle.

– Wiedziała pani o listach, które trzymała matka? – dopytywał się łagodnie Buckelberry. – I o zdjęciach?

– Oczywiście. Jeden z moich braci musiał je zabrać. To byli lekkomyślni nieokrzesani chłopcy. Bóg raczy wiedzieć, co sobie myśleli. Może sądzą, że mi pomagają. Co za okropny, głupi plan. Wiem, że pańscy ludzie przeszukali mój dom, szeryfie. Ja nawet nie mam pojęcia, jak wygląda strychnina.

– Ale była pani w domu Jassa tuż po południu w dniu jego śmierci?

– Tak! Przecież już panu mówiłam. Zadzwonił do mnie, poprosił, żebym przyszła. Pojechałam tam, ale go nie zastałam. Jego służba może to potwierdzić.

– Czy musi pan zadawać stale te same pytania? – niecierpliwił się Estobar.

– Wydaje mi się, że pana żona nie odmawia udzielania odpowiedzi – zauważył szeryf. – Dolores, rozumie pani, że stawia nas pani w kłopotliwym położeniu. Jakaś sprytna osoba odwiedza Yeomana, on wpuszcza ją do domu. Ta osoba zna dobrze jego nawyki i nalewa mu kawy. Truje go, wy-

chodzi, odczekuje gdzieś w pobliżu, a później wraca, jakby dopiero się tam zjawiała. Powinna być widziana w okolicy domu, ktoś mógł ją zauważyć i zapamiętać.

– A więc mam dowodzić swojej niewinności? – spytała wyniośle Dolores. – Myślałam, że powinno być na odwrót.

– W jaki sposób, pani zdaniem, bracia dowiedzieli się tak dużo o tym, co działo się między panią Yeoman i panem Webbem?

– Wiele osób o tym wiedziało. Tych dwoje nie kryło się specjalnie ze swoimi uczuciami. Boże, jaka szkoda, że Pablo i Carlos nie żyją, udzieliliby panu prawdziwych odpowiedzi. Ja mogę tylko zgadywać. Mówię szczerze w obliczu Boga: nie chcę pieniędzy Jassa. Dobrze się nam powodzi. Pierwszy raz w życiu jestem naprawdę szczęśliwa.

– Może dałby jej pan wreszcie spokój?

Dostrzegłem bezradność w oczach Freda Buckelberry'ego. Jeśli nie zdoła złapać jej w pułapkę, dziewczynie wszystko ujdzie na sucho. Nawet mnie coraz łatwiej było uwierzyć, że nie miała ze spiskiem nic wspólnego. Jednak w jej zachowaniu dało się wyczuć fałsz. Cholernie dobrze nad sobą panowała, zbyt dobrze. Pamiętam, jak zachowywała się wtedy na ganku swojego domu. Krew i żelazo, ogień i duma. Musiała naprawdę nienawidzić starego, żeby go w ten sposób ukatrupić. Zaświtała mi w głowie pewna myśl. To byłoby dla niej niemiłe. Ale musiałem wierzyć w to, co Pablo wykrzyczał mi w nocy. Był pewien, że nie zdołam tego nikomu powtórzyć, bo nie będzie mnie wśród żywych.

– Mogę coś powiedzieć? – zasugerowałem Fredowi. Wszyscy skierowali na mnie wzrok.

– Mów.

Odchrząknąłem i zrobiłem zafrasowaną minę.

– Nie wiem, Fred, jednak nie daje mi spokoju myśl, że zaszła jakaś pomyłka. Kiedy pracowałem dla Jassa, parę razy się upiliśmy i gadaliśmy dosłownie o wszystkim. Nie znałem go długo, ale sprawiał wrażenie porządnego faceta. Sęk w tym, że... Nie wiem, jak to ująć... Trudno mi uwierzyć, że pani Estobar jest jego córką, bo wyrażał się o niej tak, jak o wszystkich innych służących. Rozumieją państwo, co mam na myśli.

Nastąpiła grobowa cisza, a potem Dolores rzuciła się na mnie z pazurami. Chciała mi wydrapać paznokciami oczy. Mąż złapał ją za nadgarstki

i przytrzymał ręce za plecami. Nachyliła się ku mnie, jej twarz nie przypominała ludzkiej.

– Taaak – wyszczała przerażającym półszepceniem. – Kiedy jej nie było. Ten stary świntuch. Ojciec, którego ubóstwiałam. Pił i mnie też kazał pić. Chciałam pomóc mu się położyć, a on wziął mnie siłą, stary plugawiec. Nie poznał mnie, bo się upił! Byłam zwykłą babą do łóżka. A ja kochałam go jak córka. – Wyprostowała się i zaczęła krzyczeć: – Zniszczył mnie! Splugawił! Tak, to ja napuściłam tych kontrolerów podatkowych, rozmawiali ze mną wiele razy. Opowiedziałam im wszystko, co zapamiętałam o każdym brudnym szwindlu, o którym mi napomknął. Wyjawiłam to Monie, bo wiedziałam, że mu powtórzy, a zależało mi, żeby się pocił i wił ze strachu. Chłopcy gotowi byli zrobić wszystko, co im kazałam. Myśleli, że to dla forsy. Zabić jego kobietę. Jeszcze jedna strata dla niego. Chciałam, żeby dłużej pożył, ale nie mogłam czekać. Wypił to, poklepał mnie po policzku i powiedział: „Dziękuję ci, drogie dziecko”. Czy to nie obłąd? Prawdziwa beczka śmiechu. Czy was to nie bawi?

– Rozejrzała się po twarzach wszystkich obecnych i powtórzyła wolniej:
– Czy was to nie bawi?

Mąż z płaczem podtrzymał ją, kiedy upadała. Żaden z nas nie odważył się spojrzeć drugiemu w oczy.

Dziesięć tygodni później, w niedzielny wieczór, leżałem rozciągnięty na zapiaszczonym kocu na małej plaży w Webb Cay. Księżyc był prawie w pełni. Miałem za sobą dzień rzadkiej urody: słoneczny i gorący. Leciutki wiatr odpędzał muszki. Popracowaliśmy trochę przy remoncie domu. Oczyszciliśmy dysze staroświeckiej lodówki naftowej, dzięki czemu trochę mniej śmierdziała. Nurkowaliśmy z rurkami i złapaliśmy cztery kraby, ugotowaliśmy je i zjedliśmy z masłem, popijając piwem. Wylegiwaliśmy się w słońcu na plaży, pływaliliśmy, kiedy zrobiło się za gorąco, a potem kryliśmy się w cienistym zaciszu starego domu, gdzie było względnie chłodno. Uprawialiśmy długą leniwą grę miłosną w łóżku, w którym sypiali jej rodzice, a potem drzemaliśmy słodko aż do zmierzchu.

Spojrzałem i zobaczyłem, że nadpływa. Księżyc świecił tak jasno, że prawie nie było widać fal, które towarzyszyły powolnym mocnym ruchom jej

ramion. Wyszła z wody i wspięła się na wybrzuszenie plaży. Stała naga w blasku księżyca i obiema dłońmi przeciągnęła po włosach zmoczonych morską wodą. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak szybko się opalił. Wyglądała jak Indianka z Karaibów. Za dnia, kiedy posmarowała sobie wrażliwe usta białym kremem, przypominała negatyw fotograficzny. Całe jej ciało miało ten sam odcień, bez żadnych pasków ani plamek. Istny prymitywny posążek z brązu, w dodatku słodki jak miód.

Podeszła do koca, uklękła i ułożyła się na boku. Zrobiła sobie z mojego przedramienia poduszkę; poczułem na skórze jej mokry kark. Westchnęła cicho z zadowolenia i leżała. Blask księżyca oblewał jej ciało, kropelki wody wyglądały jak połyskliwa rtęć.

– Długo pływałaś – powiedziałem.

– Tak tylko kołysałam się na wodzie. I myślałam.

– A o czym?

– O tym, co stało się z tym głupim zwierzątkiem, które chciało pozbawić się życia. Może je pamiętasz. To, które uczepiło się uwielbianego braciszka. Związek symbiotyczny. Karmiłam się nim.

– Coś pamiętam. I przypominam sobie dziewczynę, która ciągle powtarzała „nie”.

Zaśmiała się ciepło.

– Ach, ją! Już od dawna jest zdeprawowana.

Setki drobnych szczegółów: pogrzeb, zeznania, ubezpieczenie, zamykanie spraw mieszkaniowych, pakowanie. Później wrzuciliśmy rzeczy do starego sedana i ruszyliśmy, kierując się z grubsza na wschód. Robiliśmy niewiele kilometrów dziennie, podążając najwęższymi niebieskawymi liniami na mapie. Podróż z Livingston do Fort Lauderdale zajęła nam ponad dwa tygodnie. Isobel upierała się, żebyśmy po równo dzielili wszystkie wydatki. W rozlatujących się motelach, w starych drewnianych chatynkach na peryferiach miasteczek pozwalałem jej na eksperymentowanie ze śmiałością. I korzystała z tego, by w końcu chrapliwym głosem, dysząc, wypowiedzieć swoje sakramentalne „nie”. Podporządkowywałem mu się natychmiast i niezawodnie. Gdybym choć raz tego nie zrobił, wszystko zaczęłoby się dla niej od początku. Musiała się nauczyć, że to działa, zawsze będzie działać, i że ma taką możliwość. Po pewnym czasie zrzuciła górę swojej grzecznej piżamy, a kilka nocy później również dół. W niektóre dni, siedząc w starym aucie, robiła się zmysłowo wilgotna; jej oczy się przymykały i cały dzień

spędzała w półdrzemce. Kiedy indziej wydawała się energiczna, rozgadana i roześmiana, a ruchy jej głowy stawały się szybkie. Nie proponowałem jej młodzieńczych substytutów, tanich zabaw; jej nieśmiałość była tego rodzaju, że gdybym raz pozwolił sobie na półśrodki, tak pozostałoby już na zawsze.

Miałem się świetnie. Naprawdę znakomicie. Jeśli nie liczyć wyraźnego drżenia rąk, chronicznej niestrawności i zbyt wielu papierosów. Schudłem na twarzy, kłuło mnie w podbrzuszu, jakbym miał tam worek starych gwoździ, podskakiwałem na każdy nieoczekiwany dźwięk. Poza tym nie mogłem narzekać.

To były jej demon i jej batalia. Dla niej to było jak spacer nad przepaścią, a świadomość, że w każdej chwili może przestać, dawała jej odwagę, by za każdym razem zbliżać się bardziej do krawędzi. W parną noc w motelu na wschodnim brzegu Mobile Bay krawędź zawaliła się pod jej niepewnymi stopami. Runęła w dół niczym otumaniony zając z miękkim, chrapliwym krzykiem, który wyrwał się z jej gardła z prawie naddźwiękową prędkością. Zostaliśmy tam trzy dni i trzy noce. Ubrania stały się czymś zbędnym, po czym chodzi się do stołu, żeby zjeść. A jedliśmy niczym barakudy. Spaliśmy spleceni ze sobą niewinnie; takie sny zapamiętuje się z dzieciństwa. Patrzyliśmy na siebie i nagle, ni stąd, ni zowąd, parskaliśmy śmiechem. Zwady przechodziły w namiętność, słodycz, komedię, a potem znów w namiętność.

– A co powiesz o tej dziewczynie, którą tu widzę? – zapytałem. – O niej też myślałaś?

– Myślę o niej od wielu dni – odparła Isobel i odwróciła się do mnie. Oparła się na łokciu. Księżyc oświetlał ją z tyłu, tworząc miękką srebrzystą linię, która opadała ku talii, a później układała się w cudownie pełny łuk biodra. Powiodłem po nim koniuszkami palców. W tym zagłębieniu zawierają się wszystkie zasadnicze znaczenia. Wszystko to, co ważne. Jest w nim także ukryta przewrotna ironia, bo można go rozmienić na drobne i splugawić. Wszystko zależy od tego, w jaki sposób korzysta się z daru.

– Do jakich doszłaś wniosków?

– Sprowadziłam je jakby do wspólnego mianownika. Kiedy byłam chudą dziewczynką biegającą po tej wysepce, miałam poczucie słuszności. Czulałam, że życie na mnie czeka i że otworzy się przede mną we właściwym czasie. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego to się popsuło, albo dlaczego zatrzaśnięłam wszystkie drzwi. Skąd się u mnie wzięło takie wewnętrzne przeko-

nanie, że wszystko jest podłe. Może psychiatra zdołałby wytropić ślad. Ale teraz jest tak, jak było dawniej. Jestem znowu żywa. Ten dar otrzymałam od ciebie, oczywiście. Jednak na pewno nie dlatego, że byłeś wcieloną wielkoduszością.

– Nie byłem?

Prychnęła.

– To było bardzo sprytne i podstępne uwiedzenie, panie McGee. Pozwoliłeś mi zawisnąć na pętli ze sznura, który sama skręciłam. Filantropia, ty podlecę? Ha! A gdyby moja figura nie przypominała klepsydry, mój drogi? Albo gdybym miała lekkiego zeza?

– Cóż, podejrzewałem, że masz pewne ukryte, jakby to powiedzieć, zalety. Niektórzy mają wrodzony dar do lewego sierpowego, inni potrafią mocno rzucać piłką, a jeszcze inni poruszają uszami. Miałem przecucie, że jeśli w ogóle można...

– Sza. Czy ty nie umiesz być poważny?

– Jeśli sobie życzysz. To nie było wyłącznie zawłaszczenie. Patrzyłem na ciebie i widziałem, jak potwornie się marnujesz. I zacząłem cię lubić.

– Mogę być szczerą?

– Bardzo proszę.

– Travis, jedna część mnie, ta najgłębsza i najbardziej prymitywna, ciało, kości i krew, mówi mi ustawicznie, że nie mogę pozwolić ci odejść, że muszę cię mieć na zawsze i powinnam zrobić wszystko, żeby cię przy sobie zatrzymać.

– Hm.

– Nie przerażaj się, mój miły. Cała reszta mówi, że to nonsens. Nigdy nam się nie uda, na żadnych zasadach. Należymy do różnych gatunków. Ja intelektualizuję wszystko. Jestem trzeźwo myślącą, przezorną i poważną kobietą, mimo że obecnie tak nie wyglądam. A ty, panie McGee, jesteś czarującym barbarzyńcą. I dziękuję ci z całego serca za to, że odkryłeś we mnie tę dziką cząstkę. Potrzebowałam tego, żeby zrównoważyć wszystko inne. Potrzebowałam tego, by móc później zawrócić w przeciwnym kierunku i pozwolić, by wszystko wróciło do normy. Jednak to życie jest o wiele bliższe twojej normy, moja nigdy nie mogłaby taka być. Mam silne poczucie obowiązku. Skupiam się na obowiązkach, na wartościach. Na wydatkowaniu energii, które ma w sobie jakiś sens. To ukąszenie purytanizmu, od którego nie potrafię się uwolnić. Ty też je masz, być może u ciebie jest

odrobinę subtelniejsze, ale równie przemożne. Musisz sobie wielu rzeczy odmawiać, tyle że przychodzi ci to łatwiej niż mnie.

– Mam większą wprawę.

– Nie, to coś znacznie głębszego. Kochanie, jesteś moją rozkoszą, napawam się tobą. Wciąż mi mało miłości, jak pewnie zauważyłeś. Jestem ci wdzięczna. Ale ja cię nie kocham. Jesteś przyjacielem, który pokazał mi nieznaną krainę. A teraz zaczynam dostrzegać drobne znaki zapowiadające koniec. Zacząłeś myśleć o wyjeździe. Nie mów mi, kiedy dokładnie.

– Pewnego dnia, kiedyś.

– Będę zrozpaczona, będę wypłakiwała sobie oczy. Będzie mnie bolało. Ale będę wiedziała, że tak być musi.

– A jakie masz plany?

– Nie wiem, mój miły. Coś zaczyna mi świtać w głowie. Muszę uporządkować myśli. Zostanę tutaj, sama. Jigger będzie co poniedziałek przypływał z dostawą z Nassau. Nie przeszkadza mi, że jestem sama. Będę mogła myśleć sekwencyjnie, bez ciągłych banalnych przerywników. Skończy się tak, że spróbuję robić coś koszmarnie wartościowego, Travis. Ale znajdę mężczyznę, który zechce dzielić ze mną takie życie. Gdzieś, jakoś. Teraz chyba już wiem, czego szukać i jak szukać. Ty jednak zawsze będziesz mi drogi. Wiesz o tym.

– Gdyby przyszły na ciebie trudne czasy, to...

– Oczywiście, mój miły. – Przeciągnęła się i ziewnęła z lubością. – Gdzie, mój słodki? U ciebie czy u mnie?

– Dzisiaj rano psioczyłaś, że twoja szczoteczka leży u mnie.

– A więc niech tak będzie.

Wzięłam ją za rękę i pociągnąłem. Weszliśmy do wody i popłynęliśmy do osłoniętej zatoczki, w której na dwóch hakach z dużym luzem kołysała się moja podobna do barki łódź *Busted Flush*. Kiedy dotarliśmy do Bahia Mar, Isobel poczuła się nieswojo. Wszak przebywała ze mną w miejscu, gdzie znało mnie tylu ludzi. Wiedziała, że zaakceptują ją taką, jaka zechce być, jednak odebrało jej to świadomość panowania nad tym, co się z nią dzieje. Poświęciłem dwa dni ciężkiej pracy na przegląd łodzi i przygotowanie jej do dłuższego rejsu. Na szczęście długofalowa prognoza była dobra, mogłem więc wypuścić się na prąd, gdy tylko łódź była gotowa. Dwa silniki dieslowskie są niezawodne i *Busted Flush* może wytrzymać znacznie trudniejsze warunki na morzu niż jakakolwiek barka mieszkalna. Jednak

trzeba brać większą poprawkę na pogodę, niż gdyby pływało się jachtem wycieczkowym. Isobel nie doceniała godnych sybaryty luksusów mojego statku, dopóki nie pokonaliśmy znacznej części trasy do Bimini.

Zwolniłem tempo i dopłynęliśmy do zatoczki w idealnym duecie. Wspięliśmy się po drabince na pokład łodzi. Włączyłem generator, żebyśmy mieli światło i ciepłą wodę. Spłukaliśmy z siebie morską sól w wielkiej kabine pod gorącym prysznicem, wspólnie, aby nie marnować coraz skromniejszych zapasów słodkiej wody.

Spokojnie podziwiałem Isobel, kiedy myła zęby. Wykrzywiła się do mnie w lustrze i z ustami pełnymi zielonej piany spytała:

– Co się z nią stanie?

Pytanie to padało w najrozmaitszych chwilach. Było dla nas jak rytuał. To samo pytanie i ta sama odpowiedź. Duch, z którym żyliśmy i o którym rozmawialiśmy. O innych nie mówiliśmy. O dorodnej blondynce, której ciało znaleziono w pretensjonalnym grobowcu zbudowanym przez Jassa Yeomana dla rodziców. W grobowcu mieli spocząć także on i jego żona. Nie wspominaliśmy o bracie Isobel, który krzyczał, kiedy sypał się na niego stos kamieni. O zgruchotanej czaszce i śliskiej zęczności węża.

– To dla niej delikatna sytuacja. Proces zostanie odłożony aż do narodzin dziecka. Wtedy będzie o wiele mniej szumu. Myślę, że wybierze przyznanie się do zabójstwa drugiego stopnia. Tylko starego. Prokurator ma za mało dowodów, żeby oskarżyć ją o pozostałe dwa morderstwa. Mam nadzieję, że się przyzna. Wtedy nie będę musiał zeznawać.

– Na jak długo ją wsadzą?

– Dostanie od dziesięciu lat do dożywocia, w tych granicach.

Isobel westchnęła i spojrzała na mnie, a potem podjęła przerwana czynność. Nasze smutne duchy w jakiś sposób osładzały nam życie, przypominały, jakim chwiejnym jest darem. A gdy życie wydaje się słodkie, miłość jest uniesieniem.

Kiedy już sobie powzdychała i kiedy z jej ust wydobyło się przyjemne ciche tchnienie sytego głębokiego snu – znaczyło ono, że wszystko, co mogła dać i dała, zostało bez reszty przyjęte – wyszedłem z sypialni, wspiąłem się na pokład do opalania i rozciągnąłem się nago pod miliardem gwiazd. Może z powodu rozmowy. Dzisiaj miłość miała pierwszy słodkawo-cierpki posmak niechybnego rozstania. Od tej pory będzie go przybywało.

Może zanim się rozstaniemy, powiem jej – a przynajmniej spróbuję – że ona także w pewien sposób mnie uleczyła. Do Esmereldy jechał inny człowiek, kłębek nerwów, bolesnych drgnień, poczucia winy i wyrzutów sumienia. Przekonany, że jest mu pisana wściekła samotność, po kres jego dni. Tym razem nie będzie poczucia winy. Nie wobec niej. Wyrzuty sumienia to szczyt samobiczowania.

I tak pod gwiazdami pozwoliłem sobie na chwilę zadumy nad starym Jasperem Yeomanem. Prawdziwa i straszna wina, ta wiecznie obecna świadomość kazirodztwa, którym świat gardzi aż do głębi serca. Może ucieszył się, że kona, może wiedział, że zabiła go jego Dolores. Może był rad, że śmierć jest tak bolesna i że to jej ręka mu ją zadała. Może w chwilach otrzeźwienia między potwornymi spazmami od trucizny powstrzymywał się, żeby nie powiedzieć na głos jej imienia i nie ujawnić, jak to zrobiła. To byłoby coś w rodzaju pokuty, jeden jej przejaw. A tych nigdy nie za wiele. Nie dla niego, nie dla mnie. I z pewnością nie dla ciebie, przyjacielu.

Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[O książce](#)

[O autorze](#)

[W serii](#)

[Strona redakcyjna](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

11

12

13

14